

Robert Alley

Ostatnie tango w Paryżu

Tłumaczył: Robert Stiller

Rozdział I

Olśniewające słońce zimowe igrało w żłobkowanych łukach ozdobnego mostu kolejowego, rzucając siatkę cieni na ciemną wodę Sekwany. Pod biegnącą w górze linią metra, przejściu dla pieszych, wyglądającym niby wewnątrz jakiejś rozległej i zbytkowej sali, ludzie szli i mijali się w milczeniu, jak gdyby łączył ich dziwny i nieodparty rytuał. Rozkwitłe kolumny z szarobłękitnej stali dopełniały złudzenia, że to jakaś zawieszona w upływie czasu wyspa Art Nouveau. Dalekie styczniowe słońce nie mogło jednak ocieplić tej przepysznie dekadentckiej scenerii, gwałconej przez ziemistą woń rzeki i wrzask udręczonego metalu, gdy nad głową turkotał pociąg. Przeciągły lament jego syreny zaznaczył preludium świętego i porywającego koncertu. Był to początek tańca.

Dwoje ludzi idących przez most, w tym samym kierunku, już związało się w tej wspólnej kadencji, chociaż nie podejrzewali tego, nie znali się i nie umieliby wyjaśnić, co za dziwny zbieg czasu i okoliczności sprowadził ich tutaj. Dla każdego z nich dwojga ten most, dzień, sylwetka Paryża i własna sytuacja życiowa znaczyły coś zupełnie innego, albo nic, i wszelka szansa ich zetknięcia wydawałaby się mikroskopijna.

On miał jastrzębi profil, arogancki i nieugięty nawet w przygnębieniu, bo płakał, wlokąc się bez celu od jednej kolumny do drugiej. Ciało miał krzepkie i ciężko umięśnione, poruszał się niedbale jak starzejący się atleta, kiedy przegarniał sobie włosy tępą zakończonymi palcami, chował ręce naznaczone fizyczną pracą do kieszeni płaszcza z wielbłądziej sierści, trochę przybrudzonego, lecz dobrze skrojonego w stylu rozslawionym przez niektórych gangsterów amerykańskich. Rozchylona koszula ukazywała byczy kark. Kiedy przejeżdżał pociąg, uniósł twarz i wykrzyczał w jego łoskot ordynarne przekleństwo. W tej chwili jego twarz, choć nie ogolona i udręczona, objawiła kanciastą precyzję i subtelność w wyrazie ust i oczu, niemalże kobiecych; ale wyglądał przy tym szorstko, brutalnie. Miał jakieś czterdzieści pięć lat i w przystojnej twarzy coś rozwiązłego. Mężczyźni, spotykając się z nim w podcieniach, ustępowali na bok.

Dziewczyna była ze dwa razy młodsza. Miała po zawadiacku włożony miękki kapelusz z brązowego filcu i wyraz porywczoci, właściwej młodym i pięknym. Jej chód był wyzywający aż do impertynencji; wymachiwała torebką na długim skórzanym pasku, jej płaszcz do kostek był z białego zamszu, twarz ujęta w kołnierz ze srebrnego lisa. Rzęsy lekko podkre-

ślone tuszem; pełne wargi starannie uwypuklone szminką, wilgotne i świeże. Płaszcz nie mógł do końca ukryć jej pełnego, żwawego ciała, jakby posłusznego tylko swej własnej woli.

Nazywali się Paul i Jeanne. Dla niej zapach Sekwany i wzdłuż nabrzeża odbłaski słońca w szybach okien wykuszowych, oprawnych w ołów, elektryczne iskrzenie spod brzucha pędzącego na głowę metra i zachwycone spojrzenia przechodzących mężczyzn były potwierdzeniem jej egzystencji. Dla niego wszystko to nic nie znaczyło, choćby i zauważone; po prostu przypadkowe objawy świata fizycznego, którym się brzydził.

Ona go pierwsza spostrzegła i nie odwróciła oczu, gdy on skierował na nią roztargniony lecz pewny wzrok; coś zaszło w tej pierwszej wymianie spojrzeń. Mężczyzna, którego wzięła za wykolejeńca, stał się raptem godny uwagi, może z powodu łez i sprzecznego z nimi wrażenia stłumionej gwałtowności. Ujrzała po prostu przedmiot, zmysłom jej dujący większą satysfakcją niż inne, mimo to przedmiot, rzucony na drogę jej własnych bezsensownych wędrówek. Jeanne odczuła przelotną chęć, aby dotknąć jego wilgotnych, nie ogolonych policzków; Paul zdziwił się, że drgnęło w nim pożądanie i przelotnie zastanowił się, czy to naprawdę. Szli przez kilka sekund obok siebie, z twarzami nie wyrażającymi nic oprócz mglistego zaciekawienia, po czym wyprzedziła go, jakby się stał kotwicą, ciągniętą z tyłu na niewidocznej, lecz nieodpartej nici. Doszła do końca mostu i wyszła z bujnej atmosfery fin-de-siecle'u w surową współczesność, w której nie komponowały się muzycznie klaksony samochodów, błękit nieba był zbyt czysty i ostry, a łącząca ich nieodparta nić pękła - czy też obwisła luźno - i znikła natychmiast w niepamięci. Przeszła koło Cafe Viaduc na Rue Jules Verne. Ulica była pusta, mimo że o tej porannej godzinie szczytu Paryż dygotał od ruchu. Idąc tą ulicą dotarła do potężnej, żelaznej bramy wypełnionej w tle matowym, żółtym szkłem. Przyklepione nad dzwonkiem za pomocą przylepca, ręcznie wypisane, ogłoszenie brzmiało: MIESZKANIE NA V PIĘTRZE DO WYNAJĘCIA. Jeanne odstąpiła o krok, zmrużonymi oczyma spojrzała na ozdobne balkony, spiętrzone na tle nieba. Przypadkiem trafiła na ten dom z mieszkaniem do wynajęcia i zaciekawiło ją, co też za mieszkanie znalazłoby się za tymi przysadzistymi, grubymi, zmysłowymi filarami i za na wpół opuszczonymi roletami, które nadawały oknom wyraz jakby zaspanych, lubieżnych oczu. Jeanne miała narzeczonego i nieraz już mówili o urządzeniu sobie wspólnego domu - choć zawsze były to rozmowy ogólnikowe, niemalże akademickie - aż nagle pomyślała, że to mieszkanie mogłoby się nadawać do przekształcenia luźnych pomysłów w rzeczywistość.

Usłyszała kroki i obejrzała się, ale ulica wciąż była pusta. Zawróciła do kawiarni. Robotnicy w kombinezonach, zgarbieni nad wypolerowaną, aluminiową ladą, popijali mocną kawę i tani koniak przed udaniem się do roboty. Obrzucili wchodzącą z rozmachem Jeanne

pełnymi uznania spojrzeniami, jak zwykle mężczyźni, lecz ona zignorowała ich i zbiegła po schodach do telefonu. Kabina telefoniczna świeciła się na końcu korytarza. Zanim do niej dotarła, otworzyły się drzwi męskiej garderoby i wyszedł z nich Paul. Zaskoczyło ją i dziwnie spłoszyło to spotkanie; przycisnęła się plecami do ściany, dając mu przejście. Spojrzał na nią, skrycie rad z tego zbliżenia i z przypadkowego spotkania. Poczł ten sam elementarny, lubieżny odruch, nie troszcząc się o subtelniejsze aspekty jej twarzy i stroju tak samo jak przedtem, gdy przypadkiem spostrzegł ją na moście. Było coś nadzwyczaj ironicznego w fakcie, że przygnębienie jego rozprasza obiekt tak banalny jak ładna dziewczyna. Postanowił dalszy ciąg zdać również na los przypadku. Minął ją nawet uśmiechem nie dając znać, że ją rozpoznał i wyszedł z kawiarni. Jeanne poczuła się jakby speszona tym spotkaniem; niewytłumaczalny pociąg, jaki odczuła na moście, powrócił i odebrała go jako coś dziwnie upokarzającego. Weszła do kabiny, wrzuciła żeton i nakręciła numer, nie troszcząc się o przytknięcie drzwi budki telefonicznej.

- Mamusiu - powiedziała - tu Jeanne... Idę obejrzeć mieszkanie na Passy...: Później wyjdę na stację po Toma... To na razie... Całuję! do zobaczenia.

Odwiesiła słuchawkę i wróciła po schodach na górę. Kiedy wyszła, ulica wydawała się jak na zimę zbyt jasna, zachowana gdzieś poza czasem. Przemknął się nią gładki czarny Citroen, ale to był wyjątek. Puste rusztowania jakby podtrzymywały jeden z eleganckich, starych budynków w połowie drogi między przecznicami. Przystanąwszy chwilę na jezdni dotknęła świeżych kwiatów, przypiętych do główki jej kapelusza; miała tę przyjemną świadomość, że mężczyźni z baru patrzą się za nią, gdy odwróciła się i od niechcienia poszła do tejże bramy.

Przycisnęła dzwonek i pchnęła ciężkie, żelazne drzwi. Za matowym, żółtym szkłem znajdował się wątle oświetlony hol, pełen zawieszistej woni Gauloise'ów i czegoś niewyraźnego a przykrego, co gdzieś wyżej bulgotało na piecu. Blask sączący się przez wysokie, nie myte okna oświecał ozdobnie kutą klatkę windy. Takie same szyby z matowego, żółtego szkła oddzielały hol od pomieszczenia konsjerżki. Jeanne podeszła do małego okienka.

Opasła Murzynka siedziała za nim twarzą do przeciwległej ściany, zapewne czytając gazetę. Jeanne próbowała na siebie zwrócić jej uwagę chrząknięciem, ale Murzynka nie ruszyła się i nie przejawiała zainteresowania.

- Chodzi o mieszkanie - odezwała się wreszcie Jeanne. - Widziałam ogłoszenie.

Konsjerżka odwróciła głowę i Jeanne spostrzegła, że ma bielmo na obu oczach.

- Ogłoszenie? - powtórzyła kobieta, wrogo wpatrując się gdzieś w kąt swojej klatki. - Mnie nic nie mówią.

Zamruczawszy coś na kształt lamentu pogrzebowego bez słów i melodii znów odwróciła się od niej.

- Chciałabym je obejrzyć - rzekła Jeanne.

- Chce pani wynająć?

- Jeszcze nie wiem.

Baba dźwignęła się i wstała, jakby ze straszliwym wysiłkiem. Rozpoczęła litanie utyskiwań.

- Wynajmują. Podnajmują. Robią, co im się zechce. A ja się dowiaduję ostatnia. Ma pani papierosa? Jeanne podciągnęła torbę, wyjęła paczkę Gitanes i podała je przez okienko. Szybko cofnęła dłoń, aby tamta jej nie dotknęła, konsjerżka zaś wyciągnęła sobie papierosa. Starannie zapaliła go, przechylając ogromną głowę i usiłując dojrzeć jego czubek, po czym zaciągnęła się głęboko. Zamiast oddać paczkę, wrzuciła ją do kieszeni postrzępionego swetra.

- Dawniej taka nie byłam - rzekła. - Pani wejdzie na górę. Ale beze mnie. Ja się boję szcurów. Głos miała zgrzybiały. Jak gdyby Jeanne chciała się wdrzeć w jakieś mroczne i groźne zaświaty, a strażniczka tej otchłani starała się jej nie wpuścić. Ta starucha, jak Charon u wejścia do Hadesu, żądała z góry zapłaty od starających się wejść błagalników; Jeanne pomyślała sobie, że teraz baba zniknie w głębi budynku.

Konsjerżka pogrzebała w wielkich kluczach, których mnóstwo ponawieszano na tablicy ponad jej fotelem.

- Klucz się gdzieś zapodział - stęknęła. - Dziwne rzeczy się tu wyprawiają.

Drzwi obok windy uchyliły się ze skrzypnięciem. Jeanne ujrzała wychudłą, pomarszczoną dłoń, jak wynurzyła się trzymając pustą butelkę i niezgrabnie postawiła ją na kafelkowej posadzce. Dłoń znikła i drzwi się z westchnieniem zamknęły.

- Wyżłopują po sześć butelek dziennie - stwierdziła baba od niechcienia, jakby tu żyły zwierzęta, nie ludzie.

Jeanne odwróciła się, żeby odejść. Zniechęciło ją zaniedbanie tego budynku, a jeszcze bardziej to wrażenie jakby odcięcia od świata, jakby trafiła w miejsce poza czasem, gdzie nie ma prawdziwych ludzi, robiących to, co robią prawdziwi ludzie, tylko jakieś stwory koślawe i na wpół martwe.

- Pani zaczeka - zawołała konsjerżka. - Poszukam. Musi być drugi klucz.

Pogrzebała w szufladzie i wydobyła stary mosiężny klucz.

- Proszę - sapnęła, wręczając go dziewczynie, która uchyliła się od jej miękkiego, pulchnego dotknięcia. Zanim jednak zdążyła cofnąć rękę, baba chwyciła ją i ścisnęła. Pokazała w głupawym uśmiechu ciemne, spróchniałe zęby.

- Młodziutka - wygdakała, obmacując jej dłoń i przegub.

Jeanne wyszarpnęła rękę i ruszyła do windy. Gdakanie tamtej wciąż jeszcze do niej dobiegało, gdy zatrzasnęła drzwi klatki i usłyszała stęknienie zgrzybiałego silnika, kiedy winda ruszyła w górę. Gmach przypominał jej mauzoleum, wspaniale zaprojektowane i zbudowane, którego mieszkańcy nie potrafili wznieść się na poziom jego majestatu i dają mu iść w rozsypkę. Panowała tu absolutna cisza z wyjątkiem odgłosu starej windy i trzaśnięcia drzwi, gdy wysiadała na piątym piętrze. Drzwi do mieszkania były szerokie, ciężkie, ich lakierowane drewno prawie czarne w cieniu za szybem windy. Żłobkowana, mosiężna gałka u drzwi wypolerowana przez dotyk mnóstwa dłoni. Jeanne przekręciła klucz i drzwi odchyliły się na przedpokój. Natychmiast uderzył ją przepych i wdzięk tego apartamentu. W przedpokoju posadzka była z czarnych i białych kafelków; boazeria z tego samego co drzwi, ciemnego i drogiego drewna. Z respektem, niemalże z lękiem poszła w głąb korytarza. Dostrzegła pięknie wypracowany parkiet salonu i ciepło żółte ściany o fakturze starego pergaminu. Wysokie, zaokrąglone szyby okien w wykuszu, od dawna nie umyte, rozpraszały słoneczne światło, wypełniające pokój blaskiem roztopionego złota. Kształt pokoju był dokładnie kolisty. Sztukateria z motywem jajka i strzały przerywała się tuż nad oknami, pozostawiając gładką przestrzeń szerokości nie więcej niż metra, gdzie gips odpadł przed laty. Na ciepłym złocie ścian widniały zacieki, a po wiszących tu niegdyś wielkich, owalnych i prostokątnych obrazach pozostały ciemne sylwetki, jakby cienie zmarłych mieszkańców. Była to atmosfera schyłkowej elegancji, bogatej i nieco dekadencjonalnej. Patrząc na to Jeanne tyleż pociągał zmysłowy przepych tego apartamentu, co i odstręczało poczucie upadku i rozkładu, ledwie wyczuwalny zapach stęchlizny, kojarzący się jej ze śmiercią.

Weszła do okrągłego salonu i zerwała z głowy kapelusz.

Roztrząsnęła swe gęste, kasztanowate włosy, dotychczas ukryte, rozpięła płaszcz i okręciła się na środku w piruetce, ale powolnym, z uznaniem podnosząc oczy i ręce. Oślepiło ją światło z okien na wpół zakrytych roletami; cienie jakby trochę bliżej podpełzły.

Nagle spostrzegła: go. Siedział na kaloryferze z głową opartą na kolanach. Wrzasnęła i przygryzła pięść.

Nie poruszył się.

- Kim pan jest? - wytchnęła.

Starając się opanować, z wolna odstępowała w stronę drzwi.

- Przestraszył mnie pan - powiedziała jak najspokojniej. Potem rozpoznała człowieka z mostu. - Jak pan tu wszedł?

- Przez drzwi.

Głos miał niski i wibrujący. Mówił po francusku z obcym akcentem, chropawo i jakby z pogardą dla tego języka.

Jeanne przystanęła w drzwiach na korytarz. Paul nie ruszył się z kaloryfera. Pozostało jej tylko odwrócić się i wyjść; ale nie wiadomo czemu się zawahała.

- Taka jestem głupia - odezwała się. - Zostawiłam otwarte drzwi. Ale nie słyszałam, jak pan wchodził.

- Już tu byłem.

Odwróciła się i znów popatrzyła na jego profil. Wyglądał smutno i zarazem arogancko; Jeanne poczuła ciekawość.

- Przepraszam - powiedziała.

Sylwetka Paula wydłużyła się i rozszerzyła. Jego potężne bary jakby pasowały do rozległości pokoju, a stąpał z pewnego rodzaju ociężałą gracją. Spojrzenie miał inteligentne, bardzo przenikliwe; patrzył na nią ironicznie, unosząc w górę drugi klucz, ściśnięty w grubych palcach.

- Ach, ten klucz - powiedziała. - Więc to pan go zabrał.

- Dała mi go - poprawił, ciągle z niej pokpiwając.

Jej oczywisty lęk wydawał mu się małostkowy, niemalże śmieszny. Nie sprawiało mu większej różnicy, czy ta dziewczyna mu wierzy, czy nie, czy zostanie, czy wyjdzie, lecz bawiło go jej zmieszanie.

- Musiałam przekupić konsjerżkę - rzekła Jeanne i sama się zdziwiła, że chce się jej rozmawiać. Dlaczego po prostu nie odejdzie od tego dziwnego człowieka, który płakał na moście, a potem czaił się w cieniach pustego mieszkania? Czy nie jest przypadkiem obłąkany?

- Ma pan amerykański akcent - powiedziała mu, jakby o tym nie wiedział, i poczuła się głupio.

Paul zdecydował się ją ignorować. Odwrócił się i ruszył w obchód pokoju, oglądając ze znanstwem posadzki, gdzie pastowanie już dawno się wytarło, i łuszczące się ściany. Zdawał się być równie próżny jak silny.

- Fascynują mnie te stare budynki - odezwała się Jeanne.

- Można je niedrogo wynająć - rzekł protekcyjnie i przesunął palcem po kominku. Znieruchomiał, wpatrzony w kurz, który się tam zebrał, wspomniawszy nagle szok, kiedy zobaczył trupa swej żony i jak po przybyciu policji uciekł z ich własnego hotelu, i przerażenie na twarzach mieszkańców. Nie pamiętał, co było dalej. Twarz dziewczyny spotkanej na moście jakby zogniskowała jego rozpacz, tak bardzo żywa.

- Fotel dobrze by wyglądał przy tym kominku - powiedziała Jeanne.

- Nie - sprzeciwił się. - Fotel musiałby stanąć przy oknie.

Trzymała się od niego na dystans, chociaż miała ochotę przyjrzeć mu się bliżej, obejrzeć jego ubranie i jasnoszare oczy, prawie ukryte pod wyniosłym nawisem brwi. Nie pojmowała, dlaczego słucha, jak on się jej sprzeciwia; i bardzo zależało jej, aby go zmiękczyć.

Dalej oglądali ten pokój, a potem przeszli do przyległych pomieszczeń, oboje pochłonięci udawaniem, że bardziej interesuje ich sam apartament niż to nieprawdopodobne spotkanie i ukryta w nim zapowiedź - lub groźba - tego, czym się może zakończyć. Przeszli ceremonialnie do jadalni, on kilka kroków za nią. Pod jedną ze ścian piętrzyły się oprawne roczniki pożółkłych gazet; stało na trzech nogach stare biurko i pod brudną płachtą majaczyło zbiorowisko połamanych skrzyń, krzesel i innych mebli. Paul próbował ustawić stare biurko i zajął się przywracaniem mu chwiejnej równowagi, czekając, co zrobi dziewczyna. Wyczuwał w niej pociąg i lęk. Postanowił, że nic nie uczyni, aby jej pomóc. Nie obchodziło go, co z tego wyniknie, bo widział ją i siebie jako dwa śmieszne ciała, pozbawione znaczenia i motywacji.

Zamknął oczy, tłumiąc w sobie przypomnienie ubiegłej nocy. Gdy je otworzył, zobaczył, że dziewczyna rozchyliła płaszcz, ukazując krótką, żółtą spódniczkę i nogi, sprawiające wrażenie nadzwyczaj długich, gubiące się w uścisku miękkich kozaczków z ciepłej skóry. Jej uda wydawały się odrobinę pełniejsze tuż pod brzegiem mini spódniczki niż w miejscu, gdzie się zbiegały. Skórę miała jędrną i jakby rozjarzoną w odbitym świetle. Paul dostrzegł, że jej piersi są duże i nie potrzebują stanika. Jeanne wyprostowała się w ramionach.

- Wynajmie pan to mieszkanie? - spytała.

- A pani?

- Nie wiem.

Paul podszedł do okna. Blaszane i łupkowe dachy Passy ciągnęły się w dal ku rzece, istne morze zwariowanych, kanciastych płaszczyzn, z lekka pociągniętych niebieskawoszarym kolorem; w oddali sterczała Wieża Eiffla, kolczasta i prosta, jakby olbrzymia antena ściągająca energię z nieba. Tak on jak i Jeanne przyglądali się wieży, ona pod wrażeniem jej potęgi, on zaś jej pretensjonalnego efektu. Po chwili Paul spostrzegł jej odbicie w szybie i zaczął się przyglądać jej ciału. Była dotkliwie świadoma jego przesuwających się po niej oczu, tyleż zażenowana, co w jakiś sposób podekscytowana, jak gdyby jej sprawiały przyjemność te drobne upokorzenia.

- Ciekawa jestem, kto tu żył - powiedziała. - To mieszkanie stoi od dawna puste.

Wyszła na korytarz i skierowała się w głąb do łazienki. Sądziła, że pójdzie za nią, lecz usłyszała jego kroki zmierzające do kuchni. Obejrzała w roztargnieniu łazienkę, wyraźnie

świadoma, że on się porusza w drugim końcu mieszkania. Wnętrze rozjaśnione było świetlikiem nad wanną. Armatura staroświeckiej, podwójnej umywalki stanowiła komplet z owalną ramą lustra. Jeanne zatrzymała się przed nim, poprawiła sobie włosy i sprawdziła w lustrze makijaż. Po czym, w nagłym przypływie zuchwalstwa, obciągnęła w dół majtki, uniosła płaszcz i spódniczkę, usiadła na toalecie. Wiedziała, że bezczelnością jest robić to nie zamknąwszy się od środka, a nawet przy drzwiach otwartych na oścież; że on w każdej chwili może tu wejść; a jednak bawiła ją ta możliwość. Przerazona, że mógłby ją tak przyłapać, równocześnie jakby spodziewała się, że to nastąpi.

Oparty o ścianę w kuchni Paul oglądał rury pod sufitem. Odgłos wody spuszczonej w łazience odwrócił jego uwagę. Do kuchni weszła Jeanne i minęli się, nie patrząc sobie w oczy, rozeszli się po różnych pokojach. Oboje uświadamiali sobie, że przedłużając tę inspekcję zwiększają szanse jakiejś konfrontacji. Jedno ani drugie nie pragnęło czynnie tej konfrontacji ani też nie zdążyło do niej, żadne jednak nie chciało się wyłamać z sekwencji ruchów, która mogła ich ponownie zetknąć; jak gdyby ustawieni w rodzaj układu choreograficznego nie chcieli zepsuć nastroju sztuki, zawartej w tych ścianach aury beczasowości.

Niemile wdarł się w to dzwonek telefonu. Jeanne podniosła słuchawkę w sypialni, a Paul zrobił to równocześnie w jadalni. Obcy głos mówiącego zamarł i wyłączył się, ale Paul i Jeanne dalej nasłuchiwali, każde z nich skupione na oddechu drugiego. Ona chciała, żeby się odezwał, ustąpił w jakimś drobiazgu - okazał najmniejszą słabość - wtedy już mogłaby zapewne wstać i po prostu wyjść. A nie zdobyła się nawet na odłożenie słuchawki, choć pragnęła rzucić ją z trzaskiem na ozdobny staroświecki korpus aparatu. Jego nieustępliwa arogancja trzymała ją. Paul mógł to podejrzewać, bo dumny był ze swej siły.

Położył cichutko słuchawkę na podłodze, wstał i przeszedł szybko przez okrągły salon na korytarz. Zobaczył ją klęczącą na podłodze, odwróconą do niego plecami, wciąż zasłuchaną. W słońcu włosy jej płonęły jaskrawo pomarańczowe jak gdyby w ogniu; drugą ręką odgarniała do tyłu płaszcz i przez chwilę przyglądała się napiętym mięśniom na jej udach.

Cicho postąpił naprzód i dojrzał dziecinny wyraz oczekiwania, gdy Jeanne nieświadomie przesunęła sobie po wardze czubkiem języka. Wtem spostrzegła go. Czym prędzej odłożyła słuchawkę, zmieszana i rozdrażniona; nie wiedziała, jak na niego spojrzeć. W tej chwili bała się i nienawidziła go.

- I co, zdecydował się pan? - spytała, nie mogąc ukryć irytacji w głosie. - Wynajmuje pan?

- Tak. Już byłem zdecydowany.

Uzyskawszy potwierdzenie swej siły, złagodniał wobec Jeanne. Postanowił bez względu na okoliczności zachować się całkiem uczciwie.

- A teraz nie wiem - powiedział. - Pani się spodobało?

Wziął ją za rękę i pomógł jej wstać. Miała palce chłodne, gładkie i ustępliwe, objęła nimi jego palce; ona zaś poczuła siłę jego szerokiej dłoni, palców niegdyś stwardniałych od jakiejś długotrwałej pracy fizycznej. Po raz pierwszy dotknęli się; dłonie ich przedłużyły to zetknięcie. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezbronna.

- Spodobało się? - powtórzył, kiedy ręce ich się rozłączyły. - To mieszkanie?

- Muszę się zastanowić - wyraziła w tych słowach swój lęk; trudno jej było zastanawiać się nad czymkolwiek.

- Byle prędko - powiedział, używając potocznego zwrotu, który w jego ustach zabrzmiał jak pogróżka.

Odszedł i Jeanne usłyszała jego kroki na korytarzu, trzaśnięcie drzwi frontowych, a potem już tylko własny oddech. Gdzieś o dwie przecznice dalej zatrąbił samochód i zapadła kompletna cisza. Poszedł sobie - stwierdziła - i poczuła się całkiem bez sił. Zgarnęła z podłogi swój kapelusz i w głębokim zamyśleniu ruszyła przez salon do wyjścia.

Paul czekał na nią. We wprost padającym blasku słońca wyglądał jeszcze potężniej z uniesionym podbródkiem, z oczyma na wpół przymkniętymi. Ramiona założył na piersi; jego rozchylony płaszcz ukazywał muskularną krzepę torsu i nóg. Jeanne odezwała się:

- Sądziłam, że pan wyszedł.

- Zatrzasnąłem drzwi. - Podeszedł do niej z wolna, wpatrując się w jej rozszerzone, niebieskie, umykające oczy, w których było teraz więcej rezygnacji niż lęku. - Czy źle zrobiłem?

- Nie, nie - odrzekła. - Po prostu myślałam, że pan wyszedł.

Paul ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w same usta. W pomieszczeniu upuściła kapelusz i torebkę, ręce położyła na jego szerokich barach. Stali przez chwilę absolutnie bez ruchu. Nic w okrągłym pokoju nie poruszało się z wyjątkiem pyłków krążących w smudze słońca; nie dobiegał ich żaden odgłos oprócz własnych, wytężonych oddechów. Byli jak gdyby zawieszani w czasie, jak wyblakłe piękno tego pokoju, odgradzeni od świata i od własnych, osobnych żywotów. Pokój ocieplił się i zamknął ich w tej chwili krótkich, milczących załotów.

Nagle Paul chwycił ją w ramiona i przeniósł pod ścianę przy oknie, całkiem bez wysiłku, jak dziecko. Ona zarzuciła mu ręce na szyję czując, że jest niewzruszona jak pień, pieściła mięśnie jego grzbietu pod gładką marynarką. Wydzielał leciutko stęchły zapach potu i

czegoś innego, czego nie umiała rozpoznać, bardziej męski niż u któregokolwiek ze znanych jej młodych mężczyzn, który ją niezwykle podniecił. Postawił ją, ale nie wypuścił z mocarnych rąk. przyciągając do siebie i przez materiał sukienki ważąc w dłoniach jej ciężkie piersi. Szybko i zręcznie rozpiął sukienkę, obie dłonie wsunął do środka i zakołysał nimi; obrysował kciukami jej sutki. Podniecała ją twardość jego skóry i naparła na niego ciałem.

Zaczęli wzajemnie, jakby zmówiwszy się, targać na sobie ubranie. Ona go uchwyciła przez spodnie; Paul sięgnął jej pod spódniczkę, zebrał w garść górny brzeg jej majteczek i zerwał je. Jeanne zachłysnęła się od tego zuchwalstwa, przywarła do niego w łęku i w oczekiwaniu. On jedną dłoń wcisnął jej pomiędzy nogi i omal jej nie poderwał w powietrze; drugą rozpiął sobie gwałtownie przód spodni. Chwyciwszy oburącz jej pośladki, dźwignął ją i nadział na siebie. Czepiali się jedno drugiego jak zwierzęta. Jeanne wspinała się po pniu jego ciała, obejmując go w biodrach kolanami, łapiąc go za szyję jak zagubione dziecko. On ją przygniótł do ściany i wbił się w nią głębiej; przez moment zmagali się niezgrabnie, jakby w zapasach, ale wnet utrafili w siebie i wysiłki ich stały się zgodne. Ciała ich napierały i cofały się jak dwie strony w najbardziej intymnym z tańców. Rytm stawał się coraz to bardziej gorączkowy, zapomnieli o muzyce i o świecie, miotali się z rozmachu i dyszeli, tłukli o ścianę, osłaniającą ich namiętność, aż osunęli się poza punkt wyjściowy ich własnych porywów, stopniowo i bez wyrzutów sumienia zamierając na wystrzępionym pomarańczowym dywanie.

Leżeli bez ruchu na podłodze, nie dotykając się, oddech im się uspakajał po trochu. Wreszcie Jeanne odtoczyła się od niego i głowę oparłszy na własnym ramieniu spojrzała w niebo. Upływały minuty i żadne się nie odezwało.

Wstali i uporządkowali swe ubrania, stojąc do siebie tyłem. Jeanne włożyła kapelusz pod tym samym kątem, co poprzednio, i poprzedzając go wyszła na korytarz, stamtąd na schody. Paul zamknął za nimi drzwi na klucz; Jeanne wezwała przyciskiem windę i skromnie odwróciła się od Paula. Dopiero przed minutami łączyli się w najdotkliwiej cielesnym z uścisków, a teraz, wyszedłszy z apartamentu, byli dalecy sobie i zakłopotani.

Wdzięcznie to przyjęła, gdy Paul odwrócił się i ruszył na dół po schodach, nie wsiadając z nią do windy. Nie mogli jednak uniknąć ponownego spotkania się w holu. Zastanawiała się, co on teraz uczyni, idąc tuż za nią, gdy mijali okienko konsjerżki, szczelnie zamknięte, i szli do wyjścia. Pierwsza wyszła z bramy na ulicę. Oślepiło ich światło słoneczne i odgłosy Paryża rozległy się jak kakofonia. Paul zerwał z bramy wypisane ręcznie ogłoszenie DO WYNAJĘCIA, zgniótł je i rzucił do rynsztoka. Przez moment zawahali się, a potem ruszyli w przeciwnych kierunkach i żadne z nich się nie obejrzało.

Rozdział II

Wydarzyło się to tak nagle, że mogłoby uchodzić za gwałt, ale Jeanne wiedziała, że nic podobnego. Czuła dotychczas zapach i masywność jego ciała, lecz pobudzało to ją tylko do wesołości i osłupiałego niedowierzania. Wydawało się niedorzeczne, aby mogła się tak całkowicie otworzyć przed kimś zupełnie obcym, chętnie biorąc w siebie jego nasienie i godząc się na gwałtowność, a następnie iść na spotkanie z drugim mężczyzną, o którym twierdziła, że go kocha, i nic mu nie powiedzieć.

Było coś pociągającego w tej sprzeczności.

Na dworcu Gare St Lazare kłębił się tłum. Pod ogromną kopułą było słychać, jak bucha para pod ciśnieniem, i poszarpane echo tysięcy stóp szurających na peronach. Wszystko wokół niej było ruchem i zgiełkiem - szorstką rzeczywistością - a dopiero co przeżywała coś na kształt zatrzymania w czasie, spełnienie romantycznych fantazji.

Jeanne kupiła w okienku peronówkę i poszła wzdłuż peronu. Parła pod prąd idącego tłumu wypatrując, kiedy zobaczy Toma. Czy nie wyda mu się jakoś zmieniona? Przyjaciele często zwracali uwagę na jego niezwykłą spostrzegawczość. Trochę ją to niepokoiło, choć na pozór była w tym ogromnym tłumie taka bezpieczna ze swą tajemnicą.

Stała na palcach, usiłując go dojrzeć, i nie spostrzegła, że podkraść się do niej z tyłu młody człowiek w dżinsowej kurtce i zaczął filmować z ręki czarną kamerą Arriflex. Obok operatora kuliła się chuda postać ze słuchawkami na głowie i magnetofonem Nagra zwisającym z ramienia. W jednej ręce trzymał kierunkowy mikrofon i zwracał jego lufę to w jedną, to w drugą stronę, zbierając tło dźwiękowe. Za tymi dwoma krążyła młoda sekretarka planu, ściskając w ręku plik papierów. Inni pasażerowie i oczekujący przystawali, żeby pogapić się na filmowców, ale Jeanne, wypatrując Toma, nie dostrzegła ich obecności. Wreszcie zauważyła go. Miał na sobie krótką, skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem, szalik jaskrawozielony z żółtym i rozszerzane u dołu spodnie. Nie wyglądał na swoje dwadzieścia pięć lat, ciemne włosy miał starannie ostrzyżone i uczesane, chód elastyczny i swobodny, uśmiech szczery i niewinny jak u małego chłopca.

Jeanne przepchała się przez tłum i rzuciła mu się w ramiona. Jego uścisk wydał jej się przez chwilę niedbały, nawet braterski, w porównaniu z przemożnym uchwytem Paula, jego rąk i barów. W tej chwili stojący obok nich pociąg zaczął się cofać z sykiem pary. Odwróciła się, by jej uniknąć, i dopiero wtedy spostrzegła grupę filmowców z kamerą.

W zaskoczeniu odsunęła się od Toma.

- Biorą nas za kogoś innego, czy co? - spytała, wyraźnie zirytowana.

Tom uśmiechał się dumnie w obiektyw. Był cały filmowcem, godnym uczniem Truffaut i Godarda, a sedno dokumentalnej metody, zwanej we Francji *cinema crite*, polegało na kulcie spontaniczności i ukrytej kamery, aż do podstępu włącznie. Prawda nie istniała dla Toma poza 16-milimetryowym paskiem celulozowym, wyświetlanym z szybkością 24 klatek na sekundę. Wyrafinowany podglądacz, wołał doznawać życia przez obiektyw kamery filmowej. W tym sensie stanowił dokładne przeciwieństwo Paula.

- To jest kino - powiedział - a to mój zespół. Właśnie kręcimy film.

Lekko musnął wargi Jeanne swoimi. Było w tym geście coś łobuzerskiego.

- Kiedy ciebie całuję, może to być też kino.

Dotknął jej włosów.

- Kiedy cię pieszczę, to znów kino.

Porwany swoją wizją, zaczął wspinać się po jej wiotkich konstrukcjach. Jeanne ściągnęła go na ziemię.

- Przestań! - zażądała, machając rękoma i spodziewając się, że filmowcy z kamerą znikną.

- To moi - sprzeciwił się Tom. - Już ci mówiłem.

Jak gdyby to wystarczyło za odpowiedź. Tom wziął swoją walizkę i poprowadził Jeanne do wyjścia z peronu. Filmowcy przesuwali się razem z nimi.

- Patrz - powiedział Tom - kręcą film dla telewizji. Będzie się nazywał *Portret dziewczyny*, a ta dziewczyna to ty.

- Powinieneś spytać mnie o pozwolenie.

Dźwiękowiec wysunął się naprzód, wystawiając długi mikrofon w kierunku Jeanne.

- Owszem - powiedział Tom, jakkolwiek rozcieszony, że nie doceniła jego pomysłowości. - Chyba mnie rozbawiło, żeby zacząć portret dziewczyny od tego, jak wychodzi - po narzeczonego na dworzec.

- I dlatego całujesz mnie, wiedząc, że to dla filmu. Co za tchórzostwo!

Pochłonięty wyłącznie kręceniem filmu, Tom odczytał jej gniew po prostu jako przejaw pomysłowości. Pogładził delikatnie jej policzek.

- Będzie to głównie historia miłosna - zapowiedział. - Zobacysz.

Kamera pracowała dalej.

- Teraz powiedz mi, Jeanne - ciągnął Tom - co robiłaś, kiedy mnie nie było?

Odpowiedziała mu bez namysłu:

- Dzień i noc myślałam o tobie i wołałam: Kochany, nie mogę bez ciebie żyć!

Była to chwila pełna napięcia. Ponieważ sarkazm nie dociera do głupców i dzieci, do Toma też nie dotarł. Dla niego Jeanne weszła nareszcie w rolę, którą dla niej przewidział, aż cały się rozpromienił. Jej gra zachwyciła go.

- Magnifique! - wykrzyknął, dając znak operatorowi. - To było wspaniałe. Cięcie!

Rozdział III

Niedaleko od Gare St Lazare, w wąskiej uliczce, ciągle jeszcze wybrukowanej kocimi łbami, gdzie z trudem wymijają się dwa samochody i gdzie przechodniowi równie łatwo usłyszeć język włoski albo angielski jak francuski, mieściło się kilka pensjonatów dla podróżnych. Te małe hoteliki miały również stałych mieszkańców - takich jak przegrani intelektualiści albo malarze, aktorzy nie robiący kariery, jedna czy druga prostytutka - pozostałe pokoje zaś wypełniali goście przyjezdni albo ci z lichszego półświatka paryskiego, jak dezerterzy, narkomani, sutenerzy i drobni przestępcy. Wątku więc łączyła wszystkie te rozbieżne typy, jako że wspólna im była pewna doza niepowodzenia życiowego i wspólna sceneria. Woń śmietników i skwaśniałego wina, turkot metra na pobliskiej stacji nadziemnej Bir Hakeim i ochrypli zgiełk z narożnego baru, ciągle sąsiedztwo skrytych, nielegalnych poczynañ, wszystko to było wspólne dla większości mieszkańców tej uliczki, tak samo jak wąskie i twarde łóżka, tylko jeden godziwy posiłek w ciągu dnia i marzenie o ładnej pogodzie.

Paul przemieszkał na tej ulicy pięć lat, w takim właśnie pensjonacie, należącym do kobiety, z którą się ożenił. Jej samobójstwo znaczyło, że hotelik stał się teraz jego własnością, co bynajmniej go nie zachwycało, jako że brzydził się tym hotelikiem i wszystkim, co się z nim wiąże. Przez kilka godzin po tym, jak wrócił z Rue Jules Verne, odwlekał wejście do pokoju, w którym jego żona się zabiła. Ale w porze obiadowej, kiedy służąca wciąż nie schodziła na dół, Paula to zaciekawiło i wszedł na górę po schodach, okrytych wydeptanym chodnikiem. Po hoteliku niósł się jęk saksofonu, dochodzący z pokoju po drugiej stronie podwórza, gdzie żyli sobie czarny Algierczyk z żoną, w jakim takim zadowoleniu. Algierczyk, muzyczny samouk, grał o najróżniejszych godzinach, lecz Paul nigdy go nie uciszał; nie dlatego, żeby ta muzyka sprawiała mu przyjemność, tylko dlatego, że nie bardziej mu przeszkadzała niż hałasy dobiegające z ulicy i skargi mieszkańców. Brzmiała zmysłowo i nadzwyczaj smutno. Poza tym wydawało się to Paulowi nic nie znaczące. Pchnął jedno z nie numerowanych drzwi na trzecim piętrze i stanął od razu wobec czegoś, co wyglądało jak istne jatki. Krew znajdowała się jak gdyby wszędzie: rozbryzgana po kafelkach w miejscu do mycia się, ociekająca po zasłonach od natrysku zwieszających się za brzeg wanny, spryskała też lustro nad

umywalką. W wyglądzie pokoju było tyle krwawej brutalności, jakby zarąbano tu na śmierć kilka osób.

Paul odczuł gniew i mdłości. Nie odzywając się przeszedł pokój, stanął przy oknie czekając, aż służąca skończy myć wannę. Chciało mu się znów płakać, ale nie mógł; taki był odrętwiały. Nie miał pojęcia, dlaczego to zrobiła, co tym bardziej potęgowało absurd i samotność jego zgryzoty. Może nie miała żadnego powodu poza tym, żeby go zaszokować.

Kran był odkręcony do końca. Dziewczyna wylała do spływu kubel rozwodnionej krwi, wyprostowała się i z tępym wyrazem twarzy popatrzyła na niego.

Paul stał wpatrzony przez szerokość podwórka w głąb pokoju, w którym Algierczyk wciąż wygrywał na swym tenorowym saksofonie. Miał wydęte policzki, a jego muskularne przedramiona naprężyły się, gdy przyciskał klawisze i unosił instrument nad głowę. Żona klęczała przed nim, cierpliwie przyszywając mu guzik do rozporoka. Gdy skończyła, odgryzła nitkę zębami, zbliżając niechętnie usta tuż do jego męskości. Paul nie zwrócił jakoś uwagi na prostą poufalskość jej gestu.

- Chciałam zaraz posprzątać - rzekła służąca - ale policja mi nie pozwoliła. Nie wierzyli, że to samobójstwo: wszędzie za dużo krwi.

Rzuciła w kąt zakrwawioną ścierkę, wzięła drugą. Potem uklękła i zaczęła wycierać kafelki.

- Zabawiali się, każąc mi to przedstawiać - powiedziała, naśladując głosy policjantów.
- Poszła tam... Poszła tutaj... Odsunęła zasłonę. - Robiłam wszystko tak, jak ona. - Przerwała i zeskrobała paznokciem trochę przyschniętej krwi. - Goście nie spali całą noc, hotel był pełen policji. Po prostu taplali się we krwi. Wszystko to szpicle!

Paul rozejrzał się. Zmatowiałe mosiężne łóżko, pokancerowana szafa, obdarty parawan w lecące ptaki w stylu orientalnym: wszystko typowe dla każdego trzeciorzędowego hoteliku we Francji; i to właśnie Rosa wybrała jako dekorację do swojej śmierci! Jeszcze przed jej samobójstwem ten pokój czuć było śmiercią.

Służąca wrzuciła ścierkę do kubła, znów do połowy napełnionego rozwodnioną krwią. Wzięła się do zmywania zasłon wokół natrysku.

- Dopytywali się, czy była smutna. Czy była szczęśliwa. Czy klóciliście się, czy nie biliście się. Jak dawno się pobraliście. Dlaczego nie macie dzieci. Świntuchy! A mnie traktowali jak szmatę.

W głosie jej nie było cienia emocji. Paul wiedział, że Rosa nie była lubiana przez nią, ani przez innych pracowników, bo naprawdę zajmowała się ich nijakim życiem i dlatego spodziewali się od niej czegoś więcej, niż zasługiwali.

Służąca mówiła dalej:

- A później powiedzieli: Z twojego szefa jest nerwus, co? Wiedziałaś, że był bokse-rem? No i co z tego. A nie był aktorem, nie grał na bębnach? Był też w Meksyku rewolucjo-nistą, w Japonii dziennikarzem. Pewnego dnia przypłynął na Tahiti, trochę się objął, nauczył się po francusku...

Niegdyś pysznił się tą listą swoich osiągnięć, ale w ostatnich latach wszystko to zaczę-ło mu się wydawać bez znaczenia. Rosa mogła odmienić jego życie.

- Potem przyjeżdża do Paryża - wyliczała służąca. - Spotyka bogatą kobietę, żeni się z nią. Zapytali: No i co porabia twój szef? Jest na jej utrzymaniu! - Służąca wzruszyła ramio-nami, nie podnosząc oczu znad roboty. - A ja pytam: Czy mogę już posprzątać? A oni na to: Niczego tu nie dotykaj. Naprawdę myślisz, że ona się sama zabiła?

Wstała i wytarła ręce w fartuch.

- A później ten gliniarz wepchnął mnie w kąt i próbował...

- Zakręć już tę wodę - przerwał jej Paul.

Odgarnawszy sobie z czoła przetłuszczone pasemka włosów, nachyliła się i zakręciła gwałtownie kran.

- W porządku - stwierdziła, oglądając pokój, jak gdyby nie zrobiła tu niczego więcej niż zwykle sprzątanie po jakimś niechlujnym gościu. - Już nic nie widać.

Paul odwrócił się i popatrzył na dużą, pustą walizkę, leżącą na łóżku. Zawierała ona pamiątki jego żony, osobliwy zbiór listów, zdjęć i drobiazgów: nawet kołnierzyk od sutanny, czego sobie nie potrafił wyjaśnić. Wszystko to ukrył przed policją, nie żeby się lękał badania tych przedmiotów; po prostu żeby nie dać im tej przyjemności. Pamiątki nie nasunęły mu żadnej poszlaki co do powodu, dlaczego Rosa się zabiła; w ogóle nie kojarzyły się z nią. Wy-dawało mu się, że dobrze zna swoją żonę, że wreszcie udało mu się zadzierzgnąć trwałe kon-takt z drugą istotą ludzką; ale się mylił. Jego życie składało się z całej serii romantycznego wyżywania się w sprawach z góry przegranych; wszystkie jego powiązania z ludźmi - jak-kolwiek ryzykowne - sprowadzały się w końcu do zera. Za młodu nie przywiązywał do tego wagi; z czasem jednak uświadomił sobie, że nie będzie żył wiecznie i że umierać mu przyj-dzie w samotności.

- A co mówili o walizce? - zapytał.

- Nie wierzyli, że była pusta. Ich strata.

Służąca wyjęła mimochodem staroświecką brzytwę z kieszeni swego fartucha i wrę-czyła ją Paulowi.

- Tu jest pana brzytwa - powiedziała.

- To nie moja.

- Ale im już nie będzie potrzebna. Dochodzenie skończone.

Paul przesunął kciukiem po chłodnej, tępej krawędzi, pomacał gładką, kościaną rękogę. Tym narzędziem Rosa pozbawiła się życia. Nie pozbędzie się jej.

- Kazali mi ją panu oddać - powiedziała, przyglądając się, jak na to zareaguje. Paul wrzucił sobie brzytwę do kieszeni marynarki.

- Schowaj tę walizkę - polecił.

Wzięła się do spełnienia jego rozkazu.

- Miała całą szyję pochlastaną raz koło razu.

Paul nie pozwolił jej dalej mówić.

- Oni ją zbadają - powiedział i wyszedł.

Nastrój saksofonisty się zmienił. Głęboka, dźwięczna melodia stała się bardziej zmysłowa niż melancholijna i myśli Paula powróciły do dziewczyny i wydarzeń tego poranka. Idea seksu bez miłości, bez uczuć, przemawiała mu do chorobliwego nastroju. Był to sposób na ogrzanie się, jakkolwiek przelotne, w obliczu nędzy ludzkich pożądań i pewnej śmierci. W piwnicy złożone miał trochę zapasowych mebli; już załatwił ich przewóz. Trafił mu do przekonania pomysł, aby dostosować się do pewnych konwencji. Instalując w apartamencie na Rue Jules Verne kilka marnych gratów potwierdzi swoją tam obecność. Zszedł po schodach i od razu wyszedł z hotelu, przysunawszy tylko tyle, by zabrać płaszcz. Bardzo możliwe, że dziewczyna już tam nie wróci, lecz on nie brał tego pod wagę.

Rozdział IV

Jeanne pojechała na górę windą, właściwie sama nie wiedząc po co. Stara maszyna wzdychała, rzęziła, jakby już nie była w stanie wspiąć się na piąte piętro. Część jej umysłu pragnęła wrócić do nie wietrzonego holu, wciąż pustego, w którym widniała tylko stara wariatka, odwrócona plecami w swym okienku i mrużąc bez żadnej melodii. Jeanne usiłowała przekonać samą siebie, że naprawdę chce wynająć ten apartament, gdyby się okazało, że spotkany tam mężczyzna zrezygnował. Ale teraz już nie apartament był jej potrzebny.

Przycisnęła dzwonek, prawie natychmiast zadzwoniła ponownie. Nic się nie ruszyło w tej zamkniętej dla czasu krypcie, którą przedstawiała sobie w jesiennych barwach stłumionej czerwieni i złota. Tak ścisnęła klucz, aż dłoń jej się spociła.

Jakieś drzwi otworzyły się na wyższym piętrze i rozległy się kroki. Jeanne wpadła nagle w bezsensowny popłoch. Sama już nie wiedziała, czego się bardziej obawia: że ktoś zoba-

czy ją, czy że zostanie przepędzona z samego progu tej przygody? W jednej chwili porywczo włożyła klucz do zamka, przekręciła i pchnęła drzwi na oścież. Apartament ogarnął ją; poczuła się jak w domu. Nawet nie oglądając się, prędko zamknęła drzwi.

Obróciła się w stronę wąskiego korytarza, łączącego pokoje, i z wolna ruszyła naprzód. Wszystko było takie, jak zapamiętała. Słońce przesunęło się, rozjarzając przeciwległą ścianę okrągłego salonu. W miękkim świetle znaki wodne i spękania na starej tapecie przypominały delikatne linie kardiogramu. Odżyło w niej podniecenie i niedowierzanie, jakich doświadczyła tamtego poranka. Ze spotkania tego wyszła rozjątrzona; wciąż myślała o nim, nawet i wtedy, kiedy Tom ją filmował. Nie wiedziała, czego teraz się ma spodziewać.

Coś poruszyło się. Jeanne, obróciwszy się na pięcie, ujrzała w kącie przy kaloryferze wielkiego, żółtego kota, skulonego w cieniu i obserwującego ją. Tupnęła nogą i ruszyła na niego, sycząc, jak prawdziwa rywalka. Zgniewał ją ten zwierzęcy intruz i jego bezczelne przyglądanie się. Kot wskoczył na parapet i znikł za uchylonym oknem. Mimo to ściagała go dalej, aż okazało się, że patrzy na dachy domów, przeciw sobie mając odległy, ciernisty szpic Wieży Eiffla, drwiący z niej w masywnej trwałości. Klakson wozu policyjnego dobiegł ją zza Sekwany i ucichł. Apartament znów pograżył się w nastroju przystani.

- Alb! - zawołał ktoś na korytarzu.

Jeanne ogarnął przelotny popłoch, jak przedtem. Uniosła klucz i trzymała go przed sobą jak tarczę. Spodziewała się zwałistego mężczyzny w płaszczu z wielbłądziej wełny. Tymczasem zobaczyła wynurzające się z korytarza nogi fotela, sunące na ludzkich nogach w wyblakłym, niebieskim kombinezonie i zdartym obuwiu. Fotel opadł i spoza niego ukazał się robotnik w wyświechtanym berecie. Z wargi zwisał mu Gauloise.

- To gdzie, proszę pani - przemówił wyrazistym akcentem z Marsylii - mam go postawić? Jeanne była tak zaskoczona, że mowę jej odjęło. Człowiek, nie czekając na odpowiedź, wyszedł na środek salonu i tam postawił przydźwigany fotel.

- Mógł pan zadzwonić - powiedziała, czując się nadzwyczaj głupio.

- Drzwi były otwarte. - Robotnik odkleił sobie od ust papierosa i wypuścił dym z obu nozdrzy. Czubek był ciemnobrązowy od jego śliny. - Można go tutaj zostawić? - wskazał na fotel.

- Nie. Przed kominkiem - odparła stanowczo Jeanne.

Skrzywił się, przesunął fotel i sztywno wyszedł z pokoju.

Jeanne postanowiła też wyjść. Ale kiedy podeszła do drzwi, natknęła się na drugiego robotnika, który też ciągnął za sobą fotel.

- A krzesła gdzie? - zapytał i nie czekając na odpowiedź zaczął ustawiać je na środku pokoju. Pierwszy wrócił ze stołem, okrągłym, z barwionego drzewa wiśniowego, na ciężkiej i obdrapanej podstawie. Nie pasował do krzeseł, fałszywych Windsorów z jaśniejszego drzewa, może jesionu; i Jeanne zadała sobie pytanie, czy to meble należące do tego Amerykanina. Jeanne, zajmująca się sprzedażą antyków, pomyślała, że to dziwny zestaw jak na to, aby go łączyła mężczyzna, choć nie mogłaby się domyślić, że jest to umeblowanie pościągane z różnych pokoi starego hotelu.

- A stół gdzie? - spytał robotnik.

- Nie wiem - odpowiedziała Jeanne udając, że to jej mieszkanie. - On sam zdecyduje.

Włazący robotnicy wytrącili Jeanne z jej nastroju. Teraz już była pewna, że kto inny wynajął to mieszkanie. Znowu skierowała się na korytarz, aby czym prędzej wyjść, i znowu zablokowano jej przejście; tym razem dwaj robotnicy, zmagający się z brzemieniem podwójnego materaca. Zwalili swój ciężar w małym pokoiku wychodzącym na korytarz, jednak materac nie mieścił się i wystawał za drzwi.

Gdy wychodzili, dała im po pięć franków.

Teraz już mogła uciec. Ale za późno! Nagle zgrzytnął i trzasnął zamek. Wyjrzała na korytarz i zobaczyła szerokie bary Paula odziane w płaszcz.

Pierwszy raz w życiu Jeanne ogarnęło prawdziwe przerażenie. Myśli jej zatrzępotwały jak schwytyany ptak. Dlaczego nie wyszła wcześniej, dopóki mogła? Cofając się, padła na miękki fotel i podkuliła swe długie nogi, obejmując je ramionami w geście poddania. Słuchała jego zbliżających się kroków; i odwróciła głowę, żeby nie znaleźć się z nim twarzą w twarz, kiedy wejdzie. Gotowa była okazać zaskoczenie, lecz on wszedł i prawie nie spojrzał w jej kierunku. Z rękoma wbitymi głęboko w kieszenie płaszcza przeszedł się od niechcienia, oglądając umeblowanie z wyrazem lekkiego niezadowolenia.

Podszedł do jej fotela. Zamierzała mu powiedzieć o kluczu, że przyszła go tylko zwrócić, lecz nie chciała się pierwsza odezwać. Wciąż istniała szansa, że on da jakiś wyraz swojemu zadowoleniu z jej przybycia.

Ale gdy przemówił, było to polecenie.

- Fotel musi stanąć pod oknem.

Zanim się zdążyła odezwać, chwycił za poręczę i z imponującą siłą, na wpół unosząc fotel razem z siedzącą, przesunął go aż pod okno. Odstąpił i od niechcienia zdjął płaszcz, rzucił go na oparcie drugiego fotela. Ubrany był w miękka, szarą marynarkę w pepitkę i sweter z golfem, co nadało mu wygląd młodzieńczy. Zdążył się już ogolić i starannie zaczesać włosy.

Wydał się jej niemal wytworny. Miała nadzieję, że zadbał tak o siebie ze względu na nią. Jej przestkach zmalał. Odezwała się defensywnie:

- Przyszłam oddać klucz.

Zignorował jej słowa.

- Pomóż mi - rozkazał.

Jego ton nie dopuszczał sprzeciwu. Jeanne stanęła jakby na; baczność i wywinęła się z płaszcza, dotkliwie świadoma faktu, że niczego nie ma pod spódniczką. Potrząsnęła głową i cała grzywa kasztanowatych loków opadła jej na ramiona. Duże piersi występowały dobitnie pod opinającą ją cienką, syntetyczną tkaniną sukni. Paul skoncentrował się na czym innym.

- Szybko sprowadziłeś te meble. - Wskazała na klucz, leżący na stole. - Przyszłam go tobie oddać.

- Co za różnica? Podniósł i wręczył jej krzesło, po raz pierwszy spojrzawszy na nią.

- Ustaw te krzesła wokół stołu - polecił.

Jeanne wzruszyła ramionami i posłuchała. Z jednej strony sprawiało jej przyjemność, że komenderuje ją ten dziwny nieznajomy, lekceważący grzeczności towarzyskie, z drugiej strony była tym poirytowana.

- Chciałam ten klucz wyrzucić - powiedziała nie odwracając się i przesunęła palcami po gładkiej, twardej krawędzi oparcia, wyłobionej i zaokrąglonej na szczycie. Palcem wskaźującym okrążyła z wolna dający się wyczuć słój drewna, obserwując swój długi, smukły paznokiec.

- Ale jakoś nie mogłam go wyrzucić - podjęła. - Co za idiotka ze mnie.

Pozwoliła sobie na to drobne wyznanie, pewna, że coś na nie odpowie. Okazywała przez to swą bezradność i on przecież na to zareaguje. W końcu też jest człowiekiem, mimo że ma w sobie tę aurę zagrażającej przemocy.

Jeanne odwróciła się, aby spojrzeć mu w oczy, i okazało się, że jest sama w pokoju.

- Hej, panie - zawołała w przyływie nagłej irytacji, a rozczarowaniu jej dorównywało tylko niedowierzenie. Jemu naprawdę nie zależy! Trudno jej było to zrozumieć po tym” co się tu wydarzyło.

- Gdzie pan jest? Muszę już iść.

Żadnej odpowiedzi. Pomyślała przez chwilę, że wyszedł, ale płaszcz jego ciągle tu leżał. Znow ogarnął ją lęk, taki sam jak dzisiejszego ranka.

Szukając go przeszła przez salon, minęła stare meble przykryte płachtą, wyszła na korytarz.

Stał przy drzwiach małego pokoiku i przyglądał się wystającemu z nich materacowi, z jedną ręką na biodrze, drugą wsparty o ścianę.

- Łóżko się nie zmieści w tym pokoju - stwierdził, jakby to nie było oczywiste.

- Nie wiem, jak się nazywasz - powiedziała.

- Nie nazywam się.

Dziwnie to zabrzmiało! - pomyślała Jeanne.

- Chcesz wiedzieć, jak ja się nazywam? - spytała.

- Nie.

- Mam na imię...:

Nie dostrzegła w ogóle ciosu. Jakby tylko ruszył przegubem, ale siła, z jaką grzbiet jego dłoni uderzył ją, odrzuciła jej głowę na bok. Jeanne rozdziawiła usta, jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia, gniewu i strachu.

- Nie chcę znać twojego imienia - oświadczył, wpatrując się w nią z bliska, z pogroźką. - Nie masz imienia. Ja też nie mam imienia. W ogóle się nie nazywamy. Żadnych imion czy nazwisk.

- Oszalałeś - jęknęła Jeanne, przyciskając sobie dłoń do policzka. Zaczęła płakać.

- Może i oszalałem. Ale nie chcę o tobie nic wiedzieć. Nie chcę wiedzieć, gdzie mieszkasz i skąd pochodzisz. Nie chcę niczego wiedzieć. Niczego! Rozumiesz? - Słowa te niemalże wykrzykiwał.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała, ocierając sobie łzy z policzka.

- Niczego - powtórzył. Teraz już mówił cicho, wpatrując się jej w oczy. - Ty i ja będziemy się tu spotykać, nie wiedząc nic o niczym, co się dzieje na zewnątrz. - Głos jego brzmiał jakby hipnotycznie.

- Ale dlaczego? - spytała potulnie.

Paul nie odczuwał dla niej litości. Podszedł i położył jedną dłoń na jej gardle. Skóra była miękka i gładka, mięśnie pod nią napięte.

- Dlatego - powiedział - że nie trzeba nam tutaj nazwisk. Zapomnimy o wszystkim, cośmy wiedzieli. Wszystkich ludzi, wszystkiego czym się zajmujemy i gdzie mieszkamy. Zapomnimy o wszystkim. Próbowała sobie to wyobrazić.

- Ale ja nie potrafię. A ty potrafisz?

- Nie wiem - przyznał. - Boisz się?

Nie odpowiedziała. Paul zaczął powoli rozpinąć guziki jej sukni. Uczynił ruch, żeby ją pocałować, ale Jeanne się cofnęła.

- Nie teraz - powiedziała spuszcżając oczy. - Pozwól mi odejść.

Paul chwycił ją za rękę. Była bezwładna.

- Jutro - rzekła półgłosem. Podniosła jego dłoń i ucałowała ją. - Proszę. Jutro będę cię bardziej pragnąć. Stali tak wpatrując się sobie w oczy, zdobywca i delikatna zdobycz, oboje niepewni, co nastąpi.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Tak będzie dobrze. Nie zamieni się w nawyk.

Nachylił twarz ku jej twarzy, biorąc ją garścią za włosy, wdychając jej zapach.

- Nie całuj mnie - powiedziała. - Jeśli mnie pocałujesz, nie potrafię już odejść.

- Odprowadzę cię do drzwi.

Ruszyli od niechcenia korytarzem, jak gdyby nie chciało im się rozstać. Teraz już nie dotykali się, ale odczuwali dotkliwie i wzajemnie swe ciała, bliskość i drażniącą możliwość. Teraz to ich wiązało. Paul otworzył przed nią drzwi i Jeanne wyszła na podest.

Odwróciła się, żeby powiedzieć mu do widzenia, ale ciężkie drzwi już były zamknięte.

Rozdział V

Paul nie czuł podniecenia, kiedy Jeanne wyszła, tylko chłodne uczucie przewagi. Nie spodziewał się niczego więcej i nawet o tym już zapomniał, kiedy wrócił do swego hotelu, aby powąchać znów rzeczywistość gnijących ryb, tam gdzie śmietnik przewrócił się do rynsztoka na jego ulicy, i słysząc wrzaski, które z początku brał za okrzyki bólu, aż uświadomił sobie, że to jakieś zostawione bez opieki niemowlę. Czy Rosa krzyczała dokonując swej ostatniej: czynności? Doszedł do wniosku, że go porzuciła w milczeniu, tak samo jak żyła z nim. To i fakt, że nie pozostawiła mu żadnych wyjaśnień, było jak dodatkowe obroty noża w ranie tej udręki, którą Paul czuł we wnętrzościach. Życie w ogóle jest parszywe, brudne i ciężkie: doskwierał mu każdy ostrzejszy dźwięk i najmniejsze podrażnienie, aż czasem trudno mu bywało powstrzymać swój dziki odruch. We foyer nie było nikogo. Za małym kontuarem, na którym mieściła się tylko sfatygowana księga hotelowa (którą Paul trzymał wyłącznie ze względu na obowiązujące przepisy, bo nie interesowało go, jak się nazywa ktokolwiek z gości), drzwi do jego pokoju stały otworem. Ktoś tam się poruszał, więc starannie wysunął się z płaszczem, położył go na kontuarze i wszedł po cichu. Przydałaby mu się jakaś walka, lecz okazało się, że to jego teściowa, ospała niewiasta w średnim wieku, ubrana w gładki czarny płaszcz i kapelusz z woalem żałobnym. Oczy miała zaczerwienione, a ciało wokół nich jak gdyby w sińcach. Gruba warstwa pudru nie mogła do końca pokryć chorobliwej bladości jej cery. Stała przed biurkiem Paula z wyciągniętą szufladą, grzebiąc w ubraniach Rosy trzęsącymi się dłońmi. Nie przeszkadzał jej. Paul z mieszanymi uczuciami podchodził do Mere

(prosiła, żeby ją tak nazywał, a jego to niewiele kosztowało) i nie były to uczucia wyłącznie złe. Ona i jej podlizujący się mąż należeli do drobnomieszczaństwa, które miał w pogardzie, ale wiedział, że kochała swą córkę i że próbowała ją, chociaż bez powodzenia, zrozumieć. Paul był przekonany, że Rosę rozumie on jeden i nikt więcej, a głupota tego domniemania, tak brutalnie ujawniona mu zeszłej nocy, sprawiła, że teraz z nieco większą tolerancją podchodził do jej matki. W końcu to Mere zdecydowała, że da im prowadzić hotel; ale z drugiej strony może i nie było to zbyt szczęśliwe. Może jakoś by się im ułożyło, gdyby wyjechali z Paryża...

Odwróciła się i spostrzegła go. Przez kilka sekund oboje zawahali się, a potem szybko przystąpili do siebie i objęli się. Ona czuła, że Paul jest jej nadzwyczaj bliski, on zaś przypominał sobie, jak z Rosą wybierali się co niedziela pociągiem do małego domku w pobliżu Wersalu. Mere zawsze podawała ragout czy jakąś inną nieciekawą potrawę z miejscowym białym winem, które było wytrawne i z lekka musujące, a nie pozostawiało skutków.

- Przyjechałam tym pociągiem o piątej - rzekła. Podniosła na niego zmęczone, żalodne oczy. - Och, mój Boże, Paul! - zawołała.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć, i bał się jej pytań. Może zrozumie, że pytania tu nie dadzą? Odwróciła się i zaczęła obsesyjnie szperać w świstkach papieru, guzikach i szpilkach, różnych takich osobistych przedmiotach na stoliku znajdującym się przy łóżku Paula.

- Papa leży złożony astmą - wyjaśniła. Ani ona, ani też Paul nie martwili się, że nie przyjechał, jako że Paul i Rosa nigdy nie byli po jego myśli, chociaż nie śmiał tego powiedzieć. - Doktor nie pozwolił mu wstawać. To nawet lepiej. Ja jestem silniejsza.

Podeszła do szafy i otworzyła ją, nie pytając go o pozwolenie. Przejrzała suknie Rosy i przeciągnęła dłonią po górnej półce. Pozdejmowała kolejno jej torebki, spiętrzyła je na łóżku. Wywróciła każdą z nich do góry dnem, ale nie znalazła nic oprócz starej szminki.

- Czego szukasz? - zapytał Paul z rosnącą irytacją. Ich wzajemna serdeczność, podejrzewał, długo nie potrwa.

- Jakiegoś wytłumaczenia - odrzekła Mere. - Listu, jakiegoś znaku. To niemożliwe, żeby moja Rosa nie zostawiła czegoś dla swojej matki. Choćby jednego słowa.

Rozplakała się przeciągłym, zdławionym szlochem. Paul zgarnął torebki i włożył je z powrotem, zamknął drzwi szafy. Na jej szczycie leżała walizka, w której Rosa przechowywała swe pamiątki; zapatrzył się na nią. Nie ma powodu, żeby przeglądał te rzeczy, skoro i tak nic nie wyjaśnią.

- Powiedziałem już przez telefon - rzekł. - Niczego nie zostawiła. Nie ma do szukać.

Podniósł jej walizkę, dużą, płócienną walizkę, jak gdyby za ciężką na krótki pobyt. Nie chciał, żeby długo przebywała w hotelu, bo jej widok przypominał mu Rosę i wszystkie sprawy dotąd nie rozwiązane.

- Powinnaś odpocząć - oświadczył jej tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Na górze są wolne pokoje. Paul wyprowadził ją na schody. Mere nie omieszkała zauważyć, jak wytarty jest chodnik i jak odstaje od uchwyków na każdym stopniu; że w mosiężnej lampie przy kantuarku żarówka jest stłuczona; i że przejrzyste brzegi matowych szyb we frontowych drzwiach nie były umyte od roku. Poza tym w hotelu unosiła się woń, której nie mogła sobie przypomnieć - jak gdyby starego sera Camembert - i tym bardziej rada była, że małżonek z nią nie przyjechał.

Na schodach minęli parę czarnych. Był to Algierczyk, grający na saksofonie, i jego żona, oboje ubrani w nieco za duże płaszcze i oboje szczerzący w uśmiechu białe, zdrowe zęby. Paul skinął im głową, a Mere przystanęła na stopniu i patrzyła za schodzącymi. Kiedy ona prowadziła ten hotel, nie wpuszczano tu kolorowych; spojrzała na Paula ze zdumieniem. On przyjrzał się jej chłodno, bez wyrazu. Nie zamierzał jej dawać okazji do uskarżania się i odwróciwszy się, zanim miała czas się odezwać, ruszył dalej na górę.

Bodajże wszystkie drzwi wymagały odmalowania i przez to wyglądały tym bardziej anonimowo. Z jednych dobiegał odgłos odkurzacza, którym posługiwała się pokojówka.

Paul otworzył pchnięciem następne drzwi i wprowadził Mere do środka. Na małym biurczku stała szklanka od mleka, ale bez kwiatów. Położył jej walizkę na środku łóżka, które zapadło się z jękiem strudzonych sprężyn.

- Brzytwą? - spytała Mere i Paul aż się skrzywił. Wiedział, że nie ominie go to pytanie, jednak nie był na nie przygotowany.

Odpowiedzieć: to było prawie jak poddać się chorobie.

- Tak - stwierdził beznamiętnie.

- O jakiej porze to się stało?

Paul zdecydował się raz to wyjaśnić i już nigdy więcej o tym nie mówić, cokolwiek by się zdarzyło.

- Nie wiem - zaczął. - Miałem nocny dyżur. Ostatni gość wrócił około pierwszej. Zamknąłem wejście i...

Zamknął oczy, znów ujrzał tę scenę: mały pokój, pławiący się w takiej ilości krwi, że wydawało mu się to niemożliwe. Rosa leżała, osunąwszy się, w wannie, posępna i surowa nawet w tej makabrycznej śmierci. Nie był w stanie pójść dalej niż do łóżka, nie dlatego, by nie mógł znieść widoku, ale ponieważ bał się brzytwy i tego, co mógłby z nią zrobić. Mogła-

by go jakoś uprzedzić - choćby jeden gest, jedno wcześniejsze słowo - cokolwiek, co by złagodziło ten fakt lub uczyniło go bardziej zrozumiałym. Mogła tak to załatwić, żeby nie on, ale pokojówka czy portier Raymond odkryli tę okropność. Czy chciała, żeby jeszcze bardziej cierpiał, czy po prostu jej nie zależało? Tak czy owak wrażenie było miazdzące.

- Zabiła się w ciągu wieczora - zakończył.

- A potem?

Głos jej był jak echo: cokolwiek Paul by powiedział, z góry wiadomo, że nastąpi kolejne pytanie.

- Już ci mówiłem - odrzekł, raptem strasznie zmęczony. - Kiedy ją znalazłem, wezwałem pogotowie.

Wyszedł z powrotem do holu, zanim się zdążyła odezwać. Pokój, o którym mówili, znajdował się na wprost, po przeciwległej stronie holu i Paulowi wydało się, że słyszy tam wodę lejącą się do wanny. Przycisnął ucho do surowego drewna. Mere zaczęła się rozpakiwywać i nie zauważyła, jak wyszedł.

- Po twoim telefonie - powiedziała - całą noc nie zmrużyliśmy oka, tylko rozmawialiśmy o Rosie i o tobie.

Czyżby służąca zostawiła lejącą się wodę? - pomyślał Paul. Mogła to zrobić albo na złość, albo lękając się, żeby krew nie została w rurach. Była nadzwyczaj przesadna; Paul zastanawiał się, czy ona jest jeszcze w tym pokoju.

Zawrócił do pokoju Mere. Starannie rozkładała swoje rzeczy: przybory toaletowe, ciepłą koszulę nocną, czarną suknię na pogrzeb. Spoglądała na to z satysfakcją.

- Papa cały czas szeptał - ciągnęła - całkiem jakby to zdarzyło się w naszym domu.

Podniosła na niego oczy z dziwnym wyrazem, który wydał mu się groteskowy.

- Gdzie to się stało? - zapytała.

- W jednym z pokoi. - Powiedział to nieco pogardliwie, wymawiając słowo chambre w taki sposób, jakby chodziło o jakiś wytworny apartament. - Co za różnica.

- Czy cierpiała? Czy ktoś to wie?

A jak mogła nie cierpieć? - pomyślał Paul. I dlaczego to uczyniła?

- Musisz o to zapytać lekarzy. - Ze złośliwą satysfakcją dodał: - Właśnie robią jej sekcję.

Rozdziawiła usta w zaskoczeniu. Sekcje kojarzą się ze zbrodnią i niesławą, więc ona do tego nie dopuści.

- Żadnej sekcji! - oświadczyła, jak gdyby to ona o tym decydowała.

Paul nie zniósłby już następnych pytań. Odwrócił się i skierował do pokoju naprzeciw. Poruszył klamką, a potem nagle otworzył drzwi na oścież. Pokój był pusty i znów tak samo porządny jak przedtem. Woda z kranu buchała do wanny; przeszedł przez pokój i zakręcił go. Zapatrzył się w czystą, emaliowaną powierzchnię. Może powinien przyprowadzić tu Mere i pokazać jej scenierię samobójstwa jej córki. Może to by ją zaspokoilo. Paul dokręcił kran jeszcze mocniej, ale wstrzymał się, zanim by go uszkodził. Ten pokój był taki banalny! może dlatego Rosa go wybrała.

Po drugiej stronie holu Mere wzięła się do rozpakowywania kartoników i kopert. Wszystkie były w czarnej obwódce, stosownej tylko dla zawiadomień o zgonie. Były to pozostałości z pogrzebów innych krewnych i Mere szczyliła się swą wiedzą i doświadczeniem w tego rodzaju sprawach. Z ostatnią posługą dla swej córki też znakomicie sobie poradzi; Rosa będzie miała wszystko, co trzeba. Trochę ją niepokoił tylko Paul. Zawsze się go lękała i zarazem wyczuwała w nim tę wyrazistą męskość. Jakże niepodobny był do jej własnego małżonka! Kiedyś zdawało się jej, że Paul to jedyny rodzaj mężczyzny, który poradzi sobie z jej córką, dlatego pobłogosławiła jej małżeństwo z żołnierzem fortuny. Tak wyraził się o nim jej mąż.

Paul stanął we drzwiach, spoglądając na kolekcję żałobnych zawiadomień i kopert. Mere podniosła jedną z nich i przyjrzała się jej nieomalże z lubością.

- Miałam je w domu - powiedziała, unikając jego wzroku. - Zdarzało mi się już zetknąć ze śmiercią. Nauczyłam się wszystko przewidywać. Upiększę ten pokój. Cały będzie w kwiatach. Paul zacisnął pięści. Przełało mu się.

- Zawiadomienia i krewni - odezwał się gorzko - kwiaty i stroje żałobne, wszystko w tej walizce! O niczym nie zapomnialas prócz jednego. Nie będzie żadnych księży.

To nie przyszłoby jej do głowy. Pogrzeb bez księdza to coś nie do pomyślenia.

- Ale katolicki - wyjąkała - to będzie katolicki pogrzeb.

- Rosa była niewierząca!

Słowa te rozniosły się po korytarzu. Inne drzwi pootwierały się i goście zaczęli nasłuchiwać. Samobójstwo Rosy rzuciło cień na cały hotel i wielu z gości przemykało się ukradkiem po schodach i korytarzach, lękając się czy to śmierci, czy niezręczności. Paul nie był pewien, którego z dwojga, i nie dbał o to.

- Tutaj nie ma wierzących! - wykrzyknął, żeby wszyscy słyszeli. - Paul ryknął: - Kościół nie toleruje samobójców!

- Paul nie krzycz - powiedziała Mere, cofając się trwożnie, aż rozdzieliło ich łóżko.

Całkiem bez sensu, jednak czuł się udręczony i sfrustrowany. Przez chwilę myślał, że ją udusi, ale skierował swoją wściekłość na drzwi i grzmotnął w nie potężnie najpierw jedną, a potem drugą pięścią, aż łupnęły o ścianę. Zadygotały na zawiasach i cisza zapadła w hotelu.

- Dadzą jej rozgrzeszenie - stwierdziła Mere, wybuchając znów rozpaczliwym płaczem. - Ja to załatwię. Odprawi się taką piękną mszę... - Usiadła na łóżku i zakryła twarz dłońmi. - Wiesz, co powiedział papa? - wyszlochała, nie mogąc odmówić sobie wygłoszenia tego, co uważała za prawdę. - On powiedział: „Moja córeczka zawsze była taka szczęśliwa. Co oni jej zrobili? Dlaczego musiała się zabić?”

Paul też chciałby sobie zapłakać, ulżyć jakoś swojej udręce. Ale nic nie mógł zrobić.

- Nie wiem - powiedział. - Nigdy się nie dowiem.

Opanowując swej gniew, odwrócił się i szybko wyszedł na korytarz. Drzwi czym prędzej się pozamykały, kiedy goście starali się ukryć, że podsłuchują, tylko parę z nich zostało uchylonych. Dla Paula wszyscy oni, kryjący się za drzwiami, byli jak robactwo i chciał ich sprowokować, chociaż wiedział, że nikt nie odważy się stawić mu czoła. Ich żywoty były jałowe tak samo jak jego żywot i tak samo godne pogardy.

Na pozór opanowany przeszedł wzdłuż korytarza, chwytając za klamkę każdego drzwi, które nie były domknięte, i zatraskując je.

Rozdział VI

Zdarzają się w Paryżu takie zimowe dni, kiedy wiatr sprawia wrażenie, jakby niósł się aż z Lazurowego Wybrzeża, jawory wydają się jakby mniej bezlistne na nieskazitelnym niebie i wątlemu słońcu udaje się wydobyć z chłodnej ziemi coś jakby zapach życia. Nawet i na fałszywą wiosnę jeszcze za wcześnie, lecz zapowiedź już wisi w powietrzu. Nad głową rozciąga się kolor, z którego słynie to miasto - błękit paryski - wzbogacony o czerwień i żółtości markiz nad kawiarniami, fakturę szarego kamienia i burą powierzchnię Sekwany.

Mimo że Paul źle spał, przesiedziawszy większą część nocy w fotelu, orzeźwiło go nadzwyczaj balsamiczne powietrze. Jeanne postanowiła sobie, przed zapadnięciem w sen bez snów, że już nigdy się z nim nie spotka, lecz stanowczość jej decyzji osłabła w zderzeniu z nowym, świetlistym dniem i umarła, nim zdążyła dopić kawę poranną. Oboje zjawili się niemal równocześnie w mieszkaniu na Rue Jules Verne. Rozebrali się w małym pokoiku i padli na materac, spleceni w uścisku. Zapowiedzi z poprzedniego dnia spełniły się. Powściągliwość wzmogła ich podniecenie. Oplotła go rękoma i nogami, jakby szukając w nim ucieczki przed ich spotężniałą namiętnością. Później długo leżeli obok siebie, nie dotykając się, czekając,

kiedy jakiś odgłos przeniknie złotą czerwień ścian pomalowanych przez poranne słońce. Na próżno. Byli schowani w tym apartamencie jak w łonie.

Włosy Jeanne rozsypały się na gęstym płótnie materaca jak pożar słońca, dziko i obficie. Jej piersi, nawet w spoczynku, były jędrne, łączyły w sobie pełnię dojrzałej, zmysłowej kobiety z dziewczęcą prężnością. Sutki miała duże i ciemne. Skórę czystą i omalże nie świecąca. Biodra, wąskie jak u chłopca, podkreślały jej żeńską, zmysłową bujność.

Ciało Paula w porównaniu z jej ciałem było po prostu wielkie i niezbyt określone. Leżał obok niej rozwalony jak folgujący sobie bóg. Jego ramiona i klatka piersiowa były jeszcze potężne, ale mięśnie już nie tak napięte; ciało jego nie całkiem pasowało do jego surowej twarzy o rzeźbie orlej i wciąż jeszcze wściekle żywotnej. Zdawał się jakby zatrzymany w gwałtownym przejściu od młodości do podeszłego wieku.

Paul uświadamiał sobie ciało Jeanne tylko jak najbardziej powierzchownie, bo właściwie nie uważał jej prawie za nic więcej aniżeli to ciało, biorące w siebie jego przypadkową namiętność, służące zaspokojeniu jego próżności i seksualnej przenikliwości, chwilowo odgradzające go od jego rozpacz. Zmysłowość jej zauważyłby dopiero, gdyby jej objawów zabrakło. Dla Jeanne również jego ciało było czymś oczywistym, ale całkiem inaczej. Kiedy jej dopadł po raz pierwszy, było to przejawem ogólnej i nieodpartej siły męskiej, i wciąż jeszcze odbierała go, widziała i czuła jako tę moc. Ciała jego właściwie nie dostrzegała, mimo jego tak imponującej namacalności. Miłość, jaką zaczynała do niego czuć, była następstwem tej siły, wzmożonym przez jego upieranie się przy skrytości: a więc tajemniczość.

Jeanne podniosła się i uklękła, wciągnęła majtki.

- Lubię seks - odezwała się - bo to zdrowe. Pozwala utrzymać się w formie i pobudza apetyt.

Nie patrząc na niego wyszła z pokoju i skierowała się do łazienki. Zobaczyła w lustrze samą siebie: dziewczynę o rozburzonych włosach, wysokich, szerokich kościach policzkowych i wargach Uniesionych z natury w dzióbek, z piersiami czasem aż zawadzającymi. W jej twarzy odbijało się niespójne pomieszanie banału i mądrości. Nagle przebiegł ją dreszcz. Chociaż łazienka skąpana była w słońcu przez szybę nad wanną, w turkusowych i białych kafelkach odzwierciedlał się tylko ziąb tej prawdziwej zimy. Dzień się ochłodził. Ciało jej poczuło się odsłonięte, bez odrobiny ciepła, i zatrzasnęła za sobą drzwi, jakby to ją mogło osłonić.

Paul zgarnął swoje ubranie. Poszedł bosy korytarzem W stronę łazienki. Zaintrygowała go myśl o tym, żeby się myć I ubierać jedno przy drugim, gdyż postanowił ignorować wszelkie konwenanse. Jednak zamknięte drzwi go powstrzymały. Zawahał się, czy po prostu

nie wejść - Jeanne w tej chwili siedziała chwiejnie na podwójnej umywalce, podmywając się, udami ścisnąwszy zimny marmur, bo w łazience nie było bidetu - lecz pomyślał, że woli, aby go zaprosiła. Zaszczękał klamką.

- Zostaw mnie samą - zawołała.

- Chciałem popatrzeć.

- To nic ciekawego.

- To zależy. - Jej mieszczańskie opory go rozśmieszyły i zawołał: - Podmywasz się.

Chcę to zobaczyć.

- Nie! - oświadczyła stanowczo.

Jakie to dziwne, że kochając się odrzucała wszelkie pozory skromności, aby do nich powrócić w światowych formach tego, co potem.

Zsunęła się wdzięcznie z krawędzi umywalki i zakręciła wodę.

- Skończyłam - powiedziała, jak gdyby sam nie słyszał. Teraz już możesz wejść.

Paul wszedł, ceremonialnie niosąc swe ubranie na jednym ręku. Złożył je na brzegu wanny i podszedł nagi do umywalki, stanął tuż koło Jeanne. Miała przed sobą rozłożone swoje przybory kosmetyczne - tusz do rzęs, szminka do ust, matowa buteleczka kremu do zmywania - i zaczęła robić porządek ze swoją twarzą, składając wargi w ryjek, sprawdzając ukośnym spojrzeniem rzęsy, nie zwracając uwagi na Paula.

Paul wybuchł śmiechem - był to nowy dla niej odgłos - z dłońmi wspartymi o brzeg umywalki.

- Co cię tak bawi? - zapytała.

- Nic takiego - powiedział, lecz śmiał się dalej. - Tylko wyobraziłem sobie, jak siedzisz na tej umywalce. Trzeba mieć wprawę, żeby nie spaść i do tego jeszcze podmywać się. Gdybyś spadła, mogłabyś złamać nogę.

-

-

Jeanne była wściekła, nie dlatego, że jego to bawi, tylko opowiada o tym. O pewnych rzeczach się nie mówi. Zarumieniła się i odwróciła gniewnie do lustra.

Paul zdecydował się ją przebłagać. Pocałował ją lekko w ramię i powiedział:

- No już, nie bądź taka.

- Różnimy się - odparła, nie patrząc na niego.

Zerknęła na niego w lustrze i zobaczyła, że nadal sobie z niej pokpiwa. Jej opory wydały mu się takie małostkowe, W końcu czymże są, jeśli nie dwójgiem ciał, które wpadły na siebie w otchłani współczesnego świata, gdzie nie istnieje powód, aby to zawstydzalo bardziej

niż tamto. Rzeczywiste było dla niego tylko namacalne ciepło jej ciała. Ale jeszcze trochę jej ustąpi. Na razie.

- Wybacz mi to - poprosił i znowu ją pocałował. - Wybaczysz mi?

Jeanne rozchmurzyła się.

- Dobrze - powiedziała i uśmiechnęła się do niego ciepło, spontanicznie, dziecinnie.

Paul wykorzystał ten moment, aby natychmiast posunąć się o krok dalej.

- W takim razie chodź tu i umyj mnie - powiedział. Jej uśmiech ulotnił się. - Are you kidding? - spytała go kiepską angielszczyzną. - Żartujesz? Nigdy w życiu! Wyobrażasz sobie, że będziesz mi rozkazywał?

Głos jej zrobił się ostry z gniewu i lęku, ale Paul jakby tego nie zauważył. Od kręcił wodę i zaczął sobie namydlać najpierw dłonie, a potem członka. Włazł okrakiem na umywalkę.

- Nie wiesz, co tracisz - powiedział.

Jeanne potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- No wiesz? - powiedziała. - Jesteś naprawdę świnią.

- Świnią? - zastanowił się Paul. Ta myśl go rozbawiła.

- Toaleta to jest toaleta - wyjaśniła mu niby to z wyższością - a miłość to miłość. Ty mieszasz sprawy święte i doczesne.

Dla Paula nie było różnicy między jednym a drugim i postanowił zmusić ją, żeby to sobie uświadomiła. Ale na razie zamilkł. Jeanne dalej zajmowała się makijażem.

Paul wytarł się i samopoczucie pogarszało mu się z minuty na minutę. Ta scena miała już posmak zadomowienia: ubierali się w przyzwoitym milczeniu, przygotowując się już do wyjścia na świat zewnętrzny, niby mąż i żona już nazbyt przystosowani wzajemnie do swoich nawyków. Zbyt przyjemna to była scenka. Paul zdecydował się ją zakłócić.

- Oglądałem raz bardzo smutny film szwedzki, w którym mieszano świętość i doczesność - przemówił, siadając na brzegu wanny, aby naciągnąć skarpetki.

- Wszystkie pornograficzne filmy są smutne - oświadczyła bo to jest śmierć.

- On nie był pornograficzny - rzekł Paul - był po prostu szwedzki. Nazywał się: *Tajemnice Stockholmu*. Taka historia o bardzo nieśmiałym młodzieńcu, który wreszcie zebrał się na Odwagę i zaprosił do siebie pewną dziewczynę. Czeka na nią, strasznie podniecony, pełen uczucia, i nagle przychodzi mu do głowy: może ma brudne nogi? Sprawdza. Okazują się odrażające. Więc pędzi do łazienki, żeby je umyć. A tu nie ma wody. Jest w rozpacz i już nie wie, co robić. Nagle wpada na pomysł. Wkłada stopę do muszli klozetowej i spuszcza wodę. Twarz mu się rozpromienia: udało się. Ale kiedy chce wyjąć nogę z klozetu, nie może. Stopa

utknęła. Próbuje raz po raz, wykręca tę stopę na wszystkie strony i ciągnie, ale nic z tego. Zjawia się dziewczyna i zastaje go zrozpaczonego, płacze, oparty o ścianę, z nogą w muszli klozetowej.

Paul jakby rozkoszował się sadystycznymi aspektami tej opowieści. Opowiadał dalej:

- Facet prosi dziewczynę, żeby odeszła i nigdy już nie wracała. Tymczasem ona się upiera, że nie może go tak zostawić, bo umarłby z głodu. Idzie po hydraulika. Ten bada sprawę, ale nie chce brać na siebie odpowiedzialności. „Nie mogę rozbić muszli - powiada - bo mógłbym go zranić w nogę” Wzywają pogotowie. Wchodzą z noszami sanitariusze i wszyscy razem decydują się odśrubować muszlę od podłogi. Kładą chłopca na tych noszach, z muszlą klozetową na stopie, wyglądającą jak ogromny but. Dwaj sanitariusze zaczynają chichotać. Pierwszy z nich potyka się na schodach i wpada pod nosze. Muszla wali go w głowę i zabija na miejscu.

Jeanne zaśmiała się nerwowo. Paul nagle wstał i wyszedł z łazienki, zostawiając ją samą. Makabryczny humor tej opowieści okazał się wreszcie czymś, co by mogli podzielić ze sobą, ale na to nie miał ochoty.

Już całkiem ubrany Paul zaczął się przechadzać po okrągłym salonie, przyglądając mu się bacznie okiem. Stół i krzesła przesunął do jadalni, przywlokł ciężki, podwójny materac z małego pokoiku. To, co przedtem było jakby zamkniętym w sobie przybytkiem, oddzielającym ich od świata zewnętrznego, nabrało teraz charakteru areny. Podniósł nieco żaluzje w jednym z okien, wpuszczając do pokoju więcej światła.

Jeanne wynurzyła się z łazienki w nieskazitelnym makijażu, już gotowa do wyjścia. Włosy miała wyszczotkowane i błyszczące, starannie skręcone i wysoko upięte na karku. Popatrzyli na siebie. Jeanne uśmiechnęła się, zawahała, pomachała mu z lekka dłonią i skierowała się do wyjścia. Ale Paul jeszcze z nią nie skończył i ona to jakoś wyczuła: nie musiał jej nawet przywoływać. Sama zawróciła do salonu. Paul stał w blasku słońca, z uniesionym podbródkiem, przyglądając się jej z tą samą chłodną obojętnością. Wytrzymała jego spojrzenie. Byli teraz jak dwoje przeciwników, oceniających wzajemnie swe siły.

- Zaczniemy od początku? - spytała.

Paul nie odpowiedział, tylko zaczął z wolna rozpinać koszulę. Jeanne odrzuciła w bok płaszcz i torebkę, poszła za jego przykładem, ściągając bluzkę i spodnie, aż wreszcie stanęła przed nim dumna i naga.

- Musimy się przyjrzeć sobie - stwierdziła. - Czy o to chodzi?

- Tak - odparł; i po raz pierwszy zaczął się jej przyglądać jak kobiecie. - Właśnie o to chodzi.

Usiedli na posłaniu, twarzą do siebie, i splekli się nogami. Obydwoma dłońmi zaczął badać jej twarz, jakby ją dopiero co odkrył; jej szyję i ramiona, jej piersi... przy których zatrzymał się na dłużej, dziwiąc się ich pełni.

- Czy tak nie jest pięknie? - zapytał, sam w to wierząc - kiedy nic się o sobie nie wie?

- Adam i Ewa nic o sobie nie wiedzieli - odrzekła.

- Jesteśmy jak oni, tylko na odwrót. Oni ujrzeli, że są nadzy, i zawstydzili się. My ujrzeliśmy, że jesteśmy ubrani, i przyszliliśmy tutaj, ażeby się obnażyć.

Opletli się nogami w siedzącej pozycji z Kamasutry, tak że jedno udo każdego z nich leżało na udzie drugiego. Jeanne wzięła jego stojącego członka w dłoń i wprowadziła go w siebie. Paul przebiegł palcami po jej biodrach i pogłaskał jej ciepły wzgórek, pokryty runem.

- Chyba moglibyśmy dojść do orgazmu nie dotykając się - powiedziała.

Odchylili się oboje do tyłu, podparci na rękach i wpatrzeni w siebie nawzajem.

- Przy pomocy oczu - powiedziała - i ciała. Spytał ją żartobliwie: - Czy ty już miałaś orgazm?

- Nie. Paul kołysał się tam i z powrotem. Jeanne jęknęła:

- To trudne.

- Ja też jeszcze nie. Za słabo się starasz.

Ruchy ich przyśpieszyły się. Paul pierwszy osiągnął szczyt i wysliznął się z niej. Ale Jeanne nigdy jeszcze nie doznała tyle zadowolenia. Po raz pierwszy zaczęli odczuwać do siebie coś oprócz pożądania i sensacji zakazanego romansu: coś w rodzaju sympatii. Zachciało jej się jakoś do niego zwracać, tylko nie wiedziała jak.

- Wiem, co zrobić! - odezwała się bystro. - Będę musiała dla ciebie wymyślić jakieś imię.

- Znów imię? O Jezu! - rzekł Paul, śmiejąc się i potrząsając głową. - Na Boga, już mnie nazywano po imieniu tak z milion razy w życiu. Nie chcę żadnego imienia. Wolę jakieś chrząknięcie albo stęknięcie. Chcesz wiedzieć, jak się nazywam?

Dźwignął się i stanął na dłoniach i kolanach. Wyciągnął usta w ryj, zadarł głowę i warknął donośnie. Potem zaczął wydawać z głębi gardła chrząkanie: pierwotny odgłos, który ich oboje podniecił. Jeanne objęła go ramionami za szyję i unosząc jedną stopę wcisnęła mu ją pomiędzy nogi.

- Jakie to męskie - powiedziała. - A teraz posłuchaj, jak ja się nazywam.

Przyciągnęła go, aż zwałił się obok niej na materac, i objęła go z całej siły. Zamiau-
czała i spytała:

- Podoba ci się?

Zaśmiali się. On znów chrząknął, a ona mu odpowiedziała. Pospołu wypełniali okrągły pokój głośnymi, przeraźliwymi odgłosami zwierzęcych zalotów.

Rozdział VII

Zespół Toma już czekał w ogrodzie willi na paryskim przedmieściu Chatillon-sous-Bagneux, kiedy Jeanne tam dotarła. Jej włosy już nie były skręcone w wysoki kok, tylko kłębiły się kędzierzawo u ramion. Wyglądała jak dopiero co przebudzona. Przybywając tu prosto ze schadzki z Paulem, tryskała życiem, inni w porównaniu z nią wyglądali jak martwe posągi; przystanęła przy furtce, aby popatrzeć na dźwiękowca. Klęczał przy swojej Nagrze ze słuchawkami na uszach i wodził tani i z powrotem lufą mikrofonu, trzymaną powyżej głowy, nagrywając różne przeraźliwe odgłosy, wydawane przez gospodarskie zwierzęta. Operator ładował film do Arriflexa, obie ręce trzymając w czarnej torbie. Sekretarka planu kartkowała połyskliwe stronice Elle, nie kryjąc swego znudzenia. Nikogo z nich nie interesowały człapiące w pobliżu gęsi; te ptaszyska były po prostu źródłem ciekawych odgłosów. Jeanne zatrzasnęła furtkę.

- Dziękuję za hałas - rzekł dźwiękowiec. - Był to szczyt uprzejmości.

Jeanne dostrzegła rozczarowanie na twarzy Toma. Stał z boku, z rękoma w kieszeniach, siląc się na uśmiech.

- Nie jesteś gotowa - powiedział, wpatrując się w jej włosy.

Postanowiła, że nie będzie się wyłgiwać.

- Kiedy to nie peruka - zażartowała. - To moje własne. Czy nie jestem piękna? Powiedz, że nie podoba ci się mój wygląd.

- Ależ podoba się - rzekł Tom z naciskiem. - Wyglądasz jakoś inaczej, ale jesteś ta sama. Już widzę ujęcie...

Tom podniósł obie dłonie i okrążył ją, naśladując ruchy kamery. Jego ludzie przygotowali się do zdjęć. Jeanne rozejrzała się po ogrodzie i otaczającym go kamiennym murze. Kiedy była dzieckiem, willę otaczały z trzech stron zielone pola i zdawało jej się, że będzie nienaruszona jak wszystkie jej wspomnienia. Przykro jej było widzieć, jak z biegiem lat na tych samych polach zaczynają się tłoczyć betonowe bloki mieszkalne i całe dzielnice szalasów, w których gnieźdzą się zubożali imigranci, wyparci z miast.

- Kamera bierze z wysoka - ciągnął Tom. - Powoli najeżdża na ciebie. Kiedy ty podchodzisz, następuje zbliżenie. I muzyka. Coraz bliżej i bliżej...

- Spiesz mi się - przerwała mu Jeanne. - Zaczynamy.

- Ale najpierw o tym porozmawiamy.

- Nie - odparła.

Cała ekipa poderwała się do działania i ruszyła za nią w głąb ogrodu.

- Dzisiaj będzie improwizacja - oznajmiła Jeanne. - Po prostu musicie nadążać.

Tom był zachwycony. Przywołał gestem operatora.

- Jesteś urocza - powiedział, idąc za nią i wyciągnął tylko dłoń, aby dotknąć jej potarganych włosów. - To jesteś ty - w naturze, zdomowiona w scenerii swego dzieciństwa. Inaczej być nie mogło! Będę cię kręcił taką, jaka byłaś: dzika, porywcza, zachwycająca!

Jeanne powiodła ich do małego grobu pod krzakiem głogu. Wprawiona w nagrobek fotografia ukazywała jej owczarka alzackiego, jak siedzi posłusznie. Pod spodem wyryte słowa:

MUSTAFA. ORAN 1950-PARYŻ 1958.

- To przyjaciel mego dzieciństwa - wyjaśniła. - Czuwał przy mnie całymi godzinami. Byłam pewna, że mnie rozumie.

Od strony domu podeszła do nich z pośpiechem stara kobieta w czarnej sukni, z rękoma założonymi na obfitym biuście. Siwe włosy miała surowo ściągnięte w tył. Podeszła tak szybko, że zdążyła jeszcze usłyszeć, co mówi Jeanne, i dodała:

- Psy są więcej warte niż ludzie. Dużo więcej.

Jeanne podbiegła i rzuciła się jej na szyję. - To Olimpia - wyjaśniła Tomowi. - Moja niania.

- Mustafa zawsze umiał odróżnić bogatych od biednych - rzekła Olimpia. - Nigdy się nie pomylił. Jeśli wszedł ktoś dobrze ubrany, on się nawet nie ruszył...

Jej nieco zachrypły głos ucichł na widok operatora, który przynaglony przez Toma zaczął ją okręzać.

- Ale jeśli pokazał się żebrak - podjęła - wtedy trzeba go było widzieć. To był pies! Pan pułkownik tak go wytresował, żeby rozpoznawał Arabów po zapachu.

Jeanne zwróciła się do filmowców:

- Olimpia to chodzący wykaz domowych cnót. Wierna i uwielbia swych państwa... a do tego rasistka.

Staruszka wprowadziła ich do willi. Hol wejściowy pełen był roślin w doniczkach, przypadkowo rozstawionych po wydeptanych kafelkach. Na wyblakłym stoliku z rotanu stała mosiężna lampa z kloszem z butelkowo zielonego szkła; nad nią wisiał amatorski, olejny portret ojca Jeanne, pułkownika, w pełnej gali. mundur był znakomicie skrojony, buty nieskazitelne, wąs bujny i wywoskowany.

Jeanne przeprowadziła ekipę koło portretu do przyległego pokoju o wyfroterowanej, nagiej posadzce i ścianach, na których wisiały tkaniny drukowane w śmiałe, geometryczne wzory. Broń tubylcza rozmieszczona starannie nad półką fotografiami, gdzie bogactwo egzotycznych scen zółkło zawijało się na rogach, przyciągnęła na jakiś czas uwagę zespołu i reżysera.

Jeanne przyglądała się temu z dumą. Wzięła z półki łożącą ramkę i pokazała im: na fotografii trzy rzędy dziewczynek ze szkoły podstawowej gapiły się bez wyrazu w obiektyw, pod okiem postawnej niewiasty w wycieczkowym obuwii.

- To ja - wskazała Jeanne. - Tu na prawo od nauczycielki, panny Sauvage. Była bardzo religijna, bardzo surowa...

- Była za dobra - wtrąciła Olimpia. - Rozpuszczała was.

Tom klepnął operatora po ramieniu; ten okręcił się, kierując obiektyw na staruszkę, lecz ona schowała się za innymi. Jeanne wskazała na drugą dziewczynkę.

- A to Christine, moja najlepsza przyjaciółka. Wyszła za piekarza i ma dwoje dzieci. Tu jest trochę jak na wsi. wszyscy się znają...

Olimpia zagadała:

- Ja nie mogłabym żyć w Paryżu. Tu żyje się bardziej po ludzku.

Operator znowu się obrócił na pięcie, szukając nowej ofiary; Olimpia wycofała się za drzwi z żaluzjami z listewek.

- Jesteśmy tu jakby odgradzeni - podjęła Jeanne. - Smutno jest patrzeć za siebie.

Przeszli do jej pokoju dzieciennego. Na parapetach okiennych ustawione były w karnym szyku wypchane zwierzątka o wytartych kończynach, a ściany obstawione drewnianymi, obdrapanymi kopiami przedmiotów dorosłych: taczki, fotelik, podnózek. Okładki wszystkich książek były wyblakłe.

- Smutne? Dlaczego? - zapytał Tom. - Cudowne!

Ona tylko uniosła ręce i odwróciła się.

- To przecież ty! - zawołał. - Twoje dzieciństwo: tego mi właśnie trzeba!

Tom wypatrywał natchnienia na suficie. Zarazem gestykulował do kamerzysty, aby nie odstępował Jeanne.

- Te zeszyty to dziecięcy wiek twojej inteligencji. Coś fascynującego. Publiczność trochę boi się dzisiejszych kobiet... - Przerwał, aby pomyśleć, układając w głowie scenariusz, tymczasem Jeanne tanecznie wyszła z pokoju, ścigana przez operatora. - Ale gdyby się udało pokazać codzienną inteligencję tej czy innej kobiety, trochę powyżej przeciętnej, ale nie aż taką, żeby się zdawała nieosiągalna...

Tom rozejrzał się w natchnieniu i jakby dopiero spostrzegł skradających się za nimi filmowców.

- Co tam robicie? - krzyknął. - Kim są te żywe trupy, które nas otaczają?

Wygonił ich z pokoju, a potem otworzył drzwi do następnego, zastawionego niskimi, wygodnymi meblami.

- Otwieram drzwi na oścież! - zawołał, kiwając palcem na Jeanne. - Wszystkie drzwi na oścież!

- Dokąd idziesz? - spytała, próbując dostosować się do jego entuzjazmu.

- Mam plan. Wrzucamy wsteczny bieg! Rozumiesz? Tak jakby w samochodzie. Wziął ją za rękę.

- Zamknij oczy - powiedział. - Cofaj się, jeszcze! Dalej! Aż odnajdziesz swoje dzieciństwo.

- Widzę - rzekła dopasowując się do niego - to mój papa.;;, w galowym mundurze...

- Nie bój się. Przełam te opory.

- Papa w Algierze...

- Masz teraz piętnaście lat - powiedział. - Czternaście, trzynaście, dwanaście, jedenaście, dziesięć, dziewięć...

- Widzę swoją ulubioną ulicę, jak miałam osiem lat... -

Otworzyła oczy i sięgnęła po oprawny brulion, leżący na stole. Zaczęła odczytywać na głos.

- Wypracowanie domowe z francuskiego. Temat: wieś. Rozwinięcie: wieś to kraina krów. Krowa jest cała pokryta skórą. Krowa ma cztery strony: przednią, tylną, górną i dolną...

- Urocze!

Jeanne sięgnęła po słownik i zaczęła go kartkować.

- Moja kultura wywodzi się z jednotomowego Larousse'a - powiedziała. Z niego przepisywałam. Czytała na głos, teatralnie: - Menstruacja, rzeczownik rodzaju żeńskiego, funkcja fizjologiczna polegająca na comiesięcznym upływie krwi z żeńskich organów rozrodczych... Penis, rzeczownik rodzaju męskiego, narząd kopulacyjny mierzący od pięciu do czterdziestu centymetrów...

- Bardzo pouczające - zauważył, zwracając się do okna i dając znak swoim ludziom, że mogą wejść.

Jeanne sięgnęła po fotografię ojca. Wpatrywała się w rząd odznaczeń na piersi, złote galony, które tak dobrze pamiętała, na galowym mundurze i pozycję, w jakiej stał na baczność z palcami lekko ugiętymi u boku. Nigdy go nie widziała inaczej niż w tak oficjalnej po-

staci. Była jedynaczką, a jednak nigdy nie poczuła się na tyle swobodnie, aby wdrapać mu się po prostu na kolana, pocałować go i przytulić się. Jej-matka ubóstwiała pułkownika i Jeanne nieraz wyczuwała to, co już wtedy wydawało się jej zazdrością ze strony matki. Jeanne pragnęła nawet zostać żołnierzem, jak pułkownik, nosić broń i kroczyć przez życie z jego wspaniałą pewnością siebie. Tak jej pochlebiło, kiedy zaofiarował się, że nauczy ją strzelać ze swego służbowego pistoletu, aż przemogła swój strach przed hukiem tej broni i jej potencjalnie śmiertelnym skutkiem i nauczyła się strzelać prawie tak dobrze jak on. Dla Jeanne pułkownik był zawsze człowiekiem starym, ale niezwyciężonym, a gdy umarł, wydało jej się, jakby świat znalazł się w niebezpieczeństwie...

- A to kto? - zapytał Tom, podnosząc rysunek wykonany ołówkiem, przedstawiający chłopca grającego na fortepianie.

Jeanne uśmiechnęła się.

- Moja pierwsza miłość - odrzekła. - Mój kuzyn Paul.

Operator wcisnął się między nich, ogniskując Arriflexa na tym rysunku. Olimpia stała we drzwiach, zwalista i milcząca.

- Dlaczego ma zamknięte oczy? - spytała sekretarka planu.

- Bo gra na fortepianie. A grał wspaniale. Pamiętam, jak siedział, przebiegając szczerpłymi palcami po klawiszach. Ćwiczył całymi godzinami.

Rzeczywiście pamiętała ciemne oczy swego kuzyna i jego chorobliwy, zgorączkowany wzrok. Kiedy jego i jej rodzice zasiadali do herbaty w salonie, spoglądając na kwitnące hiacynty i głogi, rozmawiając o swych afrykańskich podróżach, ona i on wymykali się cichaczem...

Jeanne otworzyła okno i wskazała na podwórze za domem.

- Tamte dwa drzewa - powiedziała - orzechowiec i platan... pod nimi siadaliśmy. Każde z nas miało własne drzewo i siedzieliśmy tak wpatrzeni w siebie. Dla mnie mój - kuzyn wyglądał jak święty.

Wzięła Toma za rękę i wyprowadziła go na dwór.

- Czy nie są piękne? - odezwała się, wskazując na miejsce porośnięte gęstwą zielska i krzaków. Ale Jeanne nie widziała ich, gdyż pogrążona była w rojeniach o tym, czym była niegdyś, i ku temu podnosiła wzrok, wcale nie patrząc na otaczający ją obraz upadku. - Czyż nie są przepiękne? - powtórzyła, jak; gdyby Tom nie miał własnych oczu. - Dla mnie te drzewa wyglądały jak prawdziwa dżungla.

Jakże łatwo Tom idealizował! Jego wybuchy entuzjazmu i jego rozczarowania zachęcały ją do puszczania samopas jej własnych skłonności do fantazjowania. Ale długo w tym

nie mogła wytrwać. Rzeczywistość gromadziła się wokół niej jak chmury burzowe i niosła ze sobą groźbę ujawnienia innych, brudniejszych aspektów jej dzieciństwa.

Olimpia przyczłapała za nimi trzymając w górze, niby święty obraz, fotografię jej ojca.

- Nasz pułkownik był nadzwyczajnym człowiekiem! - wykrzykiwała do każdego, kto by zechciał posłuchać, starając się nakłonić operatora, żeby skupił uwagę na tym, co dla niej było najważniejsze u całej willi.

- Nawet ja się go bałam - przyznała się.

Jeanne popatrzyła znów na fotografię i przypomniała sobie strach, jaki nieraz ją przejmował, kiedy ojciec był niezadowolony. Nagle przed oczyma jej stanął Paul, jego arogancja i jego siła, aż zapragnęła do niego przyłgnąć. Rozejrzała się i po raz pierwszy dostrzegła, jak oblaźle z farby są ściany willi, jak wyjałowiony jeden kąt ogrodu, dostrzegła kruszący się kamień i chwasty, i tłoczące się opodal budy z czarnej papy.

- Nic z tych rzeczy nie było za moich czasów - powiedziała z niesmakiem, przedzierając się przez zarośla, a filmowcy tuż za nią. Czuła się sponiewierana tą wizytą i jakby oszukana, a kiedy ujrzała pół tuzina małych ciemnoskórych chłopaczków, jak wypróżniają się, przykucnięci w krzakach jeżyn, ogarnęła ją wściekłość: jak gdyby to ją gwałcono.

Jeanne złapała jednego z chłopców za rękę i potrząsnęła nim. Ubrany był niemalże w łańchmany i trząś się, usiłując kopnąć ją w piszczel. Jeanne zobaczyła, jak Olimpia podnosi ułamany kawałek deski i pędzi przez gąszcz, a operator galopuje tuż obok, nie wypuszczając jej z kadru.

- Nie możecie się załatwić gdzie indziej, tylko w mojej dżungli? - spytała Jeanne chłopca i uświadomiła sobie, że on jej nie rozumie.

- Biegnij! - powiedziała. - Uciekaj!

Uciekł, wdrapawszy się na mur jak zwierzę.

- Niech ja cię tylko złapię, to cię powieszę! - wrzeszczała Olimpia. - Idź zasrywać swój własny kraj, ty skurwysynku!

Olimpia podniosła kamień i rzuciła nim bezskutecznie za intruzami.

- Afryka! - powiedziała z obrzydzeniem. - Już nawet żyć się nie da we własnym domu.

Jeanne odwróciła się i obejrzawszy wokół powiedziała sama do siebie: - Starzec się to zbrodnia. Tom ją dogonił, zadyszany, gestykułując w stronę operatora. Twarz miał zaczerwienioną z dumy i podniecenia.

- Nakręciłeś to?:- spytała Jeanne.

- Wszystko co do joty.

- Olimpia była wspaniała. Teraz już lepiej się orientujesz w stosunkach rasowych na przedmieściu. Jeanne uświadomiła sobie, że oczy jej zwilgotniały. Tom nic nie zauważył.

- Teraz opowiedz mi o swoim ojcu - poprosił.

- Może już na dzisiaj wystarczy.

Odwróciła się od niego i ruszyła do głównej bramy. Wydało jej się nagle, że Tom zaplątał się w rojeniach jej dzieciństwa, w naiwnej próżności.

- Tylko jedno - zawołał podbiegając, żeby ją dogonić.

- Śpieszę się.

- Jeszcze tylko pięć minut, Jeanne - w głosie jego brzmiało zaskoczenie i uraza. - Co z pułkownikiem?

- Umówiłam się w interesach - odparła, kłamiąc bez wysiłku.

Wyszła prosto za bramę i nawet jej nie zamknęła.

Rozdział VIII

Obietnica poranka zbladła, kiedy powłoka chmur zakryła słońce. Przeświecało przez nie chwilami, jak opłatek, a potem gasło. Zimowy deszcz, pędzony wiatrem, przyćmiewał oblicze Paryża i rozbijał się o wysokie, zaokrąglone szyby w oknach apartamentu. Błede, zalamujące się światło igrało po ścianach salonu, jakby woda po nich spływała. W pokoju zaległa się woń seksu.

Leżeli nago na materacu; Jeanne przerzuciła ramię w poprzek szerokiej piersi Paula, odwróciwszy od niego twarz. Paul trzymał w dłoni błyszczące, srebrne organki i dmuchał w nie, wydając tylko smętne, nie powiązane ze sobą tony.

- Co za życie - odezwała się, jakby przez sen. - Nawet nie ma kiedy odpocząć.

Ciągle jeszcze trwał w niej ten poranek i pogrzebane wspomnienia z tej willi. Poczula bezsensowną chęć, aby podzielić się z Paulem swoim rozczarowaniem.

- Pułkownik - przemówiła - miał zielone oczy i wyświecone buty. Kochałam go jak bóstwo. Był w mundurze taki przystojny.

Paul nawet nie drgnąwszy powiedział: - Co za dymiąca kupa końskiego łajna.

- Co? - oburzyła się. - Zabraniam ci...

- Wszystkie mundury to gówno. Wszystko poza tym mieszkaniem to gówno. Poza tym nie życzę sobie wysłuchiwać opowiadań o twojej przeszłości i tym podobnych.

Wiedziała, że to głupota spodziewać się po nim współczucia, ale podjęła: - Zginął w 1958 roku w Algierii.

- Albo w sześćdziesiątym ósmym - rzekł Paul. - Albo w dwudziestym ósmym. Albo w dziewięćdziesiątym ósmym.

- W pięćdziesiątym ósmym! I zabraniam ci naśmiewać się z tego!

- Posłuchaj - rzekł cierpliwie - może byś tak nie gadała o sprawach, które tu się nie liczą? Więc, do cholery ciężkiej, co za różnica?

- To o czym mam gadać? - spytała ze znużeniem pragnąc, aby jej odpowiedział. - Co mam robić? Paul uśmiechnął się do niej. Zagrał na organkach kilka taktów dziecięcej piosenki, biele i z wycuciem, po czym zaśpiewał: - Wsiadaj na statek, mój Lizaczku...

Jeanne tylko potrząsnęła głową. Wyglądało na to, że on jest gdzieś bardzo daleko.

- Dlaczego nie wracasz do Ameryki? - spytała.

- Sam nie wiem. Chyba złe wspomnienia.

- O czym?

- O moim ojcu - odrzekł, przewracając się na brzuch i unosząc na łokciach, tak że zbliżył twarz do jej twarzy. - Był z niego moczymorda, twardziel - podkreślił to słowo - kurwiarz, barowy mordobijca: męski jak cholera. Owszem, twardy facet. Twarz mu złagodniała. - A matka była nadzwyczaj poetyczna, też pijaczka, i moje wspomnienia z lat dziecięcych, to jak aresztowali ją całkiem nagą. Mieszkaliśmy w małym miasteczku, w społeczności farmerskiej. Wracałem ze szkoły i jej nie było: jak nie w mamrze, to coś innego.

Po twarzy przemknął mu ledwie dostrzegalny wyraz jakiejś przyjemności, zmiękczając jej rysy. Już tak dawno nie myślał o tych sprawach, że przestały dla niego istnieć.

- Do mnie należało dojenie krowy - powiedział - co rano i co wieczór, nawet lubiłem to. Ale pamiętam, jak pewnego razu wystroilem się, żeby zabrać jedną dziewczynę na mecz koszykówki, a ojciec powiedział: „Masz wydoić krowę!”. Poprosiłem go: „Czy nie mógłbyś jej dzisiaj wydoić za mnie?” Wiesz, co mi odpowiedział? „Bierz dupę w troki i spierdalaj!” Więc poszedłem ją wydoić i już nie miałem czasu zmienić butów, i całe je sobie upaprałem w krowim łajnie. I po drodze na mecz śmierdziało to w samochodzie.

Paul się wykrzywił.

- Nie wiem - powiedział, usiłując zbyć to, co już sobie przypomniął. - Dobrych rzeczy raczej nie pamiętam.

Jeanne domagała się więcej.

- Ani jednej? - spytała go przymilnie po angielsku.

Urzekły ją te wspomnienia.

- Może kilka - ustąpił. - Był jeden farmer, bardzo miły staruszek i ciężko harujący. Nieraz pracowaliśmy razem w rowie, przy drenowaniu ziemi pod uprawę. Chodził w kombi-

nezonie i palił glinianą fajkę, ale przez połowę czasu nie było w niej tytoniu. Nienawidziłem tej roboty - była gorąca, brudna i grzbiet mi od niej pękał - i całymi dniami się przyglądałem, jak ślina tego staruszka ścieka po cybuchu pod główkę fajki. Zakładałem się sam ze sobą, kiedy spadnie, i stale przegrywałem. Ani razu nie zobaczyłem, jak [nula. Tylko się obejrzałem, już jej nie było, a potem zbierała się nowa ślina.

Paul zaśmiał się bezgłośnie i potrząsnął głową. Jeanne bała się poruszyć, żeby nie przestał mówić.

- Mieliśmy też pięknego psa - ciągnął takim głosem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszała. Niemalże szeptem. - Matka uczyła mnie kochać przyrodę - chyba już nic więcej nie mogła dla mnie zrobić - i mieliśmy przed domem to wielkie pole. W lecie rosła na nim gorczyca i nasz wielki czarny pies właściwie to była suka, nazywała się Dutchy - polowała tam na króliki. Ale nie mogła ich dojrzeć, więc musiała na tym polu wyskakiwać w powietrze i prędko się rozglądać, gdzie te króliki. To było bardzo piękne, ale nigdy żadnego nie złapała.

Jeanne roześmiała się głośno. Paul spojrział na nią zaskoczony.

- Przyłapałam cię - rzekła triumfalnie.

- Naprawdę?

Naśladowując jego dźwięczny głos powiedziała po angielsku z silnym akcentem obcym:

- Nie mam życzenia nic wiedzieć o twojej przeszłości, Baby.

Paul opadł na plecy i chłodno popatrzył na nią. Jeanne przestała się śmiać.

- A myślisz, że mówiłem ci prawdę? - zapytał, a kiedy mu nie odpowiedziała, dodał: - Może tak, a może nie.

Mimo to Jeanne poczuła, że uczyniło go to jakoś bardziej ludzkim. Ona też zainicjowała ich trzeci stosunek w tym dniu.

Odezwała się żartobliwie:

- Jestem Czerwony Kapturek, a ty jesteś Duży Zły Wilk.

Paul odpowiedział gardłowym charkotem, lecz Jeanne uciszyła go kładąc mu dłoń na wargach. Drugą dłonią popieściła jego potężny biceps.

- Jakie ty masz mocne ramiona - powiedziała.

Paul zdecydował się wziąć udział w tej grze, ale dla własnych celów i z własnym, okrutnym humorem. Już dosyć jak na ten dzień jej ustąpił.

Odpowiedział:

- To po to, żebyś lepiej pierdnęła, jak cię ścisnę.

Obejrzała jego dłoń. -

Jakie ty masz długie pazury.

- To po to, żeby cię lepiej drapać po dupie.

Przeciągnęła palcami po jego owłosieniu łonowym.

- Jakie ty masz obfite futro.

- Żeby twoje mędy miały się gdzie schować.

Zajrzała mu w usta.

- Och, jaki ty masz długi język!

- To po to - Paul zawiesił głos dla większego efektu - żeby ci go lepiej wsadzić w dupę, kochana. Jeanne wzięła do ręki jego członka i ścisnęła go.

- A to jest do czego? - spytała.

- To dla twojego szczęścia - powiedział - happiness. A dla mnie po prostu penis.

Jeanne nie uchwyciła tej gry słów.

- Peanuts? - spytała zastanawiając się, co to ma do orzeszków.

Paul skorzystał z okazji, żeby popisać się właściwą sobie erudycją.

- Szmok - wyjaśnił. - Podpieracz, chuj, kutas, patafian, zaganiacz, buc, wał, palant, fajfus...

Zachwyciło ją to bezwstydnym chępieniem się swoim narządem męskim.

- Komiczne - zauważyła. - To jakby taka dziecinna zabawa w dorosłych. Czuję się tu znowu jak dziecko.

- A bawiłaś się tak jako gówniara? - zapytał od niechcienia. Jej dłoń na swojej męskości odbierał jako należną daninę i podniętę, w tej kolejności.

- To było coś najpiękniejszego - odrzekła, teraz już daleka od willi i znów gotowa pograć się w mnóstwie wyidealizowanych wspomnień.

Paul spodziewał się tego i postanowił niszczyć jej wspomnienia: bez pośpiechu i jak mu przyjdzie ochota.

- Coś najpiękniejszego - powiedział, ciężko dysząc - kiedy robią z ciebie skarżypytę, albo każą ci uwielbiać autorytety, albo sprzedawać się za cukierka.

- Ze mną tak nie było.

- Nie było?

- Ja wtedy pisałam wiersze i rysowałam zamki: wielkie zamki o potężnych wieżach.

- Nigdy nie myślałaś o seksie?

- Żadnego seksu - oświadczyła stanowczo.

- No tak, żadnego seksu. - Udawał, że jej wierzy. - Wobec tego pewnie się kochałaś w nauczycielu.

- U nas to była nauczycielka.

- W takim razie lesbijka.

- Skąd wiedziałaś? - Jego instynktowne wycucie irytowało ją i równocześnie zdumiewało. Mgliście przypominała sobie tę nauczycielkę, pannę Sauvage, która miała zwyczaj umyślnie karać dziewczynki, żeby je następnie pocieszać. Czy we wszystkim musi kryć się zepsucie? pomyślała.

- To bardzo typowe - rzekł Paul. - Ale mów dalej.

- Moją pierwszą miłością był mój kuzyn Paul.

To imię, jak każde, zirytowało go.

- Dostanę hemoroidów, jeżeli ciągle będziesz mi wpychała jakieś imiona. Nic nie mam przeciwko temu, żebyś mówiła prawdę; tylko bez imion.

Jeanne przeprosiła go. Straciła chęć do dalszej opowieści, ule on wyczuł, jak łatwo ją można urazić i pobudziło to jego natarczywość.

- No, mów dalej - zażądał. - Ale prawdę.

- Miałam trzynaście lat. On był śniady i ciemnowłosy, bardzo chudy. Jeszcze teraz widzę go, z tym wielkim nosem. To było takie romantyczne: zakochałam się w nim słuchając, jak gra na fortepianie.

- Chciałaś powiedzieć: kiedy pierwszy raz wpakował ci rękę w majtki.

-

Paul przesunął jedną dłoń w dół po jej udzie, aż dotknął czubkami palców jej zewnętrznych warg. Drugą dłonią udawał, że gra na nie istniejącej klawiaturze.

- On był cudownym dzieckiem - wyjaśniła Jeanne. - Grał oburącz.

- Nie wątpię -;złośliwie prychnął Paul. - Musiało go to niezłe podniecać.

- Były takie straszne upały...

- Niezłe wytłumaczenie. I co dalej?

- Po południu, kiedy dorośli się zdrzemnęli...

- Zaczęłaś go łapać za chuja.

- Ty jesteś nienormalny - powiedziała z rozpaczą.

- No dobrze - stwierdził Paul. - To on ciebie dotknął.

- Nie pozwoliłam mu na to. Nigdy!

Paul wyczuł w niej, że walczy ze sobą. Jakby miała coś wyznać. Więc zaczął przekomarzać się z nią podśpiewując:

-”Kłamczucha, kłamczucha, z majtek ogień jej bucha, nos jej zwisa do brzucha!”

Chcesz mi wmówić, że cię nigdy nie dotknął? Spójrz mi prosto w oczy i powiedz: „Nie dotknął mnie ani razu.” No proszę, zrób to.

Jeanne odsunęła się od niego i popatrzyła w dół na własne ciało. Zobaczyła, jakie ciężkie i zmysłowe są jej uda i piersi; poczuła się o tyle starsza, taka daleka od tych wspomnień. Wolałaby już skończyć ze wspomnieniami, ale Paul jej na to nie pozwolił.

- Owszem - przyznała się - dotknął. Ale w taki sposób...

Teraz już Paul stał nad nią.

- W taki sposób - powtórzył sarkastycznie. - No, w jaki sposób?

- Z tyłu za domem rosły dwa drzewa, jawor i orzechowiec. Ja siadałam pod jaworem, a on pod orzechowcem. Liczyliśmy do trzech i każde sobie zaczynało się onanizować. I które z nas pierwsze skończyło...

Podniosła oczy i zobaczyła, że Paul się odwrócił.

- Dlaczego nie słuchasz? - spytała, przechodząc z powrotem na francuski.

Nie odpowiedział. Było dla niego jasne, że nawet jej niewinność jest pełna seksu, a jej wyznanie stało się dla niego triumfem, ale jeszcze nie skończył.

Wzdrygnęli się na nie znany sobie brzęk dzwonka. Ze schodów dobiegał ich nosowy głos męski:

- Pełny tekst Biblii w specjalnym wydaniu, bez żadnych skrótów...

Paul był wściekły, że im przerwano. Ruszył do drzwi, ale Jeanne zerwała się i złapała go za ramię.

- Umówiliśmy się czy nie? - wyszeptwała. - Nikt nas nie zobaczy we dwoje. Mógłbyś mnie zabić i nikt się nie dowie. Nawet ten domokrażca z Biblią.

Paul położył jej dłonie na szyi, piersi jej otarły mu się o przedramię.

- Prawdziwa Biblia - zachęcał sprzedawca. - Przeznaczenie puka do waszych drzwi! Nie zamykajcie ich!

Paul na niewidziane poczuł do niego wstręt.

- Biblijna świnia! - wymamrotał. Chciał ukarać tego faceta za to, że im przerwał, ale Jeanne go wciąż nie puszczała. Zacisnął dłonie na jej szyi. - Masz rację - powiedział. - Nikt się nie dowie. Ani ten domokrażca z Biblią, ani ta pół ślepa konsjerżka.

- Nie masz nawet motywu. - Złapała go za nadgarstki, twarde jak drewno. - Zbrodnia doskonała. Jego palce zacisnęły się. Czuł ścięgna w jej szyi, kciuki jego nie napotykały prawie na żaden opór. Jak łatwo byłoby położyć kres jej banalnym wspomnieniom i jego własnej możliwości wysłuchania ich. Ciało, skoro jest już zepsute, może równie dobrze być martwe: czy to Jeanne, czy Rosa, czy jego własne. Doprowadziła go do tego, że ujawnił coś niecoś ze swojej przeszłości i słabości, w której wściekłość jego ma swe korzenie. Ktoś inny to powinien odcierpieć, jeżeli nie ten domokrażca z Biblią, to ona, bo nikogo innego nie ma pod ręką.

Puścił ją i Jeanne uklękła na materacu, trzymając się za szyję. Z trudem łapała powietrze, zastanawiając się, czy próbował ją tylko nastraszyć.

Ledwie dotarli do ich świadomości oddalające się kroki sprzedawcy Biblii.

- Kiedy pierwszy raz miałaś orgazm? - zapytał. - Ile miałaś lat?

- Pierwszy raz?: - próbowała sobie przypomnieć, już z ulgą i trochę tym polectana.

Jakże trudno go zgłębić, jaki samotny jest, kiedy stoi tak ciemną sylwetką na tle okna, szarego jak mokry łupek. Mięśnie w jego szyi były napięte, jakby się spodziewał jakiejś napaści.

- Spóźniałam się do szkoły - zaczęła. - Nagle poczułam coś bardzo dotkliwego, o tutaj.

- Jeanne dotknęła się w pachwinie. To się zdarzyło, kiedy biegłam. Więc biegłam coraz prędeziej, a im szybciej biegłam, tym bardziej mi się tak robiło. W dwa dni później znów próbowałam pobiec, ale nic z tego nie wynikło.

Paul nie odwrócił się. Jeanne leżała twarzą w dół na materacu z dłonią ciągle jeszcze wepchniętą między nogi. Dziwne to było, jak mu opowiada swe mroczne sekrety, którymi nigdy by się nie mogła podzielić z Tomem.

- Dlaczego mnie nie słuchasz? - spytała.

Paul najzwyczajniej wyszedł do sąsiedniego pokoju. Czuł się sprężony jak napięty drut. Usiadł na brzegu krzesła i przyglądał się, jak Jeanne zaczyna kolistnie poruszać biodrami, jakby symulowała kopulację. Pośladki jej się zacisnęły.

- Wiesz - westchnęła, nie patrząc na niego - czuję się, jakbym mówiła do ściany.

Zajmowała się sama sobą z rosnącą przyjemnością.

- Twoja samotność mnie przytłacza. To ani folgowanie: sobie, ani szczodrość: jesteś po prostu egocentrykiem. - Jej głos dochodził jakby z daleka, zdyszany. - Widzisz, ja też mogę być sama ze sobą.

Paul przyglądał się jej młodemu, rytmicznie falującemu ciału i łzy mu stanęły w oczach. Nie opłakiwał ani jej utraconego, fantastycznego dzieciństwa, ani własnej parszywej młodości. Płakał nad swoim odosobnieniem.

Jeanne wjąc się osiągnęła szczyt i legła bez ruchu, wyczerpana i osłabła fizycznie.

- Amen - powiedział.

Długo siedział bez ruchu. Aż ona podniosła się i nie patrząc na Paula zgarnęła swe ubranie i poszła do łazienki.

Jego marynarka wisiała na stojącym wieszaku. Barwy pieprzu i soli utkane w psi ząb wydały jej się dość pospolite i odruchowo sprawdzwszy etykietkę stwierdziła, że kupił je w Printemps, wielkim domu handlowym w pobliżu Opery. Zawahała się, a potem przetrząsnęła

mu kieszenie, wygrzebała z nich trochę bilonu, skasowany bilet metra ze stacji Bir Hakeim i złamanego papierosa. Dziwiąc się własnej śmiałości wzięła się do wewnętrznych kieszeni na piersiach i znalazła plik stufrankowych banknotów, ale żadnych dokumentów.

Drzwi nagle się otwały i wszedł Paul. Był w spodniach i niósł w jednym ręku starą skórzaną teczkę. Oparł ją na umywalce i wyjął krem do golenia, mydło, długi rzemień wytarty od mnóstwa ostrzonych na nim kling i brzytwę z kościaną rękojeścią.

- Co ja z tobą robię w tym mieszkaniu? - spytała.

Paul zignorował to. Zaczął sobie namydlać twarz.

- Miłość? - zastanowiła się.

- Powiedzmy sobie, że odwałamy w przelocie jebanko w toczący się pączek.

Nie zrozumiała dokładnie, co powiedział, ale dotarło do niej, że to jakaś plugawa metafora na określenie jego opinii o ludzkich wysiłkach.

- Więc myślisz, że jestem kurwą.

Jeanne mówiła znów po angielsku i miała trudności z wymową słowa whore, więc Paul zadrwił z niej.

- Ja myślę, że ty jesteś wari że jesteś wojna?

- Whore! - wykrzyknęła. - Whore! Kurwa, kurwa!

- A skądże, jesteś po prostu miłą, staroświecką dziewczuszką, która usiłuje się jakoś ustawić.

Jego ton odczuła jako coś obraźliwego. - To już wolę być kurwą.

- Dlaczego mi grzebałaś w kieszeniach? - zapytał.

Jeanne zdołała jakoś ukryć swe zaskoczenie.

- Żeby się dowiedzieć, kim jesteś.

- Żeby się dowiedzieć, kim jesteś - powtórzył. - No cóż, jeżeli się bardzo uważnie przyjrzyysz, to zobaczysz mnie, ukrytego w rozporoku.

Jeanne malowała sobie rzęsy. Paul zaczepił pasek o kran i zaczął wprawnie wecować ostrze brzytwy.

- Już wiemy, że delikwent ubiera się w wielkim domu towarowym - odezwała się Jeanne. - Nie jest to dużo, chłopaki, ale zawsze coś na początek.

- To nie początek, to koniec.

Poprzedni nastrój, który ich ogarnął w okrągłym salonie, minął bez śladu. Chłodne kafełki, otaczające ich, stwarzały ten ziębiący efekt, ale Jeanne nie chciała na tym poprzestać. Spytała go mimochodem, ile ma lat.

- W tym tygodniu skończę dziewięćdziesiąt trzy - odpowiedział.

- Ach tak? Nie wyglądasz na tyle.

Zaczął się golić długimi, dokładnymi pociągnięciami.

- Studiowałeś? - spytała.

- O tak. Byłem na uniwersytecie w Kongo. Specjalizowałem się w pierdoleniu wielorybów.

- Fryzjerzy na ogół nie studiują na uniwersytetach.

- Chcesz mi powiedzieć, że wyglądam na fryzjera?

- Nie - odparła - tylko że to fryzjerska brzytwa.

- Albo brzytwa wariata.

Nie zabrzmiało to żartobliwie.

- Więc chciałbyś mnie pokrajać? - stwierdziła.

- To byłoby równoznaczne z wypisaniem ci na twarzy mego nazwiska.

- Tak jak niewolnikowi?

- Niewolników piętnuje się rozpalonym żelazem na dupie i ceckt. - A ja chcę, żebyś była wolna.

- Wolna! - Słowo to dziwnie jej zabrzmiało. - Kiedy nie jestem wolna.

I opatrzyła na jego odbicie w lustrze. Paul zadarł wysoko pod bródek i przyglądał się bacznie, jak brzytwa sunie mu po tchawicy. Jego męskość w tym jednym niestrzeżonym momencie wydała się zagrożona.

- Wiesz ty co? - odezwała się. - Nie chcesz o mnie nic wiedzieć, bo nienawidzisz kobiet. Co one ci takiego zrobiły?

- Zawsze muszą udawać albo że wiedzą, kim jestem, albo że ja nie wiem, kim one są.

A to jest okropnie nudne.

- A ja się nie boję powiedzieć, kim jestem. Mam lat dwadzieścia...

- Jezu Chryste! - powiedział. - Żebyś sobie nie nadwyrężyła umysłu!

Jeanne znów usiłowała coś powiedzieć, kiedy on podniósł brzytwę.

- Zamknij się! Rozumiesz? Wiem, że to bardzo trudne, ale musisz się z tym pogodzić.

Jeanne ustąpiła.

Paul wrzucił brzytwę do torby. Oplukał sobie twarz, wytarł ją, a potem chwycił za brzeg umywalki i wypróbował jej solidność.

- To rzadko się zdarza - powiedział cicho - już nie robią takich umywalni. Chyba to umywalki sprawiają, że trzymamy się razem, nie uważasz?

Wyciągnął rękę i kwadratowymi palcami dotknął po kolei każdego z jej przyborów toaletowych, niemalże pieszczotliwie.

- Chyba dobrze mi z tobą - powiedział.

Znienacka pocałował ją, delikatnie, po czym odwrócił się i wyszedł z łazienki.

- Encore - krzyknęła za nim Jeanne. - Jeszcze, jeszcze!

W pośpiechu dokończyła toalety, ucieszona tym jego wyznaniem. Ubrała się i wesoło zawołała do niego po francusku: - Już idę, jestem prawie gotowa! Otworzyła drzwi i wyszła do ciemnego przedpokoju.

- Możemy wyjść razem? - zapytała, teraz już wiedząc, że on się temu nie sprzeciwi.

Ale nie usłyszała odpowiedzi. Paul już wyszedł.

Rozdział IX

Mroczone kwiaty spiętrzyły się w barykadę przy oknie, nie mieściły się w wannie i umywalce, pokrywały komodę. Łóżko było puste. Paul stanął w otwartych drzwiach, oglądając dzieło swojej teściowej. Nie miał ochoty wchodzić. Mdlila go zawieszista, duszna woń chryzantem, jak również służalcze odzywki jego recepcjonisty Raymonda w którego zachowaniu było coś z przedsiębiorcy pogrzebowego.

- Dobrze to wygląda - rzekł Raymond, wchodząc przed Paulem do pokoju. - Nie uważa pan?

- Tylko Rosy brakuje.

- Pańska teściowa musiała się czymś zająć. To przyjemny i cichy pokój, tylko ta szafa. Robaczywa! słychać te korniki, jak drążą w deskach.

Raymond przyłożył swą łysą głowę do ściennej szafy i wydał odgłos naśladujący żucie.

- W tym pokoju zawsze umieszczam Latynosów - powiedział ze złośliwym uśmieszkiem. - Ci z Ameryki Południowej nigdy nie dają napiwków. No tengo dinero, mówią. Manana, manana.

Paul zażartował ponuro:

- Nie mamy wolnych miejsc, proszę pana. Został tylko salonik pogrzebowy.

Raymond omal się nie zachłysnął ze śmiechu.

- To doskonale, szefie. Śmiech dobrze robi.

Paul odwrócił się i zszedł po schodach do holu. Ciężko umalowana kobieta w nieokreślonym wieku, wystrojona pod płaszczem w spódnicę z cekinami, pochylała się nad otwartą księgą hotelową szukając potencjalnych klientów. Przyjaciółka Rosy, mieszkała w tym hotelu

i Paul tolerował ją., Zatrzasnął jej księgę przed nosem i ruszył dalej do swego pokoju, drzwi zostawiając otwarte.

- Dziś nie pojawił się tu nikt interesujący - stwierdziła prostytutka. - Obstawiasz wyścigi, Paul?

Nie odpowiedział jej. Wziąwszy spod pieca blaszaną puszkę i obtłuczony imbryczek zabrał się do robienia kawy.

- Biedna Rosa i ja znałyśmy taką, co dawała nam cynki - podjęła, nie zwracając uwagi na to, czy Paul jej słucha.

- Takie obstawianie to niezła rozrywka. Rosa kochała się w koniach. Chciałyśmy jednego kupić na spółkę.

- Rosa nie miała pojęcia o koniach - rzekł Paul.

- Co ty wygadujesz? Rosa doskonale się znała na koniach! Ci z cyrku ją nauczyli jeździć.

Paul zajął swoje miejsce za kontuarem. Gadanina tej kobiety irytowała go.

- Z jakiego cyrku? - zapytał niechętnie.

- Rosa uciekła z domu, jak miała trzynaście lat i zabrała się z cyrkiem. To zabawne, że ci o tym nie powiedziała.

Paul najchętniej zamknąłby jej gębę. Na myśl o tym, że jego żona zmyślała takie brednie, aby sprawić przyjemność prostytutce, poczuł obrzydzenie prawie takie jak na widok jej opalizująco białych łydek. Czy to możliwe, żeby ta dziwka wiedziała o jego żonie więcej niż on? Wyczuła jego niechęć i poszła na górę.

- Dlaczego to zrobiła? - usłyszał jeszcze jej słowa.

- W niedzielę miały być gonitwy na Grand Prix w Auteuil.

Przed Paulem stanął młody człowiek w wojskowym płaszczu. Poznał, że to Amerykanin, bo miał walizkę lotniczą, czekał, aż się do niego odezwą i w oczach miał ten wyraz zaszczucia, który Paul tak często widywał.

- Pan szuka pokoju? - zapytał na złość po francusku.

- Tak. Przyjechałem z Dusseldorfu. Zima tam jest okropnie długa.

Wszyscy wygłaszali ten sam frazes. Banalnie dramatyczny styl tych dezertków z woj-ska wzbudzał w Paulu tylko politowanie. Ale byli to goście płacący, raczej z nawyku niż z potrzeby.

- I wyjechał pan nie meldując się? - rzekł Paul. Młodzieniec skinął głową. - Paszport będę miał za kilka dni.

Paul zdjął klucz z tablicy i zaprowadził go na górę. Otworzył drzwi pokoju sąsiadującego z salonikiem żalobnym Rosy i patrzył, jak młody człowiek rzuca na łóżko swą walizkę i odwraca się do niego z wyrazem wdzięczności.

- Jeśli chodzi o pieniądze - odezwał się - to nie wiem, kiedy będę mógł zapłacić.

Paul tylko na niego popatrzył. Na pieniądzech mu już nie zależało, a tym bardziej na zajmowaniu się kimś. Zamknął drzwi dezertrowi w twarz i ruszył w kierunku schodów.

Rozdział X

Widok ładnej dziewczyny, płaczącej na Avenue John Kennedy, powinien był zwracać więcej uwagi. Latarnie uliczne mrugały jedna za drugą, wątle i niepotrzebne w zestawieniu z oślepiającą luną świateł bijącą od samochodów, stłoczonych niemalże zderzak do zderzaka, zwartych w tej obłądnej walce o miejsce, wrzaskliwych i obojętnych na istoty ludzkie, cisnące się na chodnikach. Mijani przez Jeanne mężczyźni spoglądali najpierw na jej nogi, potem na piersi i zanim zdążyli dostrzec jej łzy, ona zostawiała ich za sobą.

Otarła sobie oczy rękawem i odruchowo skrzyła do jakiejś restauracji. Uderzyło ją jaskrawe białe światło i tłusta woń mięsa piekącego się na szpikulcach, przedarła się prędko przez hałaśliwe szeregi sprzedawczyń i urzędników do budki telefonicznej na tyłach.

Znalazła na dnie torebki żeton, włożyła go i wykręciła numer Toma. Odpowiedział prawie natychmiast i nie mogła wydobyć głosu. Zirytowany ciszą Tom zaczął kłąć.

- Tak właśnie przypuszczałam - odezwała się. - Od razu się robisz wulgarny... Słuchaj, musimy porozmawiać, nie mam czasu na wyjaśnienia... Jestem w Passy... Nie, nie przez telefon... Przyjedź na stację metra...

Znowu zaczęła płakać i powiesiła słuchawkę. Wszyscy czegoś od niej chcą, nie ma chwili wytchnienia... bez pardonu! Posługują się nią. Trzeba się czegoś pozbyć. Pomyślała o kamerze filmowej Toma, wdzierającej się w ukryte zakątki jej życia. Bez tego na pewno można się obejść.

Wyszła z brasserie i pobiegła z powrotem na stację metra. Stała na peronie przeciwnym do tego, na który przyjedzie Tom, ręce wsunęła głęboko w kieszenie płaszcza i przyglądała się, jak wpadają i odjeżdżają jaskrawo czerwone pociągi. Pomyślała o Paulu i łzy jej obeschły. Gnębiło ją to pomieszanie uczuć.

Tom stał na przeciwnym peronie i wpatrywał się w nią.

- Co tam robisz? - zapytał.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Skierował się w stronę schodów, ale Jeanne zatrzymała go.

- Nie przechodź - zawołała. - Zostań, gdzie jesteś.

Tom był równie poirytowany jak zbity z tropu. Rozejrzył się w obie strony po peronie, zanim ją spytał:

- Dlaczego nie chciałaś mi powiedzieć przez telefon? Dlaczego tutaj?

Chciała odpowiedzieć: bo tylko tutaj może zmusić go do rozmowy na odległość. Tu jest bezpieczna, przynajmniej na razie.

- Znajdź sobie kogoś innego - powiedziała. -

- Do czego?

- Do swojego filmu.

Tom zawołał jakby w udręce:

- Dlaczego?

- Bo mnie wykorzystujesz - odparła. - Bo zmuszasz mnie do robienia rzeczy, których nigdy jeszcze nie robiłam. Bo zajmujesz mi czas...

Właśnie to miała Paulowi do wyrzucenia, ale nie mogła, więc ze znużenia i frustracji znowu łzy jej stanęły w oczach.

- ...i co ty mi każesz robić! Co ci tylko przyjdzie do głowy! Koniec z tym filmem, rozumiesz?

Tom w pomieszczeniu tylko wyciągnął rękę. Metro wpadło z łoskotem na stację, zasłaniając go przed nią i Jeanne zrozumiała, że to już koniec: pociąg ruszy i zabierze go, i tak skończą się te komplikacje. Rada była, że nie ma czasu odczuwać ani satysfakcji, ani bólu. Po prostu koniec..

Metro odjechało. Tom znikł. Odwróciła się i stał koło niej.

- Dość już mam tego gwałcenia! - krzyknęła.

Okrażali się czujnie jak koty. Niezdarnie uderzył ją i cios osunął się nieszkodliwie po jej ramieniu; ona zaś odwinęła się i chlasnęła go torebką. Tłukli się niczym dzieci w piaskownicy, wściekle młóćąc rękoma i wymyślając sobie, a potem, wyczerpani, padli sobie w ramiona.

Rozdział XI

Algierczyk jakby nigdy nie ustawał. Urywane melodie z jego saksofonu sprawiały na Paulu takie wrażenie, jak gdyby jakieś męczące się zwierzę oszalało się odgłosem własnych jęków. Leżał wyciągnięty na kozetce w swoim pokoju, mając w polu widzenia kontuar

z przyćmioną lampą. Niezdrowa zieleń kolistego neonu z napisem Ricard po drugiej stronie ulicy była jakby najdalszą granicą jego lata. Paul zadrzemał. Ocknął się nagle, czując dłoń na swej piersi. W półmroku poznał ciężką sylwetkę swej teściowej, w szalu zarzuconym na ramiona, przycupniętą na krawędzi krzesła.

- Nie mogę spać przy tej muzyce - powiedziała.

Paul wyobraził sobie przez moment, że to Rosa. Głos miała podobny i dotknięcie również.

- Zatrzymałem się z tym hotelu na jedną noc - odezwał się lennie - i zostałem tu przez pięć lat.

- Kiedy my z papą prowadziliśmy ten hotel, goście przybywali tu, żeby się przespać.

W jej głosie nie było przygany, ale Paul wiedział, że jej się tu nie podoba.

- A teraz robią tu wszystko - odparł niemalże z dumą. - Ukrywają się, narkotyzują, grają na instrumentach...

Ciężar jej dłoni na piersi był nieznośny. Myśl o ludzkim ciele w tym ciasnym, plugawym świecie, o jej ciele, czyjego, czy innych gości hotelowych, budziła w nim wstręt. A w jej zachowaniu było coś więcej niż chęć pocieszenia.

- Zabierz tę rękę - powiedział.

Lecz ona sądziła, że rozumie jego odosobnienie. W końcu to mąż jej córki, więc jej obowiązkiem jest ulżyć mu w bólu. Ją też kołło to dotknięcie. Uświadomiła sobie, że Rosa wybrała człowieka, którego miała za prawdziwego mężczyznę.

- Nie jesteś sam, Paul - szepnęła, wyczuwając szerokość jego piersi. - Jestem przy tobie.

Podniósł delikatnie jej dłoń i popatrzył na nią, a ona poczuła przypływ wdzięczności. Zbliżył ją sobie do ust i nagle, brutalnie i umiejętnie, ugryzł ją.

Mere zachłysnęła się i wczepiła w krzesło, wrywając mu się. Utuliła zranioną dłoń.

- Jesteś szalony - wykrzyknęła. - Teraz już rozumiem...

Nie dokończyła zdania, lecz Paul domyślił się, co chciała powiedzieć: że doprowadził jej córkę do samobójstwa. Nic nie miał przeciwko tej roli: nie bardziej absurdalnej niż jego obecna rola zropanzonego wdowca, potajemnego kochanka, recepcjonisty w hotelu. Pode-rwał się z kozetki.

- Chcesz, żebym uciszył tę muzykę? - spytał, idąc przez pokój do szafki z bezpiecznikami. - Dobrze, zaraz ich przymknę.

- Co ty robisz, Paul? - zapytała z obawą.

- O co ci znowu chodzi, Mere, przejmujesz się? - mówił po angielsku, prędko i pogardliwie. - Nie przejmuj się, nie ma czym się przejmować. Bardzo niewiele trzeba, żeby ich nastraszyć.

Pociągnął za główny wyłącznik i cały hotel pogrążył się nagle w mroku. Zatchnęła się głośno i uczepliła krzesła. Paul ruszył w jej kierunku.

- Chcesz wiedzieć, czego oni się boją? - odezwał się na cały głos. - Ja ci powiem, czego się boją. Ciemności, wyobraź sobie.

Złapał ją szorstko za ramię i wyprowadził do holu.

- No chodź, Mere. Poznasz moich przyjaciół.

- Światło - błagała. - Światło.

Pociągnął ją do wejścia na schody. Dźwięk saksofonu umarł gwałtowną śmiercią. Górne piętra hotelu wypełniły się trzaskiem otwierających się drzwi, szuraniem stóp, stłumionymi głosami w kilku językach.

- Uważam, że powinnaś poznać niektórych mieszkańców tego hotelu - rzekł Paul z rozpaczliwą ironią i zaczął wykrzykiwać w górę klatki schodowej: - Hej, ludzie! Przywitajcie się z naszą Mamusią.

Ktoś na piętrze poświecił zapalką i Paul dojrzał gromadzące się tam widmowe, bezkształtne postacie. Rozjarzyła się druga zapalka. Mignęły mu twarze, których nie oglądał od lat; szumowiny i odpadki ludzkie, do których sam należał; groteskowe i wątle; za ich lęk poczuł do nich jeszcze większą nienawiść.

- Mamusiu! - zawołał, jedną ręką gestykulując w kierunku tych twarzy, a drugą ściskając ją za ramię - pozwól, to jest właśnie Ćpun Ćpakowicz. I pan Saksofon, nasz wspólny znajomy, który czasem dostarcza nam coś ostrego...

Próbowała się wyrwać.

- Puść mnie! - dyszała, ale Paul trzymał ją mocno.

- A tam stoi Miss Minety za rok 1933. Jeszcze i teraz niejedno potrafi, jak wyjmie zęby. Nie przywitasz się z nimi, Mamusiu? Proszę państwa, to jest nasza Mamusia!

Zgiełk w różnych językach przybrał na sile.

- Światło, Paul - błagała. - Włącz światło.

- Aha, ty też boisz się ciemności, Mamusiu? Ona się boi ciemności - krzyknął do zgromadzonych na górze. - Och, biedactwo. Dobrze, kochana, ja się tobą zajmę. Nie martw się ani przez moment. Paul pstryknął zapalką i z mroku upiornie wyłoniła się jego własna twarz. Roześmiał się przeciągle i niewesoło, potem cisnął precz zapalkę i skierował się do

swego pokoju. Przerzucił wyłącznik i zapaliły się światła. Jak łatwo ich nastraszyć, pomyślał. Oni chyba jednakowo boją się czy zabić, czy być zabici.

Wyszedł z powrotem do holu. Tłum w szlafrokach i pośpiesznie narzuconych deszczowcach rozpraszał się, mamrocząc jak nie umiejące po ludzku zwierzęta. Jego teściowa dalej stała uczepona poręczy, gapiąc się na niego i niedowierzaniem.

Z ulicy wszedł gość, niosąc pod pachą zwój gazet. Był starszy niż Paul, ale w doskonałej formie, zadbany i wytworny w starannie wyszczotkowanym płaszczu i kapeluszu tyrolskim, który zdjął natychmiast.

- Jak się masz, Marcel - rzekł obojętnie Paul.

Wręczył mu jego klucz.

Marcel skinął uprzejmie głową teściowej Paula i poszedł na górę. Popatrzyła za nim z uznaniem.

- Podoba ci się, Mere? - zapytał Paul.

Wyczuła jakąś nową pułapkę i nie odpowiedziała. Paul uśmiechnął się sarkastycznie i potrząsnął głową. Dla niego była to ostatnia i miażdżąca ironia tej nocy.

- Otóż - powiedział - Rosa sypiała z nim.

Rozdział XII

Czas zatrzymał się w zawieszeniu pomiędzy ozdobnymi fasadami na Rue Jules Verne. Jeanne nigdy nie skręciła w tę ulicę, nie obejrzawszy się uprzednio, czy ktoś jej nie śledzi. Zapamiętała sobie, jak stoją tu zaparkowane samochody. Jaskrawa, podarta markiza i puste rusztowania naprzeciwko domu, do którego ciągle powracała, były jej doskonale znane.

Z przyjemnością ujrzała chłodny i duszny półmrok holu. Okienko konsjerżki było zamknięte i budynek wydawał się tak bezludny jak zawsze. Jeanne weszła do windy i postawiła sobie między stopami przenośny adapter, który przyniosła. Jej niepokój o Paula wzrastał: jak zwykle pragnęła go i zarazem bała się go tam zastać. Ale ich ostatnie spotkanie zakończyło się tak odmiennie, tak czule, że jej oczekiwania rosły w miarę, jak wznosiła się winda.

Kiedy otworzyła z klucza drzwi wejściowe, zdawało jej się, że usłyszała ten sam milknący takt rytmicznej melodii.

Drzwi rozwarły się jakby na puste pokoje. Kroki jej zastukały po kafelkach i ujrzała pół okrągłego salonu i tak dobrze znany materac, zbryzgane słońcem. Zawołała:

- Jest tu ktoś? - wiedząc, że nie usłyszy odpowiedzi.

Postawiła adapter na podłodze i zwróciła się twarzą do niepotrzebnych mebli, okrytych płachtą. Ich kształt wzbudzał w niej trochę lęku, więc przemówiła do nich żartobliwie, żeby zbagatelizować swój zawód:

- Coś nie tak? Wy też macie swoje kłopoty. Ne céstpas?

Nie spostrzegła się, że Paul leży w dalszym kącie pokoju, milczący i obojętny. Obok niego walał się na podłodze niedojedzony kawałek sera Camembert, ułamana skórka od chleba i nóż. Miał na sobie tylko spodnie i podkoszulek, włosy potargane, oczy w sinych obwódkach od niewyspania. Nawet nie spojrzał na nią, gdy się wreszcie odezwał:

- W kuchni jest masło.

Jeanne okręciła się na pięcie.

- Więc jesteś - powiedziała, kryjąc swój przestach. - Dlaczego nie odpowiadasz?

- Idź po masło - powiedział.

- Śpieszę się. Jestem umówiona.

- Idź po masło!

Spojrzała na niego zdumiona. Wczorajszy dzień poszedł w niepamięć. Teraz wyglądał miał dość prostacki, rozwalony na nie uprzątniętej podłodze, oparty na łokciu, z okruchami przylepionymi do ust, dłubiący w serze. Niby jakiś zwierz w klatce, czekający, kiedy mu dadzą zjeść. Jeanne poszła do kuchni i wróciła z kostką masła w cynfolii. Rzuciła mu ją na podłogę i dopiero ten drobny, gwałtowny gest jakby zwrócił jego uwagę. Paul spojrzał na nią z wyrazem lekkiego zainteresowania. Był to jej pierwszy odruch sprzeciwu, lecz nie była dość mocna, by go porzucić.

- Mnie to doprowadza do szału - rzekła swoją dziwną angielszczyzną, siadając przed nim po turecku. - Jesteś taki cholernie pewny, że wrócę.

Paul tylko posmarował masłem resztę skórki od chleba i zjadł ją głośno żując. Odrzucił ten kawałek cynfolii z masłem i otarł sobie usta wierzchem dłoni. Nie kiwnie palcem, aby skłonić ją do pozostania, ale gdyby została, nie omieszka wypróbować, czy jest w niej siła.

- Czy sądzisz - spytała drwiąco po francusku, chociaż wiedziała, że on wolałby po angielsku - że Amerykanin rozwalony na podłodze w pustym domu, jedzący ser z czerstwym chlebem, jest atrakcyjny?

Prowokowała go, ale zachował spokój. Jego widok brzydził ją i zarazem podniecał. Nie pojmowała, czemu jego niechlujstwo pociąga ją seksualnie, skoro ją to poniża i złości, tak samo jak jego wzgarda. Gniew i frustracja Paula wzrastały od ubiegłej nocy i teraz na oślep skierowały się przeciw niej. W końcu była ciałem i niczym więcej: na tym polegała ich umowa.

Jeanne w irytacji bębniła paznokciami po podłodze. Postukała kostkami palców, wywołując jakiś pusty odgłos.

- Co tam jest pod spodem? - odezwała się, jeszcze raz postukawszy. - Tam jest pusto. Słyszysz? Paul się podniósł i przyczołgał bliżej. Postukał w podłogę pięścią, a potem przejechał paznokciem wzdłuż krawędzi dywanu, by obłuzować to, co zdawało się być przykryciem jakiejś kryjówki.

- Nie otwieraj - sprzeciwiła się Jeanne.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Nie otwieraj.

Złapała go za przegub.

- O co chodzi? - zapytał. - Nie mogę otworzyć?

Przypatrywał się jej z rosnącym zainteresowaniem. Łatwo mógłby otworzyć tę skrytkę, ale wolał poczekać. Jej opór podniecał go.

- Ale posłuchaj - rzekł, odrywając jej dłoń od swego nadgarstka. - Może tam są klejnoty. Może złoto.

Jeanne nie mogła wprost na niego spojrzeć. Nie chciała, żeby otwierał, ale nie miała ochoty mu wyjaśniać, dlaczego.:

- Boisz się? - zadrwił. - Ty wiecznie się czegoś boisz.

Znów sięgnął do tej deski.

- Nie - powiedziała. - Może tam ukryte są czyjeś tajemnice rodzinne.

Paul cofnął rękę.

- Tajemnice rodzinne? - odezwał się zwodniczo ustępliwym głosem. - Coś ci powiem o tajemnicach rodzinnych.

Jedną ręką złapał ją za kark, drugą za ramię i przemocą położył ją twarzą w dół na parkiecie. Poczul irracjonalną złość, kiedy wspomniała o rodzinie: o tej wielkiej instytucji moralnej, pomyślał, która stanowi nietykalny twór Boski, powołany gwoli wdrażania cnót w dobrych obywateli, ten przybytek wszelakich cnót: i przypadkiem właśnie to, czego najbardziej nienawidził.

Jeanne słabo mu się wrywała.

- Co robisz? - spytała, kiedy wsunął dłoń pod jej ciało i rozpiął jej dzinsy.

- Powiem ci coś niecoś o rodzinie - oznajmił, ściągając jej gwałtownym targnięciem spodnie zapierające się u kolan i obnażając pośladki. - O tej przenajświętszej instytucji, powołanej do wytwarzania cnót w dzikusach.

Jeanne z trudem łapała oddech, szamocąc się. Paul przygwoździł ją ciężarem własnego ciała, jedną dłonią trzymając za kark. Przez chwilę jakby niepewny, co dalej robić, nagle dojrzał masło w cynfolii. Przyciągnął je stopą.

- Masz za mną powtarzać - powiedział, zanurzając palce swej niezajętej dłoni w miękkie masło. Bez pośpiechu namaścił jej odbytnicę, smarując, pomyślał sobie, jak prosiaka przed wbiciem na rożen. Palce jego były brutalnie sprawne.

- Nie! za nic! - upierała się, w gruncie rzeczy nie wierząc, aby to zrobił. - Nie!

Paul rozpiął i ściągnął z siebie spodnie. Uniósł się do klęku, wciąż przygniatając jej kark do ziemi, i nogami wcisnął się pomiędzy jej nogi. Jeanne poczuła, że ją sobie ustawia do wzięcia, doznała uczucia grozy i całkowitej bezradności.

- Teraz powtarzaj za mną. Święta rodzina... - przemówił, rozchylając mocnymi palcami jej pośladki. Przyłgął do niej, poszturchując, aby się wedrzeć. - No już, powtarzaj! Święta rodzina, kościół dobrych obywateli...

- Kościół - wykrzyknęła - ...dobrych obywateli. Wrzasnęła, z twarzą przyciśniętą do gładkich desek, zaciskając powieki. Zabolało ją nagle i okropnie. Jego prącie zamieniło się w broń.

- Mów! - rozkazywał jej, ciężko dysząc. - Dzieci zadręcza się, póki nie nauczą się kłamać...

- Dzieci...

Znów krzyknęła, bo wbił się w nią głębiej.

- Gdzie wola zostaje złamana przez represje - podpowiadał jej sycząc przez zęby.

- Gdzie wola zostaje złamana...

Zaczęła szlochać, tyleż z upokorzenia, co i bólu. Paul wdzierał się w nią tym ostrzej. Ciało jego ogarnął przemożny, narastający rytm. Jego ogrom w tym dziewiczym miejscu był nie do opisania.

- Gdzie morduje się wolność - powiedział.

- Morduje wolność...

- Wolność morduje się dla egotyzmu.

Wbijał palce w jej ciało, jakby w obawie, że ulotni się i tak go zostawi. Już nie było przed nim ucieczki, nie było sprzeciwu, a jej łkania jak gdyby wbijały go tym głębiej.

- Rodzina...

- Rodzina - powtórzyła w przeciągłym, zamierającym jęku.

- Twoja pierdolona, jebana twoja rodzina - zachłysnął się, sztywniejąc. - O mój Boże, o Jezu!

Jeanne leżała przygwożdżona do posadzki, całkowicie bezradna. Orgastyczny spazm Paula dobiegł końca, jednak nie wycofał się z niej. Zebrał jej włosy w garść i obrócił jej twarz ku wydrążonemu miejscu w podłodze. Drugą ręką z lekka uniół deskę.

- Teraz otwórz! - powiedział.

- Dlaczego? - załkała Jeanne. Czego jeszcze on może; chceć, po tym ostatecznym upokorzeniu?

- Otwórz! - powtórzył.

Odchyliła dywan i w podłodze rozwarło się wydrążenie o rozmiarze nie większym niż jedna cegła. Było puste.

Paul stoczył się z niej i leżał dysząc na podłodze. Teraz już zgwałcono wszystkie otwory i wszystkie okazały się próżne. Jego pustka nie wypełniła się.

Jeanne z wolna naciągnęła spodnie, tłumiąc swój szloch wycierając nos o szorstki, zgrzebny rękaw swej chłopskiej bluzy. Teraz mogłaby go tu zostawić, ale poczuła, że jej siła zaczyna przeważać. Nie miał prawa napiętnować jej w ten sposób: jak niewolnicy.

Poszła do przedpokoju po adapter i przyniosła go do salonu, gdzie przyklękła, by go otworzyć. Rozwinęła kabel i biorąc wtyczkę wetknęła ją w stare gniazdko na podłodze. Strzeliły błękitne iskry i szarpnęła ręką, bo prąd ją ugryzł.

- Merde! - krzyknęła.

Zajrzała do Paula, jak gdyby przychodzącego do siebie, z jedną ręką na twarzy. Jeanne przypomniała sobie, że nie zna jego imienia.

- Hej, ty! - krzyknęła.

Odwrócił się do niej.

- Tak? - odezwał się grubo.

- Mam dla ciebie niespodziankę.

- Co? - Paul nie zrozumiał, więc przywołała go ręką, udając uśmiech.

- Mam dla ciebie niespodziankę.

Paul dźwignął się na kolana i zapiął rozporek.

- To dobrze - powiedział. - Ja lubię niespodzianki.

Już nie troszczył się o to, co uczynił: ot, kolejna świątynia, którą zbezczeszczył. Znienawidziła go bardziej za tę beztroskę niż za czyn jako taki. Pragnęła zrobić mu krzywdę, porazić to krzepkie ciało, zobaczyć, jak z niego uchodzi siła i dopada go fizyczny ból. Nie mogła się wprost doczekać.

- Co takiego? - zapytał Paul.

- Muzyka - odrzekła, wciąż uśmiechnięta. - Ale nie wiem, jak to się włącza.

Podawała mu kabel i wskazała mu gniazdko w podłodze. Potem cofnęła się. Paul złapał wtyczkę i bez chwili wahania wbił ją w gniazdko. Posypały się iskry i rozległ się głośny trzask, kiedy odskoczył i rzucił przewód.

- Sprawilo ci to przyjemność? - spytał, panując nad sobą, Jeanne nie była tego zbyt pewna.

- A wiesz - powiedziała - tu jest kocur, mający do mnie ciągoty. Zjawia się tylko wtedy, jak ciebie nie ma. Wystarczy, żebyś ty wyszedł, a on już jest. I przygląda mi się. i...

Oczy jej wypełniły się łzami.

- Czy oplakujesz kota? - zapytał, nie przejmując się.

- Płaczę, bo wiedziałam, że prąd cię porazi, a jednak nie ostrzegłam cię. Płaczę, że tak postąpiłeś ze mną. Płaczę, bo nie mogę już tego dłużej znosić.

- To zdanie jest typowe dla samobójców - rzeczowo stwierdził Paul. - Niektórzy je nawet wypisują. Czy zamierzasz popełnić samobójstwo?

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Tak sobie. - Zastanowił się. - Myślisz o samobójstwie przynajmniej raz dziennie, prawda?

- Na pewno nie ja. Ale pomysł jako taki mi się podoba: to romantyczne.

- Znałem kogoś, kto na pozór nie myślał o samobójstwie, aż nagle popełnił je. Jeanne zerwała się na równe nogi.

- Och, mój Boże - powiedziała. - Na śmierć zapomniałam o umówionym spotkaniu. Wpadłam tylko po to, żeby ci dać adapter.

- Umówione spotkania są po to, żeby ich nie dotrzymywać.

Otarła sobie łzy rękawem płaszcza i spojrzała na niego z góry. Paul się nie ruszył.

- A ty? - spytała, kierując się do drzwi.

- Co ja?

- Czy zabijesz się?

Paul się po raz pierwszy uśmiechnął.

- Ja nie należę do tych, co się zabijają - powiedział. - Raczej zabijam innych

Rozdział XIII

Stara barka mocno przechylała się na lewą burtę, a nazwa jej „Atalanta”, jak ten stary film Jeana Vigo, ledwie się dała odczytać na dziobie w łuszczącej się farbie. Jeanne często przechodziła koło niej, zakotwiczonej na Canal St Martin, obwieszonej sznurami kolorowych

świateł i z tablicą powyżej kabiny, głoszącą, że mieści się w niej tancbuda. Szyld się przewrócił, potężne zardzewiałe liny jak gdyby z trudem Utrzymały barkę na wodzie, a na przednim pokładzie walały się jakieś meble, abażury i trochę żeglarskich mosiężnych okuć.

Jeanne szła prędko po kocich łbach nabrzeża. Tom i jego ekipa cierpliwie czekali na dziobie, więc pomachała im. Teraz wydawał się jej taki nieszkodliwy, taki łatwy do przewiedzenia, w porównaniu z gwałtowną nieobliczalnością Paula. Wszystko, co robił Tom, było po prostu grą - w robienie filmów - podczas gdy z Paulem nic się nie powtarzało. Za każdym razem zmuszał ją do czegoś więcej: i nie było odwrotu. Jak gdyby na każde spotkanie z Tomem przynosiła nowe i jeszcze gorsze poniżenie, o które on nawet by jej nie podejrzewał. Zaczęła się już przyzwyczajać do tego podwójnego życia, chociaż za każdym razem, wychodząc od Paula, obiecywała sobie, że to już ostatni raz. Kapitan barki stał pośród swej rupieciarni z cygarem w dłoni, obficie pokrytej tatuażem. - Nie mam nic do sprzedania - oświadczył, kiedy weszła na pokład.

- Każdy ma coś do sprzedania - uśmiechnęła się Jeanne. Coś z tych rupieci mogłoby się przydać w jej małym antykwariacie przy Halach.

Tom podszedł, wziął ją za ramię i łagodnie podprowadził do poręczy na dziobie. Operator wsadził ręce do czarnej torby, pośpiesznie ładując nowy film; dźwiękowiec przykucnął na pokładzie, szykując się do wywiadu. Zmarszczył się, gdy kapitan umieścił na swym gramofonie starą 78 obrotową płytę i nosowy głos męski zaczął śpiewać *Parlam d'amore Mario* z towarzyszeniem szumu i trzasków. Tom zwrócił się do Jeanne:

- Czym się zajmujesz?

- Wszystkim po trochu.

Uśmiechnęła się do kamery.

- Zdawało mi się, że handlujesz antykami - rzekł dosyć poważnie.

- Nie, tylko mam spółkę z bliźniaczkami. A ja dla nich wężę i wyszukuję.

- Co wyszukujesz?

- Wszystko z lat od 1880 do 1935.

- Dlaczego akurat z tych?

- Bo dla handlu antykwarycznego to są rewolucyjne lata.

Spojrzał na nią zdesperowany.

- Nie rozumiem - powiedział. - Powtórz. Jakie to są lata?

- Rewolucyjne. Owszem, Art Nouveau była rewolucyjna w porównaniu z resztą dziewiętnastego wieku i erą wiktoriańską. Na tle tych starych gratów i bezguścia.

- Bezguścia?

Tom rozejrzał się po swoich ludziach, jakby szukając u nich wyjaśnienia; najwyraźniej odpowiedzi Jeanne były nie takie, jak się spodziewał.

- A co to jest gust? - zapytał. - Jak możesz uważać swój gust za rewolucyjny, kiedy zbierasz starocie, które niegdyś były rewolucyjne?

- Chcesz się kłócić? - zapytała uświadamiając sobie, że on ją podpuszcza.

- Już dobrze, dobrze. Uniósł dłonie na zgodę. - Gdzie znajdujesz te... rewolucyjne przedmioty?

- Na aukcjach, na rozmaitych targach, na wsi, u ludzi w mieszkaniach...

- Chodzisz po ludziach? A co to za ludzie?

- Staruszkowie - odparła - albo ich synowie, siostrzeńcy, którzy tylko czekają, kiedy starzy umrą. A potem czym prędzej wyprzedają to wszystko.

- Czy to nie jest trochę makabryczne? Prawdę mówiąc, budzi to we mnie pewien niesmak. Ta woń staroci... te resztki po zmarłych.

- A skądże, to jest fascynujące.

Zapaliła się do tematu i zaczęła chodzić po pokładzie.

- W ten sposób, jak ja to robię - wyjaśniła - przeszłość wydaje się podniecająca. Każde takie znalezisko to przedmiot mający własną historię. Wyobraź sobie, kiedyś udało mi się znaleźć budzik, który należał do paryskiego kata.

- Ależ to obrzydliwe. Chciałabym mieć przy łóżku budzik, którym posługiwał się kat?

Przystąpiła do niego wzięwszy się pod boki.

- Czy naprawdę chcesz się pokłócić? - zapytała. - Czy po prostu nie znosisz antyków?

- Słucham, jak zachwalasz te starocie, jak opowiadasz o tym obrzydliwym budziku...

Przerwał, ażeby zapanować nad głosem, i podjął: - A później patrzę na ciebie i widzę, jaka jesteś zdrowa, bystra i nowoczesna...

- Nowoczesna? - zaśmiała się. - Co to znaczy? Po prostu moda. Rozejrzyj się. Suknie z lat trzydziestych albo czterdziestych...

- Suknie to ja rozumiem. Przypominają mi się te filmy rozłożył ręce i popatrzył w niebo - z gwiazdami z czasów, gdy były jeszcze prawdziwe gwiazdy. Rita Hayworth...

Jeanne potrząsnęła głową z rozczarowaniem.

- Póki chodzi o filmy - powiedziała - to ty rozumiesz. No cóż, to też sposób na sprzeciwianie się teraźniejszości. Właśnie kazałam sobie uszyć taką suknię, jaką nosiła moja matka na zdjęciu z 1946 roku. Była piękna... z tymi kwadratowymi ramionami...

- No cóż - przerwał jej Tom - też sposób na sprzeciwianie się teraźniejszości.

- Dużo łatwiej jest kochać coś takiego - powiedziała - co zbyt bezpośrednio nas nie dotyka, co zachowuje pewien dystans, jak ta twoja kamera.

Było w tym coś na kształt oskarżenia. Tom poczuł się wyraźnie dotknięty. Szybko zwrócił się do operatora.

- Dystans! Ja ci pokażę dystans... Daj mi kamerę, od tego miejsca sam będę kręcił.

Kazał technikowi od dźwięku zawiesić mikrofon.

- Lecimy. A teraz wynoście się, wszyscy! - Przepędził nawet dziewczynę od skryptu i gniewnie zwrócił się znowu do Jeanne. - Ja nie żyję z nostalgii. Liczy się terażniejszość. Usiądź na tej huśtawce.

Wskazał na prawie rozsypującą się huśtawkę umieszczoną na dziobie barki. Posłuchała go, bo zaimponował jej ten nagły przypływ inicjatywy.

Nastawiając na ostrość mówił do niej:

- Rusz się trochę. Zaśpiewaj.

Jeanne zaczęła się huśtać. Zanuciła piosenkę: - *Unejolie filie sur la balaneoire* - odgrywając tę rolę. Tom się roześmiał.

- To co innego - powiedział. - Wiesz, dlaczego ich odprawiłem?

- Bo się złościsz. Albo chciałeś być ze mną sam na sam.

- A dlaczego chciałem sam na sam?

- Bo masz mi coś do powiedzenia - kombinowała. - Coś poufnego.

- Brawo! - zawołał Tom. - A co takiego?

- Wesołe czy smutne?

- To sekret.

- W takim razie wesołe. Jaki sekret?

- Chwileczkę... Udawał, że się namyśla.

- ...sekret pomiędzy mężczyzną a kobietą...

- Czyli nieprzyzwoity - roześmiała się. - Albo chodzi o miłość.

- Tak, miłość. Ale na tym nie koniec.

- Sekret miłosny.

Oparła podbródek na pięści; Tom ciągle miał oko przymknięte do wizjera kamery.

- Sekret miłosny, w którym kryje się coś nie będącego miłością - powiedziała. - Nie zgadnę.

- Chciałem ci powiedzieć, że za tydzień bierzemy ślub.

- Jak to!

- Oczywiście jeżeli chcesz.

- A ty?

- Ja się zdecydowałem - powiedział. - Wszystko gotowe.

- Och, Tom, jakie to wszystko dziwne. Wydaje się całkiem niemożliwe.

- To ujęcie trochę skakało. Ręce mi się trzęsą z emocji.

Zaczęła się huścić, tam i z powrotem, za każdym razem unosząc stopy trochę wyżej.

- Jeszcze mi nie odpowiedziałś - zawołał.

- Bo nic z tego nie rozumiem.

Twarz jej była mocno zarumieniona, uśmiech szeroki i nie ukrywany. Patrzyła wokół - na kanał, na kapitana pakującego w pudła swoje rupiecie, na domy wzdłuż nabrzeża i na bezlistne lipy, na synchronicznie lecącą parę gołębi - i nie mogła się na niczym skupić. Huśtawka się z wolna zatrzymała.

- Więc? - odezwał się Tom. - Tak czy nie?

Po jej twarzy przemknął cień lęku; rzuciła mu się na szyję.

- Przestań kręcić - szepnęła. - Wychodzę za ciebie, nie za twoją kamerę.

Tom podniósł stare koło ratunkowe i na wiwat rzucił je na wodę kanału: ku ich zaskoczeniu poszło od razu na dno.

Rozdział XIV

Jeanne otworzyła sobie własnym kluczem drzwi do mieszkania swej matki;. Wbiegła po schodach, zamiast jechać windą, tak pilno jej było podzielić się dobrą nowiną; trochę przytłumił ją widok ich obszernego, wygodnie umeblowanego salonu. Tubylcza broń afrykańska i wyroby artystyczne podobne do tych, jakie wisiały w willi, pokrywały ściany. Pokój był jasny i przewiewny, ale czał się w nim nastrój nostalgii i straconego czasu. Wbiegła do pokoju swej matki.

Przystojna kobieta o starannie uczesanych, siwiejących włosach i pełna wrodzonego autorytetu stała przy łóżku zarzuconym starymi mundurami. Przyciskała do piersi doskonale zachowane, wyczyszczone aż do połysku buty.

- Hej, mamó - uściskała ją Jeanne.

- Wcześniej wracasz.

- Aha, tak się złożyło.

Przeszła się żwawo po pokoju, obejrzała mimochodem złoty galon na jednym z mundurów, dotknęła obcasów.

- Jest mi wspaniale - powiedziała.

- To dobrze.

Jej matka uniosła przed sobą i podziwiała buty.

- Jak sądzisz? Czy powinnam je odesłać do willi?

- Odeślij wszystko.

Okręciła się tanecznie na środku pokoju z uniesionymi rękoma, odrzucając sobie włosy z twarzy.

- I tak rodzinne muzeum jest u Olimpi.

- Z wyjątkiem tych butów - rzekła z naciskiem jej matka. - Zatrzymam je tutaj. Dreszcz mnie przechodzi, kiedy ich dotykam.

Jeanne podniosła okrągłe kepi, całe w złotych galonach, włożyła je na głowę i przekrzywiła zawadiacko; sięgnęła po gruby wełniany mundur w barwie polowej i przesunęła dłonią po jego epoletach i złotych guzikach.

- Mundury - powiedziała. - Te wojskowe rzeczy nigdy się nie starzeją.

Odłożyła kurtkę i czapkę. Stary służbowy pistolet jej ojca leżał na wierzchu w szufladzie biurka; wyjęła go z wytartej kabury i obejrzała. Był jeszcze naładowany.

- Wydawał mi się taki ciężki, kiedy byłam mała i papa uczył mnie z niego strzelać. Wycelowoła w pnące doniczkowe wiszące w oknie.

- Dlaczego nie odeślesz go? - zapytała. - Po co ci ten pistolet?

- W każdym szanującym się domu powinna być broń palna. Zawsze może się przydać. Zaczęła pakować mundury do otwartych walizek. Jeanne odłożyła pistolet, zamknęła szufladę; zaczęła grzebać w pudle starych papierzysek.

- Nawet nie umiałabyś go wziąć do ręki - stwierdziła.

- Wystarczy go mieć. To już coś znaczy.

Jeanne znalazła w pudełku spękany portfel z czerwonej skórki. Odwróciwszy się plecami do matki zajrzała do niego i znalazła stary dowód osobisty pułkownika. Pod nim kryło się pożółkłe, spękane zdjęcie: młoda Arabka z dumą prezentowała na nim swe nagie piersi.

Jeanne schowała portfel do swej torebki. Matce zaś pokazała fotografię.

- A to? - spytała. - Co za jedna?

Matka zmarszczyła się prawie niedostrzegalnie. Najwidoczniej była to jedna z wielu kochanek pułkownika i. czasów jego kampanii afrykańskiej.

- Piękny typ Berberki - odrzekła z godnością, nie przerywając pakowania. - Twarda rasa. Staralam się ich kilkoro zatrudnić, ale jako służba są do niczego.

Matka była żeńskim odpowiednikiem zawodowego żołnierza: wzorem wszelkich cnót i stoicyzmu w krytycznych sytuacjach. Teraz wypełniała swój obowiązek wobec pamięci swego męznego małżonka: nie dopuściłaby do tego, ażeby cokolwiek ją skalało.

Stanowczo zamknęła walizkę i postawiła ją na podłodze. Uśmiechnęła się do swej córki.

- Rada jestem, że zdecydowałam się odesłać to wszystko na wieś. Ciągle tylko przybywa tych rzeczy.

Jeanne ucałowała ją serdecznie.

- Już niedługo będziesz miała wolnego miejsca, ile tylko zapragniesz.

Matka spojrzała na nią, ale Jeanne odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Muszę iść - powiedziała. - Jeszcze nie skończyłam na dzisiaj z pracą. Wstąpiłam tylko, żeby ci powiedzieć...

Wyszła na podest, a matka za nią. Jeanne oparła się o guzik windy.

- Że co? - zapytała matka.

- Że wychodzę za mąż.

Otworzyła drzwi i weszła do windy.

- Co takiego?

Matka uczepiła się ozdobnej klamki, wpatrując się w nią z niedowierzaniem.

- Za tydzień wychodzę za mąż - krzyknęła Jeanne, zapadając się w głąb.

Po drodze do sklepu Jeanne wstąpiła do fotoautomatu na stacji metra Bir Hakeim. Wrzuciła monety, zaciągnęła na sznurku krótką plastikową zasłonę i znalazła się sama na twardej, drewnianej ławce, oko w oko z własnym odbiciem w dwustronnym lustrze.

Błysnął flesz. Odwróciła twarz w prawo, potem w lewo, za każdym razem czekając, aż automatyczna kamera ją sfotografuje.

W nagłym odruchu rozpięła sobie bluzkę i wystawiła nagie piersi do obiektywu.

- Piękny typ Berberki - powiedziała do siebie na głos, i wtedy błysnął ostatni flesz.

Czekając na peronie metra Jeanne wpatrywała się w dół, nu wąską, zatłoczoną ulicę, przyglądając się ludziom przełykającym koło kawiarni, niektórzy z walizkami: podróżni z St Lazare, pomyślała od niechcienia, a wśród nich wielu cudzoziemców. Dotknęła w kieszeni zdjęcia berberskiej dziewczyny i tego, które przed chwilą sama sobie zrobiła, pierwsze z nich powiedziało jej coś o własnym ojcu, czego nigdy by nie podejrzewała: dopiero teraz pomyślała o nim jako o mężczyźnie, zdolnym przeżywać seksualne pożądanie i wzbudzać je. Nawet on musiał mieć jakieś sekretne życie: ta myśl zaintrygowała ją. Jeżeli matka o tym wiedziała, to już nie dba o to. Jak szybko ludzie przystosowują się do wymagań ciała! Fotografując się z

nagimi piersiami poczuła, że nawiązała jakiś nowy rodzaj stosunku z ojcem. Zrobiła to również dla żartu (powiedziała sobie) i podzieli się nim z którymś ze swych kochanków, po czym uświadomiła sobie, że ani Tom, ani Paul nie będą z tego zadowoleni, choć z różnych powodów: Tom uzna ją za wulgarną, a Paul będzie ją zadreślał za jej sentymentalizm. Wsiadła do metra i pojechała przez miasto, myśląc o swej przygodzie, nie zwracając uwagi na innych pasażerów. Myśl o tym, że jej ojciec też miał romanse, jak gdyby usprawiedliwiała jej spotkanie z Paulem. Ale skoro rzeczywiście ma poślubić Toma, będzie zmuszona jakoś ułożyć to przynajmniej sama ze sobą, albo stanie się coś niedobrego.

Wysiadła z pociągu i minęła skorupę po dawnym targu w Halach, zmierzając do swego antykwariatu. Pierwsze co spostrzegła, to że jej okna wystawowe domagają się już umycia. W jednym pomieszczeniu była istna dżungla: stojące lampy, wieszaki, wrzecionowate nogi odwróconych krzeseł i sofa pełna zakurzonych flaszek. Baryłka starych lasek stała przy drzwiach.

Na tyłach sklepu jej pomocnice, Monique i Mouchette, rozładowały skrzynię rupieci. Bliźniaczki, obie nosiły długie, splecione włosy, a ich dzinsy były pokryte jaskrawymi latami. Formalnie były jej asystentkami. Otworzyła ten sklep za pieniądze od matki, ale z bogatymi starszymi paniami z Auteuil, które przychodziły kupować od Jeanne jej zabytki, kontaktowały się przeważnie bliźniaczki. Były młodsze od Jeanne, ale ponieważ uczestniczyły w studenckich rozruchach 1968 roku, będąc jeszcze w szkole podstawowej, skłonne były traktować ją jako porywczą, młodszą siostrzyczkę.

- Hej - zawołała Jeanne. - Wychodzę za mąż. - Wiedziała, że nie akceptują Toma.

Bliźniaczki wyprostowały się i odgarnęły sobie włosy z oczu. Popatrzyły na Jeanne z niedowierzaniem, a potem wzajemnie na siebie.

- Jak to jest wyjść za mąż? - spytała Monique.

- Będę spokojniejsza i bardziej zorganizowana - odparła Jeanne rozpinając płaszcz.

Zamierzała pomóc im w rozpakowywaniu i wycenie, jak przystało na odpowiedzialną właścicielkę, którą by chciała być.

- Postanowiłam spoważnieć.

Bliźniaczki się tylko roześmiały.

- A co wy zrobiłybyście na moim miejscu? - spytała Jeanne.

- Ja dałabym sobie w łeb - rzekła Mouchette.

- Ja wstąpiłabym do klasztoru - rzekła Monique.

I wyrzekła się seksu? pomyślała Jeanne. Zaczęła zdejmować płaszcz i wstrzymała się. Przede wszystkim zawiadomi Paula, że wychodzi za mąż i że ich przygoda się skończyła.

Bądź co bądź małżeństwo jej rodziców przetrwało zapewne dlatego, że jej ojciec narzucił sobie właśnie takie wyrzeczenie. Przez chwilę poczuła się strasznie mocna.

- Podjęłam rozstrzygającą decyzję - oświadczyła, zapinając z powrotem płaszcz. - Koniec. Od dzisiaj nigdy się z nim już nie zobaczę.

- Więc nie będzie ślubu? - zawołała Mouchette.

- Owszem - rzuciła przez ramię Jeanne. - Wychodzę za mąż. Jestem kobietą wolną.

Monique i Mouchette wymieniły spojrzenia, zdezorientowane bardziej niż dotąd.

- Nigdy jej nie zrozumiem - powiedziała Monique.

- Poza tym - rzekła Mouchette - nie mówi się „wolna”, mówi się „wyzwolona”.

Rozdział XV

Kobieta wolna! Jeanne obracała w myśli to określenie, wychodząc ze sklepu. Pograżona w siebie, nie spostrzegła furgonetki parkującej przy krawężniku.

W środku, kryjąc się za stosami kartonowych pudeł, klęczeli Tom i jego ekipa, stłoczeni razem z aparaturą dźwiękową i z Arriflexem w plątaniu kabli. Tom przyłożył kamerę do oka, ogniskując jej obiektyw na Jeanne biegnącej do rogu. Sekretarka planu, z włosami przewiazanymi szalikiem, klęczała obok i stykali się ramionami, ale Tom pochłonięty był swoją zdobyczą.

- Gdybym ja była Jeanne - przemówiła dziewczyna - to po takim numerze wycofałabym się ze ślubu.

Tom zmienił pozycję, żeby lepiej widzieć. Silnik zapalił z rykiem, ale kierowca czekał, czy Jeanne nie złapie na rogu taksówki.

- Zachowujesz się jak prywatny detektyw - rzekła sekretarka planu do Toma.

Nie odpowiedział, tylko przesunął dłonią po jej swetrze do góry, aż poczuł w niej małą i twardą pierś. Uszczypnął ją figlarnie. - Może chciałabyś się znaleźć na jej miejscu - powiedział, nie odrywając oka od kamery.

Jeanne skręciła za róg i poszła dalej ulicą. Kierowca jechał tuż za nią, a potem ją wyprzedził. Tom oddał kamerę operatorowi, dając znaki, żeby zaczął filmować. Teraz już milczeli w napięciu. Ruch się zatrzymał na światłach. Jeanne skręciła nagle i ruszyła wprost na furgonetkę.

- Zobaczyła nas - rzekł Tom. - Sprawa się ryła.

Podeszła bliżej. Tom skulił się nisko, gestami nakazując to samo kryjącej się za nim ekipie. Niezależnie od filmowania miał inny powód, ażeby śledzić Jeanne, chociaż nie przy-

znawał się do tego nawet samemu sobie. Wydało mu się, że przez kilka ostatnich dni Jeanne dziwnie się zachowywała: spóźniając się, nagle odchodząc, wyklócając się z nim na stacji metra. Coś nie tak.

Obok furgonetki trzasnęły drzwi. Tom ostrożnie zerknął przez okienko. Jeanne sadziła się na tylnym siedzeniu taksówki.

- Jednak się rypło - powiedział.

Taksówka ruszyła.

- Utrzymuj dystans - rzekł Tom do swego kierowcy. - Żeby nas przypadkiem nie zobaczyła.

Taksówka zatrzymała się na następnych światłach. Jeanne przechyliła się przez oparcie i wydała polecenie kierowcy. Nie miała pojęcia, że tuż za nią posuwa się oko kamery, Światła zmieniły się i furgonetka znów zajęła pozycję za taksówką.

Dla Jeanne świat zewnętrzny nie istniał. Otworzyła torebkę, wyjęła z niej kosmetyczkę. Poprawiła sobie starannie rzęsy tuszem i kontur ust karmazynową kredką.

Jej taksówka zatrzymała się niedaleko ozdobnego mostu kolejowego, prowadzącego do Passy. Wypełniał go popołudniowy tłum przejezdnych, wylewający się ze stacji metra, i pomyślała jej się niechcący, czy przypadkiem Paula nie ma wśród nich. Wysiadła, czym prędzej zapłaciła taksówkarzowi i ruszyła przez jezdnię w kierunku Viaduc Cafe i znajomych fasad na Rue Jules Verne. Tom i jego ludzie klęczeli stłoczeni, przyciskając twarze do malutkiego okienka.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał, patrząc, jak Jeanne przechodzi koło kawiarni Na Rue Jules Verne - odpowiedział kierowca. - W siódmym obwodzie.

- Tajemnicza sprawa. - Tom wzruszył ramionami i polecił, aby operator dalej filmował. Przyszło mu do głowy, czy aby Jeanne nie wybiera się do innego kochanka.

- W porządku - rzekł nerwowo. - Teraz ją wyprzedź.

Jeanne już prawie doszła do budynku z wysoką, żelazną bramą. Wóz ją wyprzedził.

Ulica była taka jak zawsze, spokojna i prawie bez przejeżdżających samochodów. Rusztowanie z przeciwka majaczyło jak szkielet jakiejś przedpotopowej bestii. Jeanne usłyszała daleki turkot metra. Przystanęła u drzwi z matowego żółtego szkła. Furgonetka zatrzymała się i czekała z silnikiem pracującym na luzie.

Jeanne zwróciła się ku bramie budynku. Coś na ulicy rzuciło jej się w oczy: furgonetka. Tylne drzwi były nieco uchylone. Ze szpary wystawał długi ciemny walec: mikrofon kierunkowy. Poznała go natychmiast. Teraz musi dokonać wyboru.

Popłoch i wściekłość jej zamieniły się w plan. Odwróciła głowę i poszła dalej ulicą.

- Czy jesteś pewien, że cię nie spostrzegła? - zapytał Tom dźwiękowca.

- To w praktyce niemożliwe - odrzekł tamten, prawie całkiem chowając mikrofon, kiedy furgonetka z wolna ruszyła dalej.

- Postaraj się - rzekł Tom. - Spróbuj tylko nagrać jej kroki i coś z nastroju.

Jeanne miała ochotę krzyżeć. Chciało jej się rzucić na Toma, uciec i nigdy więcej nie mieć z nim do czynienia. Teraz już furgonetka tak rzucała się w oczy, że chciało jej się roześmiać albo pokazać im nieprzyzwoity gest. Ale to by odpowiadało Tomowi. Lepiej oszukać go, w taki sposób, żeby musiał zrozumieć. Przystanąła na najbliższym rogu. Po drugiej stronie ulicy stał romański kościół z kamienia, pociemniałego od sadzy i wieku. Nie spojrzawszy w prawo ani w lewo przeszła jezdnię i wśliznęła się przez ciężkie drewniane drzwi.

- Stop! - rozkazał Tom kierowcy. I do ekipy: - Ani jednego szmeru!

Pchnął drzwi furgonetki na oścież i wyskoczył na jezdnię.

- A teraz na paluszkach - ostrzegł, kiedy inni gramolili się za nim.

Tom poczuł, że nareszcie odkrył prawdziwą Jeanne. Nigdy w życiu nie domyśliłby się, że jest religijna. To mu się spodobało. Jako potwierdzenie jej czystości.

W kościele był półmrok i niemal pusto. Jedna wnęka wypełniona ławą rozmigotanych świeczek. Tylko zamierające światło dnia oświetlało ołtarz, sącząc się z wysoka przez witraże o ciemnych barwach. Operator podniósł Arriflexa do okna i słuchając się znaków, które Tom dawał mu dłonią, sfilmował witraże, po czym wykonał szwenk po nawie, szukając Jeanne.

Kłęcząca przy konfesjonale z dłońmi złożonymi w modlitwie.

- Najazd na nią - polecił Tom i podkradli się bliżej, on i pozostali. Jeszcze bliżej, aż wyraźnie usłyszeli jej słowa.

- Ale z ciebie skurwysyn, Tom - mówiła, patrząc ciągle na wprost. - Skurwysyn z ciebie, skurwysyn. Co za skurwysyn! Nienawidzę cię, brzydzę się tobą.

Tom podszedł na niepewnych nogach, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. Stał tuż koło niej, spodziewając się wyjaśnienia, lecz nie mogąc wydobyć głosu. Ona zaś ciągnęła swoją litanie, w ogóle nie podnosząc oczu.

Sekretarka planu podeszła i wzięła Toma za ramię.

- Dosyć tego - szepnęła.

- Masz rację - powiedział. - Ale mnie załatwiła.

Cała ekipa wyszła za nim na zewnątrz. Nikt się nie odezwał, gdy włązili z powrotem do furgonetki i zdejmowali z siebie wyposażenie. Tom czuł się głupio, wściekły. Wóz szarpnął i potoczył się z rykiem po Rue Jules Verne.

W nawie pociemniało. Niewyczuwalny powiew zachybotał płomykami świec. Przez kilka minut Jeanne się nie poruszyła. Wiedziała, jaki ból sprawiła Tomowi, lecz zasługiwał na to. Przez moment zdawało się jej, że rozplacze się z bezradności: straciła szansę, aby zastać Paula w mieszkaniu.

Wyszła w chłodny wieczór zimowy zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy.

Rozdział XVI

W hotelu nareszcie zapanowała cisza. Paul zamknął na klucz drzwi wejściowe, spojrzawszy po ulicy w stronę kawiarni, po czym przykręcił lampę; wszystko to czynności całkiem już rutynowe i coraz bardziej nudzące. Pomyślał, jak przyjemnie byłoby zamknąć wszystkich gości na zewnątrz, nie w środku. Pieniądze były mu już kompletnie obojętne. Czuł się straszliwie sam. Ciało Rosy miało być dostarczone z prosektorium nazajutrz. Bez wątplenia, pomyślał, on i jej matka doznają ponurej satysfakcji z jej powrotu.

Udał się do swego pokoju, wyjął ze ściennej szafy na ubranie butelkę „Jacka Daniela” i nalał sobie drinka. Dłoń miał pewną, wychylając go, ale we wnętrzościach zamęt i chłód. W pokoju nie było poza tym nic takiego, co miałoby związek z jego osobą; wszystkie książki i obrazy należały do Rosy, gdyż Paul nie znosił reliktyw; jednak czuł się tu osłonięty i niechętnie wychodził. Marcel zaprosił go na górę do swojego pokoju; dziwne zaproszenie. Paul zawsze nazywał Marcela (taki przejaw zgryźliwego humoru) nie akredytowanym kochankiem swej żony. Brzmiało to jakoś bardziej gruboskórnie i beznadziejnie. Oczywiście on też miał kochanki - jakieś tam nieciekawe ekspedientki, barmanki, co tylko mu się nawinęło pod rękę - przeważnie z nawyku. Ale Rosa miała jakby coś innego na myśli. Jako jej urzędowy kochanek Paul rościł sobie prawo do pewnych przywilejów, takich jak miłość. Jakże zarozumiały się okazał. Był świadom, że od Marcela wymagało to pewnej odwagi, by go zaprosić. Ileż to nocy Paul przesiedział w tym pokoju, czekając i wpatrując się w zielonkawy neon Ricard z naprzeciwka, podczas gdy Rosa przebywała u swego kochanka. No cóż, powiedział sobie Paul, jeśli Marcel tej nocy okaże się rozmamłany i sentymentalny, to on będzie co najwyżej zmuszony wbić tego Marcela głową w ścianę z tandetnej płyty gipsowej. Z drugiej strony kto wie, czy Marcel nie powie mu czegoś ciekawego.

Wszedł po schodach i zapukał do drzwi Marcela.

- Entrez! - Odpowiedź była grzeczna i natychmiastowa.

Paul wszedł do ciasnego pokoju, zavalonego książkami i czasopismami, wypełnionego ciepłym światłem od szkarłatnego abażuru na lampie. Na ścianach, jedna przy drugiej litografie Lautreca i Chagalla, wydarte z Paris Matek fotografie wypiękionych krajobrazów, zużyte bilety na wyścigi, listy, wycinki i Albert Camus na plakacie. Marcel siedział przy biurku zarzuconym numerami Le Monde, Paris-Soir i pół tuzina innych gazet, wycinając długimi nożycami jakiś artykuł. On też był w szlafroku.

- Nie przyszedłem tu na wspólne oplakiwanie - odezwał się Paul.

Marcel nie przestał pracować nożycami. Paula złościło jego panowanie nad sobą.

- Czy nie będzie panu przeszkadzało, że pracuję? - spytał go Marcel. - Po tym, co się stało, mnie to uspokaja.

Zauważył, że Paul porównuje ze sobą ich szlafroki. Obydwa logo samego materiału w szkocką kratę.

- Takie same - stwierdził Marcel nie bez satysfakcji. - Rosa życzyła sobie, aby nasze szlafroki były identyczne.

Paul coraz bardziej się irytował. Nie wiedział o szlafrokach i uznał to za groteskowe.

- Nie może mi pan powiedzieć nic, czego bym już nie wiedział - skłamał. Postanowił przejąć inicjatywę i zaczął grzebać w porządnie Ułożonym stosie wycinków na biurku. - Zastanawiałem się, po co pan je zbiera. Czy to pańska praca, czy takie hobby?

- Nie lubię określenia: hobby - odparł Marcel. - To praca, dzięki której dorabiam sobie do pensji.

- Czyli poważna sprawa. - Paul z niego pokpiwał. - Praca, która zmusza pana do czytania. Bardzo pouczające.

- Proszę nie żartować - rzekł Marcel. - Pan nie wiedział, że mamy identyczne szlafroki?

Paul roześmiał się, ale zabrzmiało to sztucznie.

- Mamy z sobą wiele wspólnego - mówił dalej Marcel, ale Paul mu przerwał.

- Wiem o wszystkim. Rosa często mi o panu opowiadała.

W obecności drugiego mężczyzny, choćby tak wybrednego jak Marcel, Paul mógł sobie pozwolić na sentymenty w odniesieniu do swojej żony, nie odczuwając bezsilnej wściekłości. Marcel był mężczyzną i nie stanowił dla niego ładnej groźby, może z wyjątkiem roli, w jakiej Rosa się nim posługiwała.

- Może łyk burbona? - spytał Marcela w nagłym przypiływie szczodrości.

Zrobił krok do drzwi.

- Chwileczkę. - Marcel wyciągnął szufladę z biurka i wyjął z niej własną butelkę Jacka Danielsa. - Mam tu swojego.

- Też prezent od Rosy?

- Ja za nim nie przepadam, ale Rosa chciała go zawsze mieć pod ręką. Często zastanawiałem się, czy takie szczegóły nie pozwoliłyby nam wspólnie wyjaśnić, zrozumieć...

Paul przyjął tego drinka.

- Prawie przez rok Rosa i ja... - Marcel potknął się o własne słowa. - Regularnie, ale beznamyślnie - powiedział, decydując się na niedopowiedzenie. - Sądzę, że znałem ją tak dobrze, jak można poznać swoją...

- Kochankę - rzekł od niechcienia Paul.

- Ale nie tak dawno zdarzyło się coś, czego nie umiałem sobie wyjaśnić.

Marcel wskazał na wydłużony trójkąt białej ściany tuż pod sufitem, gdzie tapeta została zdarta.

- Rosa stanęła na łóżku - powiedział - i usiłowała zedrzeć tapetę rękoma. Powstrzymałem ją, bo łamała sobie paznokcie. Robiła to nadzwyczaj gwałtownie. Nigdy nie widziałem u niej takiego dziwnego zachowania.

Paul uświadomił sobie jakąś natrętną myśl.

- Nasz pokój był pomalowany na biało - powiedział. - Chciała, żeby się różnił od reszty pokoi w hotelu, żeby wyglądał jak normalne mieszkanie. Tu również chciała to zmienić i zaczęła od ścian.

Paul usiadł ciężko na łóżku. Jak łatwo urządza się cudze życie. Pomyślał o Jeanne i o tym, że nie znają wzajemnie swoich imion. Czy to możliwe, żeby Rosa z Marcelem też realizowała najbardziej posępną ze swoich wizji bytu? A ta wizja była odbiciem jej prawdziwego życia. Przez chwilę Paul nie był w stanie się odezwać. Patrzył na Marcela jak urzeczony.

- Pan musiał być kiedyś przystojny - powiedział.

Marcel usiadł przy nim na łóżku.

- Nie tak jak pan.

- Jest pan w dobrej formie. - Paul go poklepał przez szlafrok. - Co pan robi na brzuch? Ja z tym właśnie mam problem.

- Och, mam taki swój sekret - rzekł Marcel, ale nie; dokończył. - Dlaczego Rosa zdradzała pana ze mną? - zapytał Paula zniecierpliwiony.

Paul popatrzył w jego szczerze oczy: ten człowiek nigdy nie zrozumie.

- Pan nie wierzy w jej samobójstwo? - zapytał go spokojnie i cicho Paul.

- Trudno mi w to uwierzyć.

Marcel jakby przestraszył się swego wyznania. Wstał i podszedł do okna, chwycił za pręt rozparty wysoko we framudze i zaczął się wysoko podciągać.

- To jest mój sposób na brzuch - zawołał.

Paul aż zapatrzył się na niego, na tę rekonstrukcję samego siebie. Rosa przebrała go za Paula, narzuciła mu jego ulubiony trunek. Paul szukał listu od niej i znalazł tylko jej błahe i czasem gorszące pamiątki. Teraz uświadomił sobie, że Marcel i pokój Marcela są właśnie tym przesłaniem, którego szukał. Banalność tego była przygnębiająca.

Ruszył do drzwi i zatrzymał się.

- Szczerze mówiąc - rzekł do Marcela - zastanawiam się, co ona w panu widziała.

Rozdział XVII

Jaskinie Hal zdawały się nietknięte porannym słońcem, cień pozawieszał okna pod nawisami okapów, a ich tłem była ciemność olbrzymiego, milczącego wnętrza. Niezliczone tysiące martwych zwierząt przesunęły się pod tym dachem, Jeanne tyle razy oglądała te zastępy pożyłkowanych tusz uszeregowane na stalowych hakach; a teraz sama budowla skazana była na śmierć i wyznaczona już data jej zagłady. Oto stała się - pomyślała Jeanne, patrząc na nią tuż spoza drzwi sklepu na Rue de la Cossonnerie - swoim własnym salonem pogrzebowym. Nie miała jednak czasu na luk makabryczne myśli: śmierć była czymś, co nie mogło jej dotknąć, zwłaszcza dzisiaj, kiedy stała się centralnym punktem sklepu z sukniami ślubnymi, przystrojona w staroświecką satynę, z lokami spiętrzonymi na głowie, gdzie przytrzymywała je, w jednej dłoni ściskając czerwoną różę, którą jej podarował Tom, i obracając się z wolna, aby ją mógł ocenić.

Ustawiony pewnie na swym trójnogu Arriflex czekał na chodniku, na zewnątrz, bo w małym sklepiku nie było miejsca. Operator w skupieniu pochylał się do wizjera, dźwiękowiec zaś klęczał przy swoim magnetofonie i sprawdzał mikrofon. Tom kręcił się za kamerą, czekając na początek zdjęć, a u szyi powiewał mu kolorowy, wzorzysty szalik, nieco wstydliwie podkreślając jego entuzjazm. Właścicielka sklepu, już pewna zakupu, starała się przekonać Jeanne, aby wybrała droższą suknię ślubną z peau-de-soie, ona jednak wolała coś bardziej tradycyjnego, mimo że była to suknia używana i rozdarta pod jedną pachą. Przez rozdarcie widać było, jak pręży się jej pierś, jędrna i dziewicza. Jeanne była już zniecierpliwiona przygotowaniami Toma i pragnęła, by wreszcie zaczął, dopóki ona potrafi utrzymać w ryzach swoje niedowierzanie. Spostrzegł jej skrępowanie.

- Natchnienia się nie włącza tak jak światło! - zawołał.

- W takim razie co z ciebie za reżyser?

- Idea twórcza to nie kupowanie kielbasy! - Zwrócił się do swojej ekipy. - Gotowi? On tourne... Jeanne patrzyła, jak Tom bierze mikrofon i staje przed kamerą, aby wygłosić wstęp, dziarsko przestępując z nogi na nogę. Pomyślała, że jak z niej, tak i z Toma jest nieuleczalny romantyk.

- Znajdujemy się w pobliżu Les Halles - zaczął, a kamera pracowała. - W tych starych sklepach suknie, białe suknie powiewają łagodnie na wietrze... wrażenie bieli. To suknie do ślubu...

Przywołał gestem dźwiękowca i krzyknął:

- Akcja!

Jeanne stwierdziła, że Tom klęczy przed nią, aby nie zasłaniać ujęcia, i trzyma mikrofon na poziomie jej piersi.

- Jak ty widzisz małżeństwo? - zapytał.

Poczuła ruch powietrza i wiedziała, że to nie podmuch, tylko wiatr. Chmury gromadziły się na północy. Ciepłe powietrze w zimie, pomyślała, zawsze zwiastuje deszcz.

- Widzę je wszędzie - odpowiedziała. - Zawsze.

- Wszędzie? - zapytał Tom.;

- Na murach i płotach, na fasadach.

- Na płotach? Na fasadach?

W głosie Toma już zabrzmiało rozczarowanie. Zastanowiła się, czy dla nich dwojga w ogóle jest jakakolwiek szansa, skoro wystarczyło jej przymierzyć suknię ślubną, aby się zaczęła w niej dusić.

- Tak - odparła prosto w obiektyw. - Na plakatach. A co mówią plakaty? Co sprzedają?

- Samochody, konserwy mięsne, papierosy... - podsunął Tom.

- Nie. Ich tematem jest młoda para przed ślubem, jeszcze bez dzieci. Potem widzimy ich po ślubie, z dziećmi. Te plakaty dotyczą małżeństwa, choćby tego wprost nie mówiły. Idealne, udane małżeństwo nie jest już w tym stylu co dawniej, że w kościele, ponury mąż i uskarżająca się małżonka. Dziś reklamowane małżeństwo jest uśmiechnięte.

- Uśmiechnięte?

- Oczywiście. I dlaczego nie traktować poważnie tych par małżeńskich, które widzimy na reklamach? To jest małżeństwo w stylu pop.

- Pop? - Dla Toma to była rewelacja. Nigdy tak nie myślał o małżeństwie. - To jest idea! - stwierdził. - Młodzi pop zawierają małżeństwo pop. A jeśli małżeństwo w stylu pop okaże się nieudane?

- To się je naprawia, jak samochód - odparła Jeanne. - Ci dwoje to jakby mechanicy w kombinezonach, naprawiający silnik.

- A co dzieje się w przypadku zdrady małżeńskiej? - dopytywał się Tom.

Sprzedająca skończyła upinać suknię i odstała do tyłu, podnosząc ręce z zachwytem.

- W razie zdrady - powiedziała Jeanne - mamy nie dwoje, tylko troje albo czworo mechaników.

- A miłość? Czy: miłość też jest pop?

Tom klęczał u jej stóp, z głową wspartą o fałdy peau-de-sok udrapowane na małej sofie. Spoglądał na Jeanne z uwielbieniem.

- Nie - zdecydowała. - Miłość nie jest pop.

- A jeżeli nie pop, to jaka?

Jeanne spostrzegła, że cała ekipa zachwycona jest tą wymianą zdań i pomyślała sobie, czy oni przypadkiem nic podejrzewają czegoś, co Tomowi nie przyjdzie do głowy? Niebo za nimi robiło się coraz ciemniejsze.

- Ci mechanicy idą w ustronne miejsce - powiedziała. - Zdejmują kombinezony, znowu zamieniając się w mężczyzn i kobiety, i wtedy kochają się.

Tom nie posiadał się z zachwytem. Skoczył na równe nogi i zawołał:

- Jesteś cudowna! I wyglądasz cudownie!

- To suknia czyni pannę młodą - skromnie odezwała się Jeanne.

- Jesteś lepsza niż Rita Hayworth - zachłystywał się Tom, przerzucając katalog swoich filmowych porównań. - Lepsza niż Joan Crawford, Kim Novak, Lauren Bacall, Ava Gardner zakochana w Mickey Rooneyu!

Te nazwiska nie miały z nią nic wspólnego. Próbowwała uwierzyć w samą siebie w roli panny młodej, ale nie mogła: przynajmniej nie z Tomem, nie teraz. Chciałaby zerwać z siebie tę suknię, uciec przed jego dziecinną adoracją, przed oczyma kamery, filmowców i tej kobiety, która podeszła zamknąć drzwi, bo deszcz zaczął padać.

- Co pani robi? - zawołał Tom. - Nie! - Pchnął i otworzył drzwi z powrotem, rozkazując operatorowi, żeby dalej filmował.

Ale deszcz lał coraz mocniej i sekretarka planu pierwsza pobiegła się schować. Operator zdjął kurtkę i narzucił ją na Arriflexa. Dźwiękowiec zaczął znosić swoje wyposażenie pod markizę przed sąsiednim sklepem.

- Dlaczego nie filmujecie w deszczu? - wykrzyknął Tom. - Dlaczego przestaliście?

Z nieba lunęło jak z cebra. Tom wypadł na ulicę, żeby pomóc w przeniesieniu kamery, gdy ulewa zagłuszyła trwożne okrzyki. Jeanne podeszła ostrożnie do drzwi, zebrawszy w dłoni suknię. Poczula nagły, nieodparty przymus, aby zobaczyć Paula, bezpieczna wśród kolistych ścian apartamentu, zrzuciwszy z siebie tę suknię i wszelkie zobowiązania. Zawahała się, a potem wybiegła w to oberwanie chmury i popędziła wzdłuż Rue de la Cossonnerie; deszcz natychmiast przemoczył jej włosy i cienką satynę ślubnej sukni, zimny lecz elektryzujący. Zachciało jej się śpiewać i otworzyła usta pod ulewą.

Jej ucieczki nie widział nikt oprócz właścicielki sklepu. Ta wciąż jeszcze stała z opadniętą szczęką, gdy Tom wśliznął się z powrotem do sklepu, ociekający wodą, i stanął jak wryty przed pustym podwyższeniem do upinania sukni.

- Jeanne - powiedział. - A gdzie Jeanne?

- Nie wiem - wytchnęła kobieta. - Po prostu zerwała się i pobiegła.

- Na deszcz?

- W tę ulewę. I w ślubnej sukni.

Zaczęli oboje wypatrywać, stanąwszy we drzwiach. Rue ile la Cossonnerie była kompletnie pusta na tle majaczącej sylwetki Hal, zatartej przez deszcz.

Rozdział XVIII

Paul stał pod osłoną mostu kolejowego, patrząc do góry, obok roślinnych płatków z szarosinego żelaza, podtrzymujących metro, na ulewę zdmuchiwaną z pręseł nad rzekę. Otulił się w płaszcz, nie dlatego, żeby mu było zimno czy mokro - bo zdążył pod most, zanim zaczęło lać - tylko dlatego, że przyjemnie mu było czuć się tak ściśle odgradzonym. Tego ranka nie uczesał się i bardziej niż zwykle było widać miejsca, gdzie włosy przerzedzały mu się i poszerzała się już łysina. Wyglądał na starszego niż dotąd i nie' tak odpornego. Dzisiaj Rosa miała być sprowadzona do tego pokoju, który matka tak starannie dla niej przygotowała, więc Paul wybrał się do innego pokoju, aby spotkać się z innym ciałem, nadzwyczaj żywym, mimo że bezimiennym i nic więcej dla niego nie znaczącym. Pomyślał sobie, że ta sytuacja nie jest pozbawiona humoru, ale go to nie rozśmieszyło. W tym samym czasie taksówka zatrzymała się na Rue Jules Verne i wysiadła z niej Jeanne. Kompletnie przemoczona, wyglądała prawie jak naga. Cienka satyna stała się przejrzysta i przybrała kolor jej ciała, prowokacyjnie lgnąc do jej piersi i pośladków, ukazując nawet ciemną plamę w pachwinie. Deszcz przy-

lepił jej loki do twarzy. Taksówkarz gapił się na nią z milczącym uznaniem, kiedy pędziła przez chodnik, aby wpaść do budynku.

Deszcz zelżał i Paul wybiegł spod swej osłony, zmierzając na Rue Jules Verne.

Aż dziwne, że trafili w ten sam punkt czasu i tak różnych okoliczności, Paul z miejsca gwałtownej śmierci i żałoby, a Jeanne z manifestacji życia i miłości.

Jeanne nie miała przy sobie klucza, więc podbiegła do okienka konsjerżki.; Baba siedziała odwrócona plecami.

- Przepraszam - odezwała się Jeanne, podnosząc głos, aby tamta dosłyszała ją przez huk bijącego deszczu, ale baba się nie odwróciła.

Grzmot zatrzęsł budynkiem. Jeanne odstąpiła od okienka i usiadła na drewnianej ławce tuż obok windy. Skuliła się i objęła rękoma, cała drżąca. Tam zobaczył ją Paul i doznał świeżego uniesienia, wiedząc, że do niego przybiegła w takim pośpiechu i zapamiętaniu. Ocknęła się słysząc jego kroki, ale gdy spojrzała wyczekująco, Paul minął ją bez słowa i wszedł do windy. Popatrzyli na siebie przez zawile spirale ornamentu.

- Wybacz mi - odezwała się Jeanne. - Czy chcesz mnie jeszcze?

Paul nie wiedział, co miałby jej wybaczyć, i nie obchodziło go to zupełnie. Po prostu kiwnął głową i otworzył przed nią drzwi windy.

- fai voulu te quitter, fai pas pu - wyrzuciła z siebie, a potem przypomniało się jej, że on woli mówić po angielsku. - Chciałam cię porzucić, ale nie mogłam. Nie mogę!

Paul nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w jej ciało: ciemne kręgi jej sutków pod mokrą tkaniną, zarys jej wąskich bioder, obfitość ud. Nawet i delikatny puch na jej nogach uwidocznił się pod warstwą satyny, jak gdyby to była jej druga skóra. Winda ruszyła w górę.

- Chciałam odejść - powtórzyła. - Rozumiesz?

Paul nadal się nie odezwał; oczy jego przesuwwały się w górę i na dół po jej ciele. Jeanne zaczęła podciągać rąbek sukni, opierając się plecami o klatkę, wypatrując w jego twarzy objawów, że mu to sprawia przyjemność. Ukazały się jej łydki, kolana i uda, wreszcie runo w pachwinie. Oczekała chwilę, a potem uniosła suknię jeszcze wyżej, obnażając swój dziecinny pępek. Winda jechała do góry.

- Czego jeszcze ode mnie chcesz? - zapytała, wdzięczna i obnażona.

On jakby nie słyszał. Jej słowa nic nie znaczyły w porównaniu z jej obecnością. Wyciągnął rękę i wsunął palce pomiędzy jej nogi, tam gdzie była wilgotna i ciepła. Zawahała się, a potem sięgnęła i rozpięła mu spodnie, i tak grzebała w płątaninie jego ubioru, aż wreszcie chwyciła go i trzymała, mocno i niedwuznacznie. Ich ręce skrzyżowały się. Winda z westchnieniem dotarła do celu.

- Wchodź - zawołał Paul, otwierając na oścież drzwi apartamentu. Zaśpiewał: - Był sobie jeden chłop, ten chłop miał starą świnię...

Przez otwarte okno deszcz wlewał się do okrągłego pokoju, więc zatrzasnął je i obrócił się do niej w teatralnym pokłonie. Jeanne stała na środku pokoju, dygocząc i śmiejąc się.

- Wiesz, że zmokłaś - powiedział i wziął ją w ramiona.

Przemoczona suknia była śliska jak lód, a jej włosy odcisnęły wilgotny ślad na jego piersi. Poszedł do łazienki po ręcznik.

Jeanne poczuła chęć, by zrobić z tego uroczystość. Jest teraz oblubienicą i to jest ich miesiąc miodowy; okręciła się na środku pokoju, tak jak pierwszego dnia; a potem rzuciła się na materac. Objęła poduszkę, jak podekscytowana uczennica, i wyczekująco zwróciła się ku drzwiom czekając, kiedy Paul znowu się w nich pojawi. I wtedy jej dłoń dotknęła za poduszką czegoś wilgotnego. Jeanne usiadła i szarpnięciem odrzuciła poduszkę. Martwy szczur leżał na prześcieradle, z krwią zakrzepłą u pyska, z mokrą i zmiętą sierścią. Zaczęła przeraźliwie krzyżeć. Paul zjawił się z ręcznikiem, który rzucił jej na kolana.

- Szczur - stwierdził rzeczowo, lecz ona kwiliła, wczepiona w niego.

- To tylko szczur-powtórzył, rozbawiony jej irracjonalną trwogą. - W Paryżu jest więcej szczurów niż ludzi.

Paul sięgnął i podniósł szczura za ogon, tak że głowa jego dyndała mu przed twarzą. Jeanne zachłysnęła się i odskoczyła. Przeżona i zbrzydzone jego widokiem i dotknięciem, patrzyła z obrzydzeniem, jak Paul unosi to ścierwo i rozdziawia usta.

- Niam, niam, niam - powiedział, mlaskając wargami.

- Chcę stąd wyjść - wyjąkała.

- Zaraz, poczekaj. A nie chciałabyś najpierw kęsa? Czyżbyś nie była głodna?

Jego okrucieństwo było równie męczące jak niespodziewane.

- To koniec - powiedziała.

- Nie, to jest koniec - zażartował, pokazując na ogon. - Ale ja lubię je napoczynać od głowy, bo jest najsmaczniejsza. Na pewno byś nie zjadła? No... skoro tak...

Zniżył głowę szczura na odległość jednego cala od swych ust. Jeanne odwróciła się ze zgrozą.

- O co chodzi? - zapytał, drocząc się z nią. - Nie lubisz szczurów?

- Chcę stąd wyjść. Nie mogę się już kochać w tym łóżku, nigdy więcej. To wstrętne, można się porzygać. - Wzdrygnęła się.

- Dobrze - powiedział. - Będziemy się pieprzyć na kaloryferze, albo stojąc na gzymsie kominka. Skierował się do kuchni. - A wiesz - powiedział, dyndając szczurem. - Muszę się postarać o majonez, bo w majonezie to będzie najlepsze. Jego dupkę zostawię dla ciebie.

Wszedł do kuchni, zaśmiewając się głośno.

- Szczurza dupka w majonezie!

- Wychodzę stąd, muszę stąd wyjść - krzyknęła, niezdolna się przemóc na tyle, żeby chociaż spojrzeć na łóżko.

Jak ten nastrój się błyskawicznie zmienił: nie sposób przewidzieć, co on teraz może uczynić. Pożądanie, jakie czuła do niego, i pączkująca w niej namiętność ulotniły się przy dotknięciu tej martwej, wymiętoszonej sierści. Po raz pierwszy ujrzała ten pokój w całym jego plugastwie. Woń seksu kojarzyła się jej teraz ze śmiercią. Przeraziła ją własna śmiałość, że tu się znalazła.

- Dłużej już tego nie wytrzymam - mamrotała do siebie. - Idę stąd, nigdy tu nie wrócę. Już nigdy. Ruszyła do wyjścia akurat w momencie, gdy Paul wrócił. Pozbył się szczura.

- Quo vadis, baby! - spytał ją figlarnie.

Wyprzedził ją w drodze do przedpokoju i zarygłował drzwi wyjściowe.

Jeanne popatrzyła na niego z mieszaniną wstrętu i wdzięczności. Tak naprawdę nie chciała wychodzić.

- Ktoś zrobił to umyślnie. Czuję to - odezwała się, podejrzliwie patrząc na Paula. - To dla mnie przestroga... i koniec z nami.

- Zwariowałaś.

- Powinnaś była ci od razu powiedzieć. - Chciało jej się rzucić wyzwanie tej aroganc-
kiej, męskiej pewności siebie. - Zakochałam się w kimś.

- Och, to cudowne - rzekł ironicznie Paul. Podszedł do niej i przesunął rękoma po gładkim materiale sukni, sprawdzając ją w dotyku jak dojrzały owoc awokado. - Wiesz co, radzę ci zdjąć te mokre szmatki.

- Będę się z nim kochała - rzekła z uporem.

Paul to zignorował.

- Najpierw musisz wziąć gorącą kąpiel, bo dostaniesz zapalenia płuc. Zgoda?

Łagodnie zaprowadził Jeanne do łazienki i nachylił się, aby na całego odkręcić oby-
dwa krany. Po czym ujął rąbek jej sukni i zaczął go z wolna podnosić odsłaniając ją, tak jak
ona sama odsłaniała się w windzie.

- Najpierw zapalenie płuc - powiedział. - A potem wiesz, co będzie? A potem umrzesz.

Jeanne uniosła ramiona i Paul ściągnął jej suknię przez głowę, rzucił ją poza siebie.

- A potem wiesz, co będzie?

Stała przed nim naga i potrząsała głową.

- Będę musiał jebać zdechłego szczura! - oświadczył.

- Och! - jęknęła, ukrywając twarz w dłoniach.

Wiedziała, że już nigdy nie da jej o tym zapomnieć. Paul znów zaczął podśpiewywać. Podwinął rękawy, potem wziął Jeanne za ramię i łagodnie pomógł jej wejść do wanny. Woda była rozkosznie gorąca. Usiadła w niej powolutku, czując, jak ziąb i lęk z niej uchodzą. Paul przysiadł na brzegu wanny.

- Podaj mi mydło - powiedział.

Chwycił ją za kostkę i podniósł jej stopę, aż znalazła się na wysokości jego twarzy. Zaczął z wolna namydlać palce jej stopy, podbicie, a potem łydkę. Zaskoczyła ją delikatność jego dotknięcia. Poczula, że jej nogi są jakby z gumy, kiedy para unosiła się między nimi, grzejąc i rumieniąc jej skórę.

- Zakochałam się - powtórzyła.

Paul nie chciał tego słuchać. Przejechał namydloną dłonią w dół po wewnętrznej stronie jej uda, aż dalej nie było dokąd. I tam zaczął rozmydlać pianę.

- Zakochałeś się - powiedział niby to z entuzjazmem. - A to wspaniale!

- Zakochałam się - powtórzyła z uporem i zaczęła przy tym pojękiwać, jego dłoń była nieustępliwa, aż odrzuciła głowę na emaliowaną krawędź i zamknęła oczy.

- Ja się zakochałam, rozumiesz? - Zachłysnęła się, ale mówiła dalej. - Ty jesteś stary, wiesz? I zacząłeś tyć.

Paul upuścił jej nogę, aż plusnęła ciężko do wody.

- Tyć? A to nieładnie.

Namydlał jej szyję i ramiona, przesuwał dłonią w dół aż do piersi. Jeanne postanowiła go zmusić, żeby ją traktował poważnie. Czula też rodzaj przewagi, która była dla niej czymś nowym. Przyjrzała mu się z bliska i stwierdziła, że to, co mu powiedziała, jest prawdą.

- Straciłeś połowę włosów - stwierdziła - a te, co ci jeszcze zostały, są prawie siwe.

Paul uśmiechnął się do niej z góry, chociaż słowa jej wprawiały go w złość. Namydlił jej piersi, a potem zważył jedną z nich w rękę i krytycznie przyjrzał się jej obfitości.

- A wiesz - powiedział, za dziesięć lat będziesz swoimi cycami grać w piłkę nożną. Co ty na to? Jeanne uniosła tylko drugą nogę i Paul tę również jej sumiennie umył.

- A wiesz, co ja wtedy będę robił? - zapytał, znów sunąc dłonią w dół po miękkiej, śliskiej skórze na wewnętrznej stronie uda.

- Będziesz siedział na wózku inwalidzkim - odparła Jeanne, zachłyszawszy się, kiedy palcami dotknął jej lechtaczki.

- Możliwe. Ale przypuszczam, że będę szczerzył się i rechotał stąd aż do wieczności.

Puścił jej nogę ale Jeanne trzymała ją wciąż uniesioną w powietrzu.

- Jakie to poetyczne. Ale zanim wstaniesz, bądź tak dobry umyć mi stopę.

- Noblesse oblige. - Ucałował jej stopę i namydlił.

- Wiesz - odezwała się Jeanne - on i ja śpimy ze sobą.

- Naprawdę? - Paul roześmiał się na głos, rozbawiony faktem, że ta rewelacja go złości. - To cudownie. A dobry z niego jebaka?

- Wspaniały!

Jej przekora nie zabrzmiała przekonująco. Natomiast Paul czuł, jak wzbiera w nim satysfakcja. Pewnie, że musi mieć innego kochanka, a jednak wciąż wraca do niego: z powodu, który wydawał mu się oczywisty.

- Wiesz - powiedział - ty jesteś kopnięta. Nigdzie nie będziesz wyjebana tak dobrze jak właśnie tutaj. A teraz, wstań.

Usłuchała go, pozwalając mu się obrócić. Jego dłonie, unosząc się na pianie, ślizgały się po jej plecach i pośladkach. Paul był jak ojciec myjący swoją córeczkę, spodnie miał ochlapane wodą, przejęty i trochę niezgrabny.

Jeanne powiedziała:

- On jest taki tajemniczy.

Ten aspekt nieco zirytował Paula. Jak długo pozwoli jej to ciągnąć i w jaki sposób ją sprowadzi na ziemię?

- Posłuchaj, ty głupia kwoko - powiedział. - Jedyne tajemnice, z jakimi spotkasz się kiedykolwiek w życiu, to te, z którymi masz do czynienia w tym mieszkaniu.

- Jest taki jak wszyscy. - Głos jej przybrał ton marzycielski. - Ale zarazem inny.

- Taki jak wszyscy, ale inny? - Paul włączył się do gry.

- Wiesz, nawet się go boję.

- Cóż to za jeden? Jakiś miejscowy alfons?

Jeanne mimo woli się roześmiała.

- Mógłby nim być. Wygląda na takiego.

Wyszła z wanny i owinęła się w gruby ręcznik kąpielowy. Paul zagapił się na swe namydłone dłonie.

- A chcesz wiedzieć, dlaczego się w nim zakochałam?

- Nie mogę się doczekać - rzekł sarkastycznie.

- Ponieważ on umie - przerwała, niepewna, czy chce brać nu siebie tę odpowiedzialność. - Ponieważ umiał to sprawić, żebym się w nim zakochała.

Paul poczuł, jak jego irytacja rozkwita w gniew.

-1 chcesz, aby ten twój ukochany dbał o ciebie i ochraniał cię?

- Tak.

- Chcesz, aby ten połyskujący złotem, potężny wojownik zbudował dla ciebie fortecę, w której będziesz mogła się schować - dźwignął się, podnosząc głos razem z ciężarem swego ciała - żebyś nigdy już nie musiała się bać, żebyś nie musiała się czuć samotna. Chcesz nigdy już nie poczuć w sobie tej pustki: tego chcesz, prawda?

- Tak - odparła.

- W takim razie nigdy go nie znajdziesz.

- Kiedy już go znalazłam!

Paul miał ochotę ją uderzyć, zmusić, aby dostrzegła głupotę własnych zapewnień. Raptem ogarnęła go zazdrość. Pogwałciła ich umowę; sprawiła, że zewnętrzny świat po raz pierwszy wydał się rzeczywisty. Więc i on musiał znaleźć jakiś nowy sposób, aby ją zgwałcić.

- No cóż - powiedział - niedługo on zażąda, żebyś ty dla niego zbudowała fortecę ze swoich cycków, swojej pizdy, swojego uśmiechu...

Miłość to usprawiedliwienie, aby móc nawzajem karmić się sobą, aby sycić i żywić własne ja, pomyślał Paul. Jedyne rodzaje prawdziwej miłości to używać drugiej osoby, w żaden sposób się nie tłumacząc.

- Z twojego uśmiechu - podjął - on sobie zbuduje takie miejsce, w którym będzie się czuł dość wygodnie, dość bezpiecznie, aby składać ofiary na ołtarzu własnego chuja.

Jeanne stała, wpatrując się w niego jak urzeczona, ciasno spowita w ręcznik. Jego słowa budziły w niej przestrasz i zarazem przyłyły świeżego pożądania.

- Znalazłam tego mężczyznę - powtórzyła.

- Nie! - krzyknął, odrzucając taką możliwość. - Jesteś sama! Jesteś zupełnie sama. I nie zdołasz się wyzwolić od tego poczucia, że jesteś sama, aż do czasu, kiedy spojrzysz w twarz swojej śmierci. Paul spostrzegł leżące na umywalce nożyczki. Jego dłoń bezwiednie sięgnęła do nich. Jakież to łatwe: ją, siebie, a potem już tylko krew. Już tu byłem, powiedział sobie. Pomyślał o ciele Rosy, które dwaj trupożerzy z prosektorium taszcza na górę po schodach. Ogarnęła go fala mdłości.

- Wiem, że to brzmi jak byle kit - powiedział - jesteś romantyczne łąno i tyle. Ale dopiero jak wleziesz w dupę śmierci - głęboko w dupę - i poczujesz się w samym łonie strachu, to może wtedy - może - uda ci się go znaleźć.

- Ale ja go znalazłam - stwierdziła Jeanne jakimś niepewnym głosem. - To ty. Ty nim jesteś.

Paul zadygotał i oparł się o ścianę. Podpuściła go, za dużo ryzykując. Przez cały czas jego miała na myśli. Musi jej odpłacić się za to. Pokaże jej, co znaczy rozpacz.

- Daj mi te nożyczki - powiedział.

- Co? - Jeanne się złękła.

- Daj mi te nożyczki do paznokci.

Wzięła je z umywalki i podała mu. Paul chwycił ją za przegub i podsunął jej własną dłoń przed oczy.

- Obetnij sobie paznokcie na prawej ręce - powiedział, lecz ona patrzyła na niego nie rozumiejąc.

- Te dwa - pokazał. - Jeanne wzięła nożyczki i starannie obcięła paznokcie na środkowym palcu i na wskazującym. Zamiast oddać nożyczki Paulowi, odłożyła je na brzeg umywalki. On zaczął sobie rozpinąć spodnie, nie odrywając spojrzenia od jej oczu. Jego spodnie i majtki opadły mu do kostek, - odsłaniając genitalia i muskularne, włochate uda. Nagle odwrócił się do niej plecami i obie dłonie wsparł o ścianę nad toaletą.

- A teraz - powiedział - wsadź mi te palce w dupę.

- Co. - Jeanne nie wierzyła własnym uszom.

- Wsadź mi palce w dupę! Czy jesteś głucha?

Spróbowała niepewnie. Zdumiewało ją to, jak on potrafi ją zaszokować, zmusić do przekroczenia granic wszystkiego, co umiała sobie wyobrazić. Już wiedziała, że ten romans może skończyć się czymś okropnym, byle jakim aktem przemocy, ale przestała się bać. Coś w tych głębiach rozpaczy, jakie przed nią ujawnił, wzruszało ją i podniecało, niosąc ją tam, gdzie on. Nie była temu przeciwna, choćby miało to oznaczać popchnięcie go jeszcze dalej na drodze do samounicestwienia.

Wstrzymała się w obawie, że jego to boli.

- Dalej! - rozkazał i wepchnęła mu palce głębiej. Poczul dotkliwy ból. Przeszła więc pierwszą próbę. Popychał ją coraz dalej.

- Sprowadzę wieprza - odezwał się, sapiąc - i ten wieprz będzie cię pierdolił. I narzyga ci w twarz. I ty będziesz łykać te rzygowiny. Zrobisz to dla mnie?

- Tak - powiedziała Jeanne, wyczuwając rytm jego dyszenia.

Zamknęła oczy i sięgnęła głębiej. Zaczęła płakać.

- Co mówisz?

- Tak! - odparła, już posuwając się z nim krok w krok, i głową wspartą na jego szerokich plecach. Nie było wyjścia. Pokój zamknął ich w sobie jak w celi, obrócił ich do wewnątrz, ku własnej ich namiętności i poniżeniu. Z wdzięcznością dzieliła z nim ostateczność i samotność jego bytu: zgodziłaby się na wszystko, uczyniłaby wszystko.

- I ten wieprzak zdechnie, kiedy będziesz się z nim pierdolić. A ty wtedy zajdziesz od tyłu i będziesz wachała jego śmiertelne bździny. Zrobisz to wszystko dla mnie?

- Tak! - wykrzyknęła, obejmując go wolną ręką za szyję, z twarzą wciśniętą między jego łopatki. - Tak... i jeszcze więcej! I gorzej, jeszcze gorzej, i dużo gorzej...

Paul spuścił się. Jeanne otworzyła się przed nim całkowicie i dowiodła swojej miłości. Dalej już nie można się posunąć.

Rozdział XIX

Było już późno i ciszę, jaka zapanowała w hotelu, zakłócał tylko odgłos powolnych, miarowych kroków. Paul skręcił ze schodów i wszedł do ciasnego przedpokoju. Czuł się jak strażnik labiryntu, obchodząc te narożniki, pogrążając się w cieniach i wynurzając się z nich, bezwolnie i bez celu. Przystanął w mrocznym zakątku i nasłuchiwał: nic nie słyszał prócz własnego oddechu. Uniósł róg tapety, pod którym znajdował się otwór do podglądania, co dzieje się w tym pokoju, i przyłożywszy do niego oko zobaczył uśpioną prostytutkę, samotną w mnóstwie kołder, z jedną białą nogą wytkniętą na zewnątrz, z powiekami zlepionymi tuszem od rzęs.

Szedł dalej. Otworzył bieliźniarkę na końcu korytarza, dającą podgląd z jednej strony na parę Algierczyków, a z drugiej na amerykańskiego dezertera. Pogrążone we śnie ciała jakby rozpadały się na osobne nieświadomości, z powiekami rzeźbionymi w miękkim kamieniu. Obszedł po kolei judasze, ukryte w niewinnych ornamentach na tapecie w szczelinach i zakątkach. Ten hotel wydał mu się jak pajęczyna, w której nie ma nic skrytego, nic nietykalnego. Sprawdził wszystkich pogrążonych we śnie gości, ale widział nie ludzi, tylko usta obwisłe w nie kontrolowanych grymasach, zapiekłe wargi ciał, wyglądające jak zaprzeczenie swej cielesności. Słyszał tylko charczące oddechy i czasami jakiś okrzyk przez sen.

Paul czuł się, jakby identyfikował trupy leżące na kamiennych płytach w kostnicy. Wyjął klucz i otworzył sobie drzwi do pokoju Rosy. Natychmiast uderzyła go i zdławiła woń kwiatów. Lampa na szafce nocnej świeciła się. Jej zwłoki spoczywały na katafalku z mdłych,

słodkawo pachnących kwiatów. Ubrana była w coś podobnego do ślubnej sukni, aż po delikatne białe koronki i welon. Jasne włosy zostały starannie uczesane, a policzki i wargi obficie uróżowane. Sztuczne rzęsy nadawały jej w śmierci wygląd osoby skromnie i dokładnie uśpio-nej. Szczupłe palce złożone miała na brzuchu, a skóra jej dłoni i twarzy świetliście połyskiwa-ła. Tylko wyraz miała taki, jak trzeba: szydery, ledwie dostrzegalny uśmieszek.

Paul usiadł ociężale na krześle przy łóżku i wyłowił ostatniego z paczki Gauloisów. Zgniółł papierowe opakowanie i odrzucił je, a papierosa zapalił bez przyjemności.

- Właśnie zrobiłem obchód - powiedział, nie patrząc na Rosę.

Drzwi zamknął na klucz i mówienie do umarłej żony sprawiało mu swoistą przyjem-ność. Trochę jakby porządkował swe myśli. - Dawno już tego nie robiłem. Wszystko w po-rządku, spokój. Ściany tutaj są dziurawe jak ser szwajcarski. Rozejrzał się po ścianach i sufi-cie tego niedużego, smutnego pokoju, starając się opanować swój gniew i żal. Wreszcie zwrócił się do niej twarzą w twarz.

- Komicznie wyglądasz w tym makijażu - powiedział. - Niby jakaś karykatura kurwy: coś z twojej Mamusi nocą. Lipna Ofelia utopiona w wannie.

Potrząsnął głową. Usiłował zaczmychnąć śmiechem a zabrzmiało to raczej jak siek-nięcie. Leżała tak cicho tak nieodwołalnie. - Szkoda, że nie możesz siebie zobaczyć. Uśmia-łabyś się Tego me można było Rosie odmówić: poczucia humoru Mozę skrzywionego humo-ru, a nieraz okrutnego, ale śmiać się umiała. Ubieranie jej w taki strój wyglądało na brak sza-cunku i fałsz. Nie da się ukryć, że w tak wyglądającej kobiecie na ulicy Paul chyba nie rozpo-znałby swojej żony.

- Jesteś arcydziełem swojej Mamusi - rzekł z goryczą rozwiewając sobie dłonią dym przed twarzą. - Chryste Panie ależ tu jest tych pieprzonych kwiatów. Trudno oddychać.

Nawet i we włosy wpleciono jej drobne kwiatuszki. Zgniółł obcasem papierosa na dywanie. To i owo musiał powiedzieć, bo czuł, że inaczej oszaleje.

- Wiesz, znalazłem na szafie, w tej fibrowej walizce wszystkie twoje drobiazgi. Pióra, łańcuszki do kluczy, zagraniczne pieniądze, francuskie łaskotki, w ogóle wszystko. Nawet kołnierzyk tego księdza. Nie wiedziałem, że lubisz zbierać te błahostki, zostawiane przez go-ści...

Wielu rzeczy nie wiedział i już się nie dowie. Wydawało mu się to takie nieuczciwe, tak beznadziejne.

- Nawet gdyby mąż przeżył dwieście tych pieprzonych lat - powiedział to z żalem i złością - nigdy nie odkryje prawdziwej natury swojej żony. Inaczej mówiąc, mógłbym zro-

rozumieć wszechświat, ale nigdy nie odkryłbym prawdy o tobie... nigdy. Kim ty właściwie byłaś, u diabła?

Przez chwilę naprawdę oczekiwał, że Rosa mu odpowie. Czekał wsłuchując się w rozległą ciszę hotelu. Na świecie był środek nocy, wszędzie. Paul czuł się jak jedyna istota, która nie śpi, w całym wszechświecie.

- Pamiętasz ten dzień - zapytał, siląc się na uśmiech - pierwszy dzień, jaki tu spędziłem? Wiedziałem, że nie dobiórę się do ciebie, jeśli nie powiem...

Przerwał, usiłując sobie przypomnieć ich pierwsze spotkanie przed pięcioma laty. Rosa sprawiała wrażenie tak poprawnej, takiej na dystans, lecz on wiedział. Był z tego dumny, bo myślał, że naprawdę ją zdobył, że rozumieją się.

- Co ja powiedziałem? Ach tak: „Czy mogę prosić o rachunek? Muszę wyjechać”. Pamiętasz? Tym razem szczerze się roześmiał. Owszem, Rosa złapała się na to, pomyślała, że on jej się wymknie, kiedy jemu ani się śniło wyjeżdżać. W hotelu było wtedy czystiej i pamiętał, że dlatego właśnie go wybrał. Jak to dziwnie się potoczyło.

Poczuł nagłą potrzebę zwierzeń.

- Zeszłej nocy uraczyłem twoją matkę zgaszeniem świateł i cały hotel mało nie dostał świra. Wszyscy ci twoi... goście, jak ich nazywałaś. I mnie chyba też, prawda? - Znowu się wściekł. - Ja też się zaliczałem do gości, nie? Przez całe pięć lat byłem w tym pieprzonym domu noclegowym raczej gościem niż mężem. Nie bez przywilejów, rzecz jasna. A potem, żeby cię mógł lepiej zrozumieć, zostawiłaś mi w spadku Marcela. Taki sobowtór męża, którego pokój był sobowtórem naszego.

Poczuł zazdrość, autentyczną zazdrość, me o to, co ona robiła z Marcelem, tylko że on o tym nie wiedział. Jako mąż, choćby tylko z nazwy, miał w końcu jakieś uprawnienia. Powinna go przynajmniej uprzedzić, zanim skończy ze sobą... choćby przez zwykłą grzeczność. Ale oczywiście wiedzieć też się obawiał.

- I wiesz co? - powiedział - nawet nie odważyłem się go zapytać, czy robiłaś z nim te same numery, co ze mną. Całe nasze małżeństwo to dla ciebie była po prostu lisia nora. I żeby się od niego uwolnić, wystarczyła ci brzytwa za trzydzieści pięć centów i wanna z gorącą wodą...

Paul dźwignął się chwiejnie. Zalała go fala wściekłości, żalu i frustracji. Nie miała prawa go w ten sposób porzucić, jej odejście było gorsze niż świński dowcip, w dodatku popełniony na jego koszt. - Ty przeklęta, zakazana, podła, pieprzona dziwko! - Wypluł te słowa, rozrzucając niektóre z kwiatów, kiedy się przysunął bliżej do łóżka. - Obyś się za to smażyła w piekle! Jesteś gorsza od najgorszej zdziry ulicznej, jaką widział świat. A wiesz dlaczego?

Bo kłamałaś. Bo mnie okłamałaś, a ją ci wierzyłem. Kłamałaś! Wiedziałem o twoich łgarstwach.

Dłonie wbił głęboko w kieszenie marynarki i palce jego trafiły na coś nieznanego. Wydobyl z wolna małą fotografię. Podniósł ją do światła. Było to zdjęcie Jeanne, wystawiającej do kamery swe duże piersi. Paul zagapił się na zdjęcie, jakby jej nie poznawał. Musiała je wsunąć mu do kieszeni, Wszystkie one są takie same, pomyślał, drąc tę fotografię na kawałeczki i rozsiewając je pośród kwiatów. On musi żyć: i to była kolejna rzecz, której Rosa nie rozumiała lub nie dbała o nią.

- No proszę, powiedz mi, że nie kłamałaś. - Przysunął twarz bliźutko do jej twarzy, poczuł lekki zapaszek szpitalny pośród tych kwiatów. - Nic mi nie masz w tej sprawie do powiedzenia? Coś chyba potrafisz wymyślić? No proszę, powiedz. Proszę bardzo, uśmiechnij się, ty pizdo jedna.

Patrzył wyczekująco na jej usta. Jak ulepione z łożu.

- No proszę - zachęcał ją - powiedz mi coś miłego. Uśmiechnij się do mnie i powiedz, że to pomyłka. Łzy napłynęły Paulowi do oczu i zaczęły mu ściekać po twarzy, Przetarł je sobie grzbietem dłoni, potem nachylił się niżej nad zmarłą. Tak łatwo nie rezygnował.

- No jazda, powiedz mi, ty świńskie jebadło! Ty cholerna, pierdolona, świńska kłamczucho!

Rozszlochał się i ciałem jego wstrząsnęły łkania. Zapał się w krzesle i wyciągnął dłoń, ażeby dotknąć jej twarzy. Była zimna i niepodatna. Zaczął jej wyskubywać kwiatki z włosów i rzucać je na podłogę u swoich stóp.

- Przepraszam - rzekł, pociągając nosem - ale nie mogę na to patrzeć, jak te obrzydliwe chabazie włożą ci w twarz. Nigdy nie używałaś makijażu... tego zasranego mazidla...

Najdelikatniej jak można ściągnął jej sztuczne rzęsy i wyrzucił je. Ale efekt wciąż był fałszywy i nie w jej typie. Paul podszedł do umywalki, zmoczył pod kranem chusteczkę do nosa i zaczął ścierać Rosie z twarzy puder i róż.

- Usunę ci szminkę z ust. Przepraszam cię, ale muszę.

Odstąpił i znów na nią popatrzył. Poczul dla niej serdeczność i przymus wyjaśnienia swojej rozpaczy.

- Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś - zaczął. - Ja też bym to zrobił, gdybym znał sposób. Ale nie wiem jak.

Umilkł i zastanowił się, czy nie popełnić samobójstwa. Może to nie w jego typie? ale i nie w jej typie. Przemówił sam do siebie:

- Muszę znaleźć jakiś sposób.

Ukląkł przy łóżku i oparł na jej ciele głowę i jedno ramię. Miał znów przemówić, pogрузić się w zalewie własnego sentymentu. Nigdy w życiu nie kochał Rosy tak bardzo jak po śmierci; nigdy nie potrafił docenić rzeczy i ludzi, dopóki ich nie stracił. Uświadomił to sobie, co wcale nie zmniejszyło jego udręki. Znalazł się wreszcie opuszczony i nie mając już nawet właściwego sobie gorzkiego poczucia absurdalności.

Ktoś walił do drzwi od frontu. Uderzenia rozlegały się po hotelu jak echo nadsięgającej zagłady i aż się na chwilę przestraszył. Potem dzwonek rozbrzęczał się kruchym i natarczywym dźwiękiem. Pół zawołał, pół wymamrotał:

- Co tam? Dobrze, już idę - i dźwignął się chwiejnie na nogi.

Odwrócił się, żeby jeszcze spojrzeć na Rosę i poczuł tylko serdeczność, bo wydało mu się, że jakoś wstępnie dogadał się ze swoim o niej wspomnieniem.

- Muszę iść, kochanie - powiedział. - Dziecinko, ktoś na mnie dzwoni.

Uśmiechnął się z góry po raz ostatni do jej zastygłych rysów i wyszedł na korytarz, zamknąwszy za sobą drzwi.

Stłumiony głos kobiety dolatywał z ulicy:

- Halo, jest tam kto?

Paul poczuł się jakby nagle obudzony z głębokiego snu.

- Już idę - zawołał grubo i ruszył na dół po schodach.

Na tle matowej szyby rysowały się dwa złączone cienie. Paul nie zapalił światła w holu, tylko podszedł do drzwi. Na progu hotelu stali, kuląc się we dwoje, mężczyzna i kobieta. Nie mógł rozróżnić ich twarzy.

- Pośpiesz się! - zawołała kobieta, dojrawszy Paula w odblasku latarni z ulicy, ale on się nie ruszył, by otworzyć.

- Obudź się! - powiedziała, waląc we drzwi, a potem przycisnęła do szyby twarz. - Otwórz te drzwi!

- Już późno - rzekł Paul. - Czwarta rano.

Nie poznawał ani jej głosu, ani oka, które wpatrywało się w niego, ciężko umalowane.

- Chcę ten pokój co zawsze - powiedziała. - Czwórkę. Pół godziny mi wystarczy. Najwyżej godzina.

Paul potrząsnął głową. Dlaczego, pomyślał, ta kobieta mu nie da spokoju? Wyglądało na to, że dobrze zna hotel.

- No słowo daję - upierała się. - Jak brakuje miejsc, to się wywiesza tabliczkę. Ja wiem. Mam już dość tego włóczenia się. Zawołaj właścicielkę. Ale już! Właścicielka nigdy mi nie odmówiła.

Paul otworzył drzwi z klucza i uchylił je. Zobaczył grubą prostytutkę w średnim wieku, z błękitnymi skrzydłami makijażu nad oczyma. Za nią stał jakiś facet w płaszczu, trwożnie zerkając w jedną i w drugą stronę ulicy, najwyraźniej bojąc się, żeby ktoś go nie zobaczył.

- Rosa to moja stara przyjaciółka - mówiła kobieta. - Otwieraj. Wpuść mnie, bo się jej poskarżę.

Gdy to mówiła, mężczyzna się ostrożnie wycofał, a potem odwrócił i odszedł, ona zaś tego nie zauważyła. Paul otworzył jej drzwi, a kobieta wpełzła się czym prędzej do środka.

- W porządku - powiedziała odwracając się. - Entrez.

Zobaczyła, że klient uciekł, i ze złością zwróciła się do Paula.

- Wystawił mnie! Jesteś zadowolony?

- Przepraszam - powiedział Paul.

Czuł się jakby uczestnik snu, jakby nierzeczywisty, on i tamci również. Może uraził jedną z przyjaciółek Rosy? Znow obudziło to w nim sentymentalne poczucie winy. Kobieta czegoś od niego chciała, ale czego? Nie rozumiał dokładnie, nawet kiedy go popchnęła ku drzwiom.

- Leć i złap go - zażądała, przybliżając twarz do jego twarzy. Paul nie widział jej zbyt wyraźnie, ale czuł stęchły, słodkawy zapaszek jak gdyby zwiędłych kwiatów. - Na pewno daleko nie odszedł. Sprowadź go tutaj. Powiedz mu, że wszystko w porządku.

Paul wypadł na ulicę. Właśnie zaczęło świtać, czuł się wymęczony i zagubiony. Może powinien spełnić jej prośbę. Ten facet pewnie zgodził się, że z nią pójdzie. Więc słusznie będzie, jeżeli do niej wróci, a Paul go do tego nakłoni.

Pobiegł truchcikiem wzdłuż ulicy, a poranne, chłodne powietrze wypełniało mu płuca. Dopiero co przeżywał żalobę po swej żonie, a teraz biegnie na posyłki dla jakiejś kurwy, bawiąc się w alfonsa ku pamięci nieboszczki. Poczucie winy zaczęło się ulatniać i znow obudziła się w nim dawna wściekłość. Może to jeszcze jeden z tych żartów Rosy, jakby czyhających na niego, gdziekolwiek się obrócił. Mignęło mu przelotne pytanie: dlaczego prostytutki tak lgnęły do jego żony? Faceta w ciemnym płaszczu nigdzie nie było widać. Paul przystanął, aby odetchnąć. Stał przysłuchując się, jak ciężarówki rozwożą produkty po wąskich uliczkach, wachając wilgotny smród śmietników zalegający w sąsiedniej alejce. Czuł, że przeżywa najgłębsze poniżenie i nie może o to nikogo winić, nawet samego siebie. Nawet i w tym były jakiś cień satysfakcji, coś mogącego złagodzić jego wściekłość.

Zacisnął pięści i zawrócił w stronę hotelu, zapomniawszy już o prostytutce. I wtedy w alejce spostrzegł tego faceta w płaszczu, próbującego się ukryć w ciemnej bramie. Paula prze-

jął wstręt na widok tego tchórzostwa. Dlaczego najpierw zgadza się iść z tą babą, a potem się rozmyśla, sprawiając Paulowi kłopot?

- Jednak znalazł mnie pan - rzekł mężczyzna, siląc się na uśmiech. Był szczupły i delikatny z wyglądu, z melodyjnym głosem jak u aktora. - Proszę jej nie mówić, że mnie pan znalazł. Czy widział pan, jaka ona jest brzydka?

Cofał się przed Paulem z błagalnie wyciągniętymi rękoma.

- Dawniej wystarczała mi moja żona - powiedział - ale dostała jakiejś choroby i teraz ma skórę jak u węża. Niech pan się postawi w moim położeniu.

Paul wziął go za ramię.

- Idziemy - rzekł.

Nie wiadomo dlaczego ta opowieść jeszcze bardziej go rozżłościła.

- Byłem zawiany - tłumaczył się facet. - Wziąłem pierwszą, jaka się nawinęła, a potem przeszliśmy z nią kawałek i kiedy otrzeźwiałem...

Próbował się wyrwać i Paul w nagłym, bezsensownym wybuchu wściekłości rzucił nim brutalnie o metalowe drzwi sklepu rzeźnika. Tamten upadł na zapaskudzony bruk i zaczął się tyłem odczołgiwać, próbując przed nim uciekać.

- Zostaw mnie! - krzyknął. - Wariat! Zostaw mnie! - Usiłował wstać i Paul kopnął go z rozmachu, aż tamten pojechał po oślizgłym bruku.

- To spierdalaj - rzekł Paul. - Ty pedale!

Facet puścił się biegiem, z lekka kulejąc i oglądając się w popłochu przez ramię.

Paul wrócił z wolna do hotelu, wykończony. Jakże prędko się osunął z adoracji zmarłej małżonki w plugawe mechanizmy życiowe dnia codziennego.

Kobieta czekała w holu, siedząc na ławce i paląc papierosa. W cieniu jarzył się czerwony ognek.

- Wiedziałaś - rzekła. - Nie udało ci się go sprowadzić, gdzie ja znajdę o tej godzinie drugiego?

- Ile przeze mnie straciłaś? - Sięgnął do kieszeni.

Roześmiała się.

- Daj, co możesz. Ja nie robię tego dla forsy. Lubię, rozumiesz? Robię to, bo lubię facetów.

Położyła dłoń na jego dłoni.

- A wiesz - powiedziała ochryple - jesteś fajniutki. Jak chcesz, możemy to zrobić zaraz tutaj. Ja się ubieram praktycznie, mam pierwszorzędny suwak. Na całą długość, nie muszę się nawet rozbierać. No chodź, nie wstydz się.

Nachyliła się do światła i Paul zobaczył coś w rodzaju maski pośmiertnej. Odskokzył, osłupiał i przerażony, i zaczął odsuwać się od niej idąc do tyłu.

- Nie patrz tak na mnie! - Ruszyła w kierunku drzwi. Zanim wyszła, odezwała się: - Nie jestem już młoda. I co z tego? Twoja żona też będzie kiedyś tak wyglądała, jak ja.

Rozdział XX

Jeanne zastanawiała się, czy Paul na nią czeka i jaka spotkają kolejna niespodzianka po raz ostatni, jak sądziła, jadąc windą do góry. Uznała, że niczego już na tym nie może zyskać i że przekroczą razem ostatnią z granic. Mimo to przygoda dla niej trwała nadal, chociaż uświadamiała sobie, że staje się to w jakiś sposób coraz to bardziej niebezpieczne.

Wyszła z klatki i otworzyła sobie drzwi własnym kluczem. Czy Paul znalazł fotografię, którą wsunęła mu w kieszeń marynarki? W ten sposób zmuszała go, by o niej myślał, i przyjemnie jej było pomyśleć, że on patrzy na to zdjęcie przy kawie porannej albo przy innych, tajemniczych zajęciach swego skrytego życia.

Przypomniał jej się martwy szczur i ostrożnie uchyliła drzwi. Powitała ją cisza i odblask słońca jarzący się na zaokrąglonej ścianie. Zatchnęła się na widok pustych pokoi. Usunięto z nich meblowanie. Prędko przechodziła z pokoju do pokoju i potwierdzało się to, w co trudno jej było uwierzyć; ale apartament wyglądał dokładnie tak samo jak w pierwszym dniu. Znikł nawet materac. Ściany wydawały się jeszcze bardziej nagie niż przedtem, a ciemne plamy po obrazach tym smutniejsze. Przetrwał tylko zapach ich spotkań, a już i on stawał się częścią unoszącej się tu ogólnej woni rozkładu. Wybiegła, drzwi zostawiając na oścież, i zjechała windą znów do mrocznego holu. Okienko konsjerżki było otwarte i Jeanne widziała jej szeroki grzbiet, pochylony nad nie wiadomo jakimi rozrywkami. Jeanne podeszła i odchrząknęła głośno, ale baba nie zareagowała. Pomrukiwała jakąś arię z Verdiego. Brzmiało to raczej jak przeciągły jęk.

- Przepraszam - odezwała się Jeanne - czy pani przypomina sobie tego pana spod czwórki? - Jej słowa rozległy się jakby echem po budynku i przypomniała sobie pierwszy dzień, a kiedy tu przyszła, i frustrację, kiedy próbowała się dostać do środka. Czarna baba wciąż nie ujawniała swoich sekretów i w odpowiedzi tylko potrząsnęła głową, nawet nie odwracając się.

- Mieszkał tutaj przez kilka dni - podsunęła Jeanne.

- Mówię pani, że ja tu nikogo nie znam - odparła baba.

- Wynajmują, potem odnajmują. Ten pan spod czwórki, ta kobieta w jedyńce. Czy ja wiem?

Jeanne nie mogła uwierzyć, że Paul się po prostu wyprowadził. Spodziewała się jakiejś niespodzianki, ale oczywiście nie takiej.

- A meble - spytała. - Dokąd je zabrał?

Mieszkanie jest opróżnione. Kobieta zaśmiała się szyderczo, jakby wiele razy już słyszała to samo.

- Na jaki adres odsyła się pocztę? - spytała Jeanne.

- Proszę mi go podać.

- Nie mam jego adresu. Nie znam nikogo.

Jeanne wciąż nie dowierzała.

- Nawet jego nazwiska?

- Nic a nic, marrizelle. - Odwróciła się, teraz już z wyraźną wrogością.

Za daleko posunęła się Jeanne w przypieraniu do ściany strażniczki tego podziemnego świata. Ale Jeanne, bądź co bądź, weszła tutaj na własne ryzyko i teraz pobiegła do drzwi, zapaliwszy się do nowego pomysłu. Jeżeli on się wyprowadził, to znaczy, że mieszkanie znów jest do wynajęcia. Byłaby to swego rodzaju zemsta, pomyślała idąc chodnikiem do kawiarni; na to właśnie zasłużył. Mógł jej powiedzieć, że się wyprowadza, mógł przynajmniej zostawić wiadomość. Wydawało się niemożliwe, że już nigdy go nie zobaczy, lecz uświadomiła sobie - całkiem nagle - że właśnie tak będzie. Entuzjazm jej przygasł, zanim doszła do telefonu. Zadzwoiła do Toma.

- Znalazłam dla nas mieszkanie - powiedziała. - Rue Jules Verne nr 3... Przyjedź tu zaraz. Kojarzysz, gdzie to jest?... Czekam na piątym piętrze.

Wróciła i zaczęła w przedpokoju, aż usłyszała zgiełk, z jakim Tom i jego ekipa ładowali się do windy. Ci, którzy się tam nie zmieścili, biegli na górę po schodach, śmiejąc się i wykrzykując do pasażerów jadących windą. Cały budynek jakby przeobraził się od tego hałasu i nagłej eksplozji życia. Przywitała ich z uśmiechem i ukłonem.

- Czy podoba ci się nasze mieszkanie? - spytała Toma, kiedy wpadł na czele zespołu i całej masy ich ekwipunku. Operator z miejsca zaczął ustawiać Arriflexa w okrągłym pokoju i Jeanne poczuła lekkie ukłucie żalu, ale po chwili już zapomniała o tym. Tom stąpał po pustych pokojach niby cesarz.

- Jesteś zadowolona? - zapytał ją w przejściu. Operator zaczął filmować, nie zwracając uwagi na otoczenie. - Mnóstwo tu światła - dodał Tom, nie czekając na jej odpowiedź.

Jeanne zaprowadziła go do małego pokoiku.

- Za mały na duże łóżko - powiedziała - ale w sam raz dla niemowlęcia. Fidel... to całkiem niezłe imię dla dziecka. Jak Fidel Castro.

- Ale ja chcę mieć też i córkę - powiedział Tom, a Jeanne poczuła dla niego nagły przypływ serdeczności. Taki wyrozumiały, bez względu na to, co ona wyprawia... Znow pomyślała o Paulu i już gdzieś ulotnił się cały ten przymus, dawniej wypełniający te pokoje. Jeanne odczuła spokój ducha, jakiego dotąd nie zaznała w tym apartamencie. Po raz pierwszy zdołała sobie wyobrazić jakąś mieszkającą tutaj rodzinę: ich gry, kłótnie i drobne godzenia się. Ogarnął ją bezgraniczny smutek.

- Rosa - powiedział Tom, nie domyślając się jej sprzecznych emocji. - Tak ją nazwiemy. Rosa. Na cześć Róży Luksemburg. Mało kto już o niej pamięta, ale na swoje czasy była nie najgorsza. O co chodzi?

- Nic.

- Dobrze. W takim razie kilka pytań do filmu. Pogadajmy o czymś, co wszystkich interesuje: o seksie.

Tom wyobrażał sobie, że ją zaszokuje tym zdaniem w obliczu wpatrzonej w nią kamery, ale Jeanne okazała się najwyraźniej znudzona i rozczarowana. Odwrócił się więc do ekipy i rzekł:

- Stop! Nic z tego. Już nie będziemy kręcić.

Zaczęli zbierać swe wyposażenie. Tom wyprowadził ich, nic więcej nie mówiąc. Dziewczyna od skryptu pomachała nieśmiało do Jeanne'i wychodząc za innymi na schody, i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Chciałem cię filmować codziennie - wytłumaczył się pokornie Tom. - Rano, kiedy się budzisz, potem kiedy usypiasz. Kiedy pierwszy raz się uśmiechasz... A nie sfilmowałem niczego.

Jeanne odwróciła się od niego i odeszła w przestronne, puste pokoje. Tom szedł za nią, wpatrując się z powątpiewaniem w górę starych mebli, przykrytych płachtą, w pęknięcia i zacieki na ścianach, w poobtlukiwane sztukaterie.

- Dziś przestaliśmy kręcić - powiedział. - Koniec z tym filmem.

Jeanne poczuła wyrzuty sumienia.

- Nie lubię, jak coś się kończy.

- Trzeba natychmiast rozpocząć coś nowego. - Tom okręcił się w kółko w okrągłym salonie, do którego wrócili, z uznaniem podnosząc dłonie. - Ależ to wielkie.

- Gdzie jesteś? - zawołała Jeanne z małego pokoju, znow kierując się ku arenie.

- Tu jestem - odparł. - To za duże. Można zabłądzić.

- Och, przestań. - Jeanne już nie miała siły do wybuchów jego entuzjazmu. - Nie zaczynaj...

- Jak znalazłaś ten apartament?

- Przypadkiem - odparła z irytacją.

- Wszystko tu pozmieniamy!

Te słowa zrobiły na niej pewne wrażenie. Czy naprawdę można coś zmienić?

- Wszystko - przytaknęła. - Zamienimy przypadek w los.

Tom pobiegł, z rozłożonymi rękoma, do sąsiedniego pokoju.

- No już! - zawołał. - Start! Jesteś w niebie, Jeanne. Teraz lot nurkujący, trzy beczki i lądowanie. Co się ze mną dzieje? Dziura powietrzna?

Oparł się komicznie o ścianę, gdzie zakończył się jego lot.

- A co się dzieje? - roześmiała się mimo woli Jeanne.

- Już dość tych burzliwych stref. Nie możemy się tak zachowywać - dodał z powagą. - Nie możemy bawić się wciąż jak dzieci: jesteśmy dorośli.

- Dorośli? To straszne.

- Owszem, straszne.

- Więc jak mamy się zachowywać?

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Wymyślać gesty, słowa. Na przykład co wiem, to że dorośli są poważni, logiczni, przezorni, owłosieni...

- Och, tak - znowu przypomniał się jej Paul.

- Mają różne problemy.

Tom ukląkł na podłodze i ujął jej dłoń, ściągnął ją do siebie.

- Chyba cię rozumiem - rzekł cicho. - Ty bardziej pragniesz kochanka niż męża. Wiesz, proponowałbym ci coś innego. Wyjdź sobie, za kogo chcesz, a ja będę cię porywał w namiętność. Twój kochanek.

Uśmiechnął się do niej czule. Jeanne położyła się na podłodze i zaczęła go ściągać ku sobie.

- Chodź - rzekła zachęcająco. - To nasz dom.

Ale Tom się opierał. Jej gotowość wzbudziła w nim lekką niechęć, bo nie lubił kochać się w obcych pokojach. Nie był na to przygotowany, powiedział sobie. Poza tym jest tu jakiś niemiły zapach, którego nie mógł rozpoznać. Wstał i podciągnął suwak swojej skórzanej kurtki.

- To nie dla nas mieszkanie - oświadczył. - W żadnym wypadku.

Skierował się do drzwi, zostawiając ją, ażeby się sama podniosła. Doznał wrażenia jakiejś klaustrofobii, chciał stąd czym prędzej wyjść.

- Dokąd idziesz? - spytała.

- Poszukać innego mieszkania.

- Jakże ma być to inne? - Zdumiał ją jego instynkt.

- Takie, w którym moglibyśmy zamieszkać.

- Możemy tu zamieszkać.

- To mieszkanie jest jakieś smutne - odparł. - I śmierdzi. Idziesz ze mną?

Jeanne nie miała ochoty stąd wychodzić. Słyszała, jak żwawe kroki Toma oddalają się w przedpokoju. Jakże inaczej brzmiało to niż metodyczne stąpanie Paula.

- Muszę jeszcze pozamykać okna - rzekła - i oddać klucze, i dopilnować, żeby wszystko było w porządku.

- Dobrze - zawołał. - Później się zobaczymy.

Powiedzieli sobie równocześnie do widzenia i usłyszała, jak Tom zbiega po schodach. Jeanne podeszła z wolna do okna i wzięła się do opuszczania żaluzji. Odwróciła się i obejrzała pokój. Znowu zagarnęły go cienie i przygasiły czerwonożłoty blask na ścianach w ledwie tłący się brąz. Pęknięcia jakby powiększyły się i bardziej groziły zawaleniem, zapach był niewątpliwie wonią rozkładu.

Poszła korytarzem. Mały, pokój stracił swój urok i wydawał się ciasny, duszny, niezdatny dla dziecka i dla nikogo. Otworzyła drzwi do łazienki i przejął ją zimny dreszcz mimo blasku, wpadającego przez okno nad wanną. Umywalki były brudne i po raz pierwszy spostrzegła, że łuszcząca się pozlówka opada z ramy lustra, przyprószając zimne kafelki podłogi wyblakłym złotem. Nagle i gwałtownie zachciało jej się stąd wyjść. Coś jej tu zagrażało, więc odwróciła się i pobiegła korytarzem do przedpokoju. Szarpnięciem rozwarła drzwi, wyszła na podest i zatrzasnęła je za sobą, nawet się nie obejrzawszy po raz ostatni.

Jakby cała wieczność minęła, odkąd pierwszy raz weszła do tego zatęchłego budynku. Gdy wyszła z windy, okienko konsjerżki było jeszcze otwarte, ale baba gdzieś znikła. Jeanne poczuła rodzaj zaskoczenia, że ona się jednak porusza; wydawała się na to zbyt opasła; zostawiła klucz na kontuarze. Nawet jej nie przyszło do głowy, żeby coś napisać. Wychodząc usłyszała, że otwierają się drzwi przy windzie i obejrzawszy się zobaczyła, jak wychudzona dłoń stawia na posadzce kolejną butelkę. Na Rue Jules Verne nic się nie zmieniło. Ani jeden robotnik nie ukazał się na rusztowaniach, samochody były jakby raz na zawsze zaparkowane, ulica czysta i bezлюдna. Pośpiesznie minęła kawiarnię i przeszła jezdnię, pozostawiając za

sobą tę znaną scenerię. Ogarnęło ją wielkie poczucie ulgi pomieszanej ze smutkiem. Pragnęła już tylko wydostać się stąd.

Przed nią pojawił się most z napowietrzną linią metra, a jeszcze wyżej rozpościerało się przezroczyste, błękitne niebo zimowe. Słońce rzucało wzory na przejście dla pieszych. Z rękoma schowanymi głęboko w kieszenie zamszowego płaszcza, z pochyloną głową, Jeanne ruszyła na drugą stronę Sekwany, nie zastanawiając się, co będzie dalej.

Rozdział XXI

Paul pochował żonę, wyprowadził meble z apartamentu przy Rue Jules Verne i poczuł się czysty. Pierwszy raz od samobójstwa Rosy przestało mu ono ciążyć. Co więcej, odczuł lekkość ducha i jakiś powściągliwy optymizm, jakiego nie doznał od lat. Szalone łamańce paryskiej linii horyzontu, białe jak kość gałęzie jaworów na brzegu Sekwany, rytm przejeżdżającego metra, świeżość wiatru: wszystko to wydało mu się rozkoszne i niepowtarzalne, jak gdyby gotowe odegrać rolę w jego życiu. A widok dziewczyny w białym płaszczu do kostek, z twarzą pochyloną i ujętą w kołnierz z białego lisa, zbliżającej się do niego równym krokiem, potwierdził to nieodparcie. Jeanne nie zwracała uwagi na otoczenie, poza tym, że łoskot przelatującego nad nią pociągu i poruszający się wokół ludzie z lekka zakłócali tok jej myśli. A myślała po prostu o swoim zdawkowym życiu, o tym, jak daremne są stosunki pomiędzy ludźmi. Mężczyzna, który zatrzymał się koło niej, a potem zawrócił i zaczął iść obok, był drobną zawadą, którą pozostało jej tylko zignorować. Przez chwilę szli noga w nogę, a potem on ją troszkę wyprzedził i musiała na niego spojrzeć.

- To znów ja - odezwał się Paul beztrąsko, unosząc jedną dłoń na powitanie.

Zwolniła kroku, ale nie przystanęła. Jego elegancki wygląd zaskoczył ją. Miał na sobie granatowy, uszyty na miarę blezer z pasującą do niego koszulą w miętowe prążki i szeroki jedwabny krawat. Przedstawiał się wręcz wytwornie, a jego krok wyrażał pewność siebie. Ona już mu nie dowierzała.

- Między nami skończone - powiedziała.

- Skończone - zgodził się, wzruszając ramionami i zmieniając nogę, aby iść równo z nią. - Więc znów się zacznie.

- Co się znów zacznie? - Popatrzyła na niego i pomyślała, że wydaje się teraz bardziej otwarty, przystępny, więc i łatwiej go zranić. Jak gdyby wyszedłszy z tego apartamentu zdjął jakiś ochronny pancerz, jakby zwierzę zmieniające skórę wychyliło się ze swej nory. Ona zaś

tu na dworze zachowywała dystans. Ich apartament sam się bronił i ją też osłaniał, lecz w jasnym świetle dnia wołała nie ujawniać swych sekretów.

- Nic już nie rozumiem - rzekła i przyśpieszyła kroku.

Wziął ją pod ramię i poprowadził ku schodom wiodącym na peron metra. Zesztywniała na całym ciele, nie przywykła do takiej natarczywości: a to coś nowego, pomyślała. Paul zatrzymał się w cieniu przejścia i dotknął jej policzka; Jeanne rozluźniła się. Wiedziała, że to beznadziejne, ale nie mogła go tak po prostu zostawić.

- Nie ma tu nic do zrozumienia - rzekł Paul i zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, pocałował ją łagodnie w usta. Czuł jej ciepło i prawdziwość jej ciała: teraz była dla niego kobietą, i to bardzo pociągającą. Dla niej był to pierwszy czuły uścisk, jaki mogła sobie u niego przypomnieć. Ramię w ramię chodzili po peronie, co wyglądało, jakby młodzianka, naburmuszona siostrzenica i dobry wujek zwierzali się sobie z czegoś.

- Porzuciliśmy ten apartament - wyjaśnił Paul - a teraz spotykamy się po raz drugi, z miłością i w ogóle.

Uśmiechnął się do niej, ale Jeanne potrząsnęła głową.

- Co w ogóle? - spytała.

Nim zdążył odpowiedzieć, podjechało metro i odruchowo do niego wsiedli, Paul ją pociągnął za sobą i usadowił na pustym miejscu. Siedzieli teraz przy sobie jak kochankowie.

- Słuchaj - powiedział rad, że może już mówić o sobie i otrząsnąwszy się z rozpacz. - Mam czterdzieści pięć lat. Jestem wdowcem. Mam nieduży hotelik, dość parszywy, ale jeszcze nie dom noclegowy. Przeważnie żyłem tak sobie, na los szczęścia, ale wreszcie się ożeniłem. Moja żona popełniła samobójstwo...

Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem. Tłum ruszył do drzwi, otwierając je z trzaskiem. Paul i Jeanne spojrzeli na siebie i raptem wysiedli. Uświadomiła sobie, że wcale nie ma ochoty słuchać o jego życiu, które wyglądało na smętne i nieco paskudne. Nie odzywając się zeszli po betonowych stopniach w porządne, rozległe otoczenie Etoile, skąpane w blasku słońca.

- Co robimy? - spytała Jeanne.

- Powiedziałas mi, że kochasz pewnego mężczyznę i chcesz z nim żyć. Ten, którego kochasz, to ja. Więc będziemy żyli ze sobą. Będziemy szczęśliwi, nawet się pobierzemy, jeżeli zechcesz...

- Nie - odparła zmęczona tą gadaniną. - Co teraz robimy?

- Teraz pójdziemy na drinka. Uczymy to, zabawimy się.

Paul wierzył w to, co mówi, nie bardzo jednak wiedział, jak się zabawia po południu młodą kobietę. Wprawdzie nie miało to większego znaczenia. Jeśli ona go kocha, to gdzie-

kolwiek się zatrzymają, będzie dobrze. Spodobał mu się pomysł, aby oficjalnie się do niej zalecać. Potrzebna mu była i rozrywka, i okazja do przekonania jej, że to również potrafi.

- Co u diabła - mówił - nie jestem żaden nadzwyczajny zawodnik. Postrzelono mnie na Kubie w 1948 roku i od tej pory mam prostatę jak pięść. Ale i tak niezły ze mnie jebaka, mimo że nie mogę mieć dzieci.

Jeanne czuła się i zmieszana, i wciąż pociągało ją do niego wspomnienie ich romansu, a zarazem odstręczał jakiś niejasny i rosnący niesmak. Czuła się jak obnażona w tym jasnym zimowym słońcu.

- Poza tym - ciągnął szukając, co jeszcze mógłby jej opowiedzieć - jestem bez przydziału i bez przyjaciół. Gdybym cię nie spotkał, to chyba pierdziałbym tylko w jakiś twardej stołek i zapuszczał sobie hemoroidy.

Skąd te jego ciągle aluzje do odbytnicy? Złapał ją za mankiet płaszcza, przystanął i zawrócił, aby zajrzeć do Salle Wagram, gdzie zwykle była tancbuda, a czasem jakiegoś mniej ważne mecze bokserskie. Dobiegły ich dźwięki orkiestry, ale z ulicy lokal wydawał się pusty.

- A żeby ta długa, nudna historia była jeszcze nudniejsza - powrócił do tematu, prowadząc ją do Salle Wagram - pochodzę z czasów, kiedy tacy jak ja wstępowali do takich me-
lin jak tutaj, żeby poderwać taką młodą cizję jak ty. W tych czasach nazywaliśmy takie: brzana.

Weszli ramię w ramię. Sala rozbrzmiewała muzyką, wykonywaną nie na żywo przez orkiestrę taneczną, tylko z gramofonu, stojącego na stole wśród masy płyt w jaskrawych kopertach. Wyglądało to raczej jak stodoła z ogromną kopułą zamiast sufitu, krzykliwie oświetlona tuzinami wiszących kul. Grupy stolików poumieszczane były na różnych poziomach powyżej głównego parkietu, gdzie odbywał się właśnie konkurs tańca. Kilka tuzinów par w strojach, które były modne piętnaście lat temu, poruszało się w osobliwym, rytmicznym układzie, jakiego Jeanne nigdy jeszcze nie widziała. Mężczyźni mieli długie baki, a włosy kobiet lśniły od lakieru. Przypominali jej barwne i napuszone ptaki, parujące w klatce pod surowym okiem kilku panów i pań w średnim wieku, usadowionych przy długim, drewnianym stole po jednej stronie parkietu. Przed siedzącymi leżały arkusze papieru i ołówki. Każdy z uczestników konkursu miał przypięty na plecach numer wydrukowany na wielkim kartonowym prostokącie i gdy tak wirowali, sędziowie wyciągali za nimi szyje wypatrując. Stało też kilku przyglądających się kelnerów, na ogół jednak sala była pusta. Na stolikach otaczających używaną w tej chwili część parkietu rozesłano białe obrusy, lecz inne ugrupowania stolików pokryte były tylko setkami odwróconych krzesel z nogami sterczącymi do góry. Drewniana

poręcz odgradzała tancerzy od pustych przestrzeni sali balowej, zamienionej w przybytek tanga.

Paul poprowadził Jeanne przez parkiet i na drugą kondygnację, gdzie zgryźliwy kelner sprawnie przygotował im stolik. Paul szarpnął się i zamówił szampana, sam usiadł naprzeciw Jeanne. Był pewien, że do niej przemówi humor tej sytuacji. Tylko oni dwoje się tu liczą, więc absurdalność otoczenia może im dostarczyć rozrywki. Ale Jeanne potrafiła tylko zapatrzyć się na zawodników. Byli czymś tak groteskowym, śmigający po wielkiej, ponurej sali, kierując się odgłosami zdartej muzyki i pragnieniem, aby ich wyróżniła ta komisja staruszków obojga płci.

Kelner przyniósł szampana, napełnił ich kieliszki i zostawił ich samych. Jeanne podparła się tylko na łokciach z głową na dłoniach. Paul zbliżył się do niej.

- Proszę o wybaczenie, że przeszkadzam - odezwał się, naśladowując brytyjski akcent, by ją rozbawić - ale tak mnie wraziła pani uroda, że pragnąłbym zaproponować pani kieliszek szampana.

Ona spojrzała na niego bez wyrazu.

- Czy to miejsce jest zajęte? - zapytał Paul, ciągnąc na siłę dowcip, chociaż widział, że jej to nie bawi.

- Co? - powiedziała. - Nie, nie jest zajęte.

- Czy można?

- Proszę bardzo.

Paul usadowił się z ekstrawaganckim gestem i biorąc jej kieliszek przysunął go jej do ust. Jeanne odwróciła twarz. Jego zgrywa była zbyt podobna do prawdy i oboje poczuli się jakoś niezręcznie. Paul wypił do dna i znów sobie napełnił. Sprawy nie toczyły się tak, jak sobie wyobrażał.

- Czy znasz tango? - zapytał i Jeanne potrząsnęła głową.

- To rytuał, rozumiesz? Zwróć uwagę na nogi tańczących.

Zawołał kelnera i zamówił butelkę szkockiej whisky i szklanki. Kelner przyjrzał mu się bacznie i poszedł po whisky. Paul chciał się bawić, rzucać pieniędzmi, urządzić uroczystość i nie obchodziło go, co ktoś o tym pomyśli, z wyjątkiem Jeanne.

- Nie wypiął szampana - powiedział. - Teraz już będzie ciepły. Zamówiłem ci whisky.

Kelner przyniósł butelkę. Odszedł z powrotem w najdalszy kraniec sali. Ich stolik był całkiem odosobniony. Paul nalał im whisky niepewną dłonią.

- Nie wypiął tej whisky - upomniął ją łagodnie. - No wypij łyżeczek. Za tatusia.

Przyłożył jej szkło do warg. Spojrzała na niego ze smutkiem i Paul poczuł wzbierającą w nim rozpacz. Ale potem upiła wiedząc, że jemu to sprawi przyjemność, mimo że whisky sparzyła ją w gardło.

- A teraz, jeżeli mnie kochasz - namawiał - wypij do dna.

Znów wypiła.

- W porządku - powiedziała. - Kocham cię.

Był to frazes na odczepne.

- Brawo! - pochwalił Paul.

- Opowiedz mi o swojej żonie.

To była jedyna rzecz, o której Paul nie chciał rozmawiać. To już przeszłość: on będzie się teraz cieszył, rozpocznie nowe życie.

- Porozmawiajmy o nas - powiedział.

Jeanne tylko się obejrzała, na tancerzy i sędziów, na garstkę ukrytych w cieniu kelnerów.

- To miejsce jest żałosne.

- Owszem, ale ja tu jestem, prawda?

- Monsieur Maitre d'Hotel - odpowiedziała mu sarkastycznie.

- To było wredne.

Paul uznał, że ona się po prostu z nim drażni. Po tak pełnych napiętości spotkaniach, jakie mieli ze sobą, wydało mu się niemożliwe, aby z niego najzwyczajniej drwiła.

Lecz dla niej, im więcej Paul mówił o sobie, tym bardziej stawał się nieatrakcyjny.

- Tak czy owak - wrócił do sprawy - ty głuptasie, kocham cię i chcę żyć z tobą.

- W tym twoim domu noclegowym. - Zabrzmiało to prawie jak szyderstwo!

- W domu noclegowym? Co to znaczy, u diabła? - Paula zaczął ogarniać gniew, a wypita już whisky pogarszała sprawę.

Jeanne jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Co to za różnica, u diabła, czyja mam dom noclegowy, hotel czy pałac? - krzyknął. - Kocham cię! Co za pierdolona różnica?

Jeanne przeniosła się na sąsiednie krzesło bojąc się, żeby jej nie uderzył. Podniosła swoją szklankę i wypiła czystą whisky do dna. Przygnębiała ją ta sala, ci tancerze, Paul i nawet ona sama. Przedłużanie tego nie miało sensu, ale nie chciała się do tego przyznać ani Paulowi, ani sobie. Udobruchany tym, że wypiła, Paul sam też wychylił do dna i znów nalał obójgu. Alkohol zagrzewał go i równocześnie czuł, jak rośnie w nim ta stłumiona rozpacz. Jeanne wpatrywała się w parkiet. Muzyka i pary z przyszpilonymi do nich ogromnymi cyframi

obracały się coraz prędzej i prędzej w miarę, jak umysł jej się przyćmiewał. Wyrzucała sobie, że pije za szybko, chociaż ostatnia whisky spotęgowała jej pragnienie. Wpatrywała się w nogi tańczących.

Stąpali wyniośle i rzucali mechanicznie głowami. Wtem muzyka umilkła. Tancerze odwrócili się i ruszyli gromadnie do swoich stolików, gdzie przycupnęli na krawędzi krzeseł z zastygłym uśmiechem na twarzy, z głowami zwróconymi do sędziów. Niewiasta w średnim wieku, w kwiciastej sukni w gryzących się barwach czerwonych i fioletowych, w okularach w drucianej oprawce, powstała za długim stołem i oznajmiła donośnym, rzeczowym głosem:

- Jury wybrało jako najlepsze dziesięć następujących par. - Tu poprawiła sobie okulary i uniosła przed sobą papier.

Cisza zapadła w sali, gdy zaczęła wyczytywać numery. Jedni po drugich, wywoływani przez nią, ruszali z powrotem na parkiet, pusząc się i stąpając z wysoka, zwracając się ku sobie, gotowi na początek muzyki, która miała za chwilę zagrać. Parkiet wypełnił się stopniowo już ustawionymi w pozycji parami. Trzymali się sztywnymi rękoma i ślepo wpatrywali się sobie nawzajem w oczy. Dla Jeanne wyglądali jak manekiny.

Niewiasta w sukni drukowanej w kwiaty uniosła wylewnie dłoń i zawołała:

- A teraz, panie i panowie, życzymy wam szczęścia! Oto ostatnie tango! - Słowa jej odbiły się echem w przepastnej sali. Zbliżał się sąd ostateczny.

Natychmiast rozległa się muzyka, głośnie i melodyjna i dla Jeanne bezgranicznie przyciągająca. Widziała, jak od wejścia przesącza się z ukosa światło dzienne. Upić się po południu i patrzeć na ruszające się automaty: to ją doprowadzało do łez. Paul siedział naprzeciwko, przyglądając się przez ramię tańczącym, posępny i nieobliczalny. Jeanne znowu starała się obserwować nogi tancerzy. Poruszali się idealnie zgrani, gdy każda para wykonywała ugięcie i posuwisty krok, i odgięcie się w tył z ozdobnie stylizowanym gestem, z uśmiechem zastygłym na ustach, z oczyma i twarzami bez wyrazu. Przemknęła jej myśl: czy to naprawdę ludzie? Nie sposób było wyobrazić ich sobie wykonujących jakiegokolwiek zwykle, ludzkie czynności.

- Nalej mi jeszcze whisky - rzekła do Paula.

- Och, zdawało mi się, że nie pijesz.

- Teraz zachciało mi się pić. Jeszcze trochę.

Paul wstał i niepewnie okrążył stół.

- W porządku. To dobry pomysł. - Uważnie nalał whisky do obu szklanek.

Jeanne zakręciło się nieco w głowie i ostrożnie przysunęła do siebie szklankę.

- Chwileczkę - powiedział Paul, zanim zdążyła wypić. Mówił z wysiłkiem, szykując się do toastu. - Ponieważ... ponieważ jesteś naprawdę piękna...

Jeanne uznała te słowa za toast i wypila.

- Chwileczkę! - krzyknął, uderzając szklanką o stolik. Whisky chlusnęła mu na dłoń i pociekła aż na podłogę.

- W porządku.

- Przepraszam... najmocniej przepraszam - odezwał się z brytyjskim akcentem. - Nie chciałem tego rozlać.

Jeanne uniosła do góry swoją szklankę.

- No to wypijmy - powiedziała - za nasze życie w hotelu.

- Nie, pierdolić to wszystko.

Paul kopnął i wywrócił krzesło podchodząc, by przy niej usiąść. Oparł się o nią ciężko i spostrzegła zmarszczki wokół oczu i przersedzające się włosy. Wszystko, co mówiła na jego temat poprzedniego dnia w apartamencie, było prawdą. To stary człowiek i teraz już nawet czuć go starością, jakby przesiąknął kuchennym winem do potraw. Patrząc na niego, Jeanne nie mogła się opędzić od myśli o jego ciele. Nigdy jeszcze tak naprawdę nie pomyślała o tym, jak tęgi jest w pasie, jaką pomarszczoną ma skórę. Tajemnica okrywająca to, jak się nazywa i jak żyje, całkiem fałszywie zakonserwowała go dla niej.

- No chodź - rzekł Paul - wypijmy za nasze życie na wsi.

- Jesteś miłośnikiem natury? Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Och, jak Boga kocham. - Paul wiedział, że przecież na wsi nic nie będą robić, tylko się kochać. Dlaczego ona się z nim droczy? Rzekł, stosując się do jej nastroju: - No tak, jestem chłopak z natury. Nie wyobrażasz sobie mnie przy krowach? Całego w kurzym łajnie?

- No pewnie.

- A dlaczego nie? - obruszył się.

- Dobrze, będziemy mieli dom i krowy. Ja też będę jedną z twoich krów.

- Ale słuchaj - rzekł, śmiejąc się ochryple. - Będę cię doił dwa razy dziennie. Co ty na to?

- Nienawidzę wsi - przyznała się, pomyślawszy o willi. Wszystko robiło się takie plugawe, zatrute alkoholem i widokiem tych niezmordowane kręcących się ciał bez życia.

- Jak to nienawidzisz wsi? - zapytał.

- Nienawidzę i koniec.

Jeanne wstała, chwytając się za oparcie swojego krzesła. Poczula, że musi stąd wyjść.

- Wolę iść do hotelu - powiedziała i nie wydało jej się to zbyt śmieszne. Może jest jakaś szansa, pomyślała, może znów ujrzy Paula i usłyszy go inaczej, kiedy znajdą się sami w pokoju. Może by potrafiła zapomnieć o tym wszystkim i o tym, co jej powiedział.

- Chodź. Pójdziemy do twojego hotelu. Tymczasem Paul wziął ją za rękę i pociągnął na parkiet. Potykali się schodząc z tej podwyższonej kondygnacji, kroki ich głośno dudniły po gołych deskach, ale muzyka je zagłuszała.

- Zatańczymy - rzekł Paul.

Jeanne potrząsnęła głową, ale Paul się upierał, ciągnąc ją w stronę głównego parkietu. Tancerze udawali, że ich nie widzą.

- No chodź - przymawiał się. - Zatańczymy. Potykając się weszli pomiędzy uczestników konkursu. Jeanne poczuła, że nogi się pod nią uginają. Muzyka i stęchłe powietrze w sali jakby nałożyły się na działanie whisky, a do tego uderzył ją odór tuzina zmieszanych perfum. Oślepiały ją punktowe światła, a inne pary przemykały koło nich ze stylizowanym wdziękiem, który sprawiał, że groteskowe ruchy Paula wydawały się jakieś obłeśne. W pozycji tanecznej złapał ją, uniósł jedną nogę i zawinął ją poza siebie, małpując innych. Paradował tam i z powrotem, z teatralnie zadartym podbródkiem, wysoko podnosząc kolana i waląc stopami o parkiet. Próbował okręcić Jeanne pod uniesioną dłonią, lecz poślizgnęła się i ciężko upadła, przejechała się parę kroków po gładkiej posadzce.

- Nie chcesz tańczyć? - spytał ją Paul.

Zaczął tańczyć sam, wykręcając się i nurkując pośród par konkursowych, które nie uрониły ani kroku. Wyglądało to absurdalnie i Paul się wybornie bawił. Czuł się znakomicie, poniesiony przez whisky i widowisko. Właśnie zaczynało się dla niego nowe życie, które przeżyje w całej pełni i tak, jak zechce. Próbował wykonać skok i zwałił się na kolana.

Niewiasta w kwiecistej sukni wstała ze swojego miejsca za stołem, oburzenie: odebrało jej głos. Wokół niej krążyli inni sędziowie, odzywając się chrapliwym szeptem, ale nikt z nich najwidoczniej nie miał ochoty podejść do pijanej, bezczelnej pary.

- Na parkiecie już nie ma miejsca! - wykrzyknęła niewiasta w kwiciastej sukni, wymachując rękoma i zmierzając w kierunku Paula. - Tego już za wiele. - Jak wszyscy w tym epizodzie, ona również traktowała go serio.

Paulowi wydawało się to bardzo śmieszne. Zaśmiewając się obtańcowywał ją niby matador na arenie.

- Proszę się stąd wynosić! Co pan wyprawia?

- Madame - skłonił się, chwytając ją w pasie i ustawiając się w pozycji do tanga. Ociężale poprowadził ją wokół parkietu, starając się wyrwać. Sędziowie patrzyli, nie posiadając się z oburzenia, tancerze zaś nadal robili swoje.

- To niemożliwe - oświadczyła niewiasta.

- To miłość - rzekł Paul. - Zawsze. Uamour tou jours.

- Ależ to konkurs! - Wreszcie mu się wyrwała.

Jej koledzy zza stołu sędziowskiego zaczęli się ostrożnie przybliżać.

- Co ma do tego miłość? - krzyknęła niewiasta. - Miłość proszę sobie oglądać w kinie. Wynosić mi się stąd, ale już!

Jeanne chwyciła Paula za ramię i pociągnęła go do wyjścia. Ale on przystanął na krawędzi parkietu. W oczach przyglądającego mu się kompletu sędziów opuścił spodnie, pochylił się i wypiął na nich goły zadek. Widzowie aż się zachłyszeli.

Potykaçąc się on i Jeanne zeszli z parkietu. Zatrzymali się w ciemnym kącie, pośród odwróconych stolików, i Ciężko usiedli pod ścianą. Muzyka trwała nieprzerwanie i obojętnie.

- Piękności moja, siądź przede mną - rzekł Paul, starając się dotknąć jej policzka, ale Jeanne uchyliła się. Głucho pojękiwała, szczerze przestraszona.

- Garcon - Paul strzelił palcami, lecz kelner się nie pojawił. - Szampana! - zawołali zaczął wybijać rękoma takt muzyki. - Jeżeli miłość muzyką się karmi, to grajcie!

Zwrócił się do Jeanne i dostrzegł łzy ciekące po jej policzkach.

- Co się stało? - zapytał.

- To koniec.

- Co się stało? - powtórzył, nie chcąc zrozumieć tego, co powiedziała.

- To koniec.

- Co za koniec?

- Więcej się już nie zobaczymy, nigdy.

- Przecież to śmieszne. - Paul zbył jej słowa machnięciem ręki. Potem ujął jej dłoń i wepchnął ją sobie w głąb spodni. Powtórzył po cichu: - To śmieszne.

- Ja nie żartuję. - Jeanne objęła jego członka dłonią i zaczęła go świectać. Patrzyła prosto przed siebie i łzy wciąż ściekały po jej policzkach.

Paul zapał się plecami o ścianę.

- Och, ty parszywy szcurku - wystękał.

- To koniec.

- Posłuchaj mnie, kiedy coś się kończy, to znów się zaczyna. Nie rozumiesz?

- Wychodzę za mąż - powiedziała Jeanne automatycznie. - Odchodzę. To już koniec. - Jej dłoń poruszała się coraz prędej.

- Ooch... Jezu!

Paul się spuścił i Jeanne z obrzydzeniem cofnęła dłoń. Wydoiła go i resztkę sił z niego wyciekła. Wytarła sobie dłoń jego chustką do nosa.

- Słuchaj - przemówił, usiłując obrócić w żart jej obrzydzenie.

Muzyka ucichła i sala wypełniła się szuraniem stóp i echem surowego wyroku, w którym sąd wyliczał zwycięzców, Jeanne nie rozumiała słów, ale nie miało to żadnego znaczenia. Widziała tę scenę... z udziałem własnym i Paula. Okazał się brzydki, jego życie plugawe i jałowe, seks jego bezużyteczny. Przyjrzała mu się i oto widniał przed nią pijany rzęch. Czowała obrzydzenie do niego i do siebie.

- To koniec - rzekła, podniosła się i ruszyła do drzwi.

- Chwileczkę! - zawołał Paul. - Ty! głupia brzana!

Pozbierał się na równe nogi i zapiął spodnie. Zanim dotarł do drzwi, Jeanne już z pośpiechem szła w stronę głównego bulwaru.

- O kurwa - powiedział Paul, nagle oślepiiony przez światło dzienne i niepewnie trzymając się na nogach. - Zaczekaj chwilę, do jasnej cholery!

Ruszył ulicą w ślad za nią, ale Jeanne przyspieszyła kroku. Odgłos jej stóp wprawił ją w popłoch.

- Hej, Rube! - zawołał żartobliwie, ale Jeanne się nie odwróciła. - Chodź tutaj!

Na rogu przeszła przez jezdnię w momencie, gdy zmieniały się światła, i Paul musiał poczekać. Wzbierały w nim gniew i frustracja. Nagle uświadomił sobie, że jeśli ona go teraz porzuci, to już nigdy jej nie zobaczy.

- Chodź tutaj! - zawołał jeszcze raz i wszedł prosto między samochody, na jezdnię, we wrzasku klaksonów, i przyspieszył. - Zaraz cię złapię, brzana!

A potem już oboje biegli. Wpadali w cień i wypadali z cienia jaworów rosnących wzdłuż chodnika, tak iż błyski słonecznego światła skupiały się na tym kontraście: ładna dziewczyna w rozchylonym płaszczu, z rozwianymi włosami, uciekająca przed mężczyzną dostatecznie starym, ażeby mógł być jej ojcem, któremu brakowało i tchu, i wdzięku na taki wyścig. Jakby łączył ich niewidzialny sznurek, skracający się, gdy ona zwalniała kroku, potem znów się wydłużający, kiedy ona się oddalała. Ten niewidzialny sznurek jednak nie pękał. Wciąż byli uczestnikami jakby dziwnego rytuału, odgradzeni od świata, przez który biegli.

Działo się to w godzinie szczytu i tłum wypełniał Champs Elysees. Jeanne pędziła, zanurzając się w fale przechodniów i wynurzając się z nich, wciąż nie mogąc się oderwać od Paula. Trwoga jej wzrosła, gdy uświadomiła sobie, że on nie daje za wygraną, i zaczęła panicznie szukać w myślach miejsca, gdzie byłaby przed nim bezpieczna. Nic nie przyszło jej do głowy prócz mieszkania jej matki przy Rue Vavin na Montparnasse, a była pewna, że Paul tego dystansu nie wytrzyma. Pozostał już w tyle, więc zwolniła, spoglądając na niego przez ramię. O pół przecznicy dalej minęli Grand Palais, pyszny w popołudniowym słońcu, i Gare d'Orsay, przecięli Sekwanę i tupot ich kroków zginął w hałasie walczących o lepsze samochodów. Paul nie odstępował jej, mimo że z trudem łapał oddech i że ból przeszywał mu klatkę piersiową.

Na skraju dzielnicy Montparnasse Jeanne obróciła się ku niemu i wrzasnąwszy:

- Stój! Stój! - pobięła dalej.

- Czekaj! - błagalnie zawołał Paul, ale nic z tego.

Znowu rzucił się naprzód.

Dobiegając już do budynku, gdzie mieszkanie wynajmowała jej matka, Jeanne zwolniła. Nie chciała, żeby Paul trafił tam po jej śladach, ale nie umiała wymyślić nic innego. Słyszała za sobą jego ciężkie kroki. Wreszcie dogonił ją, ledwie zapiął, i złapał za ramię.

- To koniec! - powiedziała wyrywając się. - Dostyc!

- Ej, wolnego.

Paul oparł się o ścianę i próbował z nią pertraktować, ale okrążyła go.

- Stój! - krzyknęła. - To koniec. A teraz już idź. Wynoś się stąd!

Paul podbiegał z ukosa, ciągle bez tchu.

- Nie przegonię cię - stwierdził. - Daj mi szansę.

Starał się ją wyprzedzić, zastąpić jej drogę. Uśmiechnął się, rozpaczliwie starając się zapanować nad sytuacją, rękoma wzięwszy się za bok. Przemówił czule:

- Słuchaj, głuptasku...

Jeanne odparła szybko po francusku:

- Teraz już zawołam policję.

Postanowił, że nie da jej odejść. Uczyni wszystko, byle mu się nie wymknęła. To jego ostatnia szansa na miłość. Przebiegła otarłszy się o niego.

- No dobrze, cholera, już ci nie stoję na drodze - odezwał się z goryczą. - Czyli apres vous, mademoiselle.

Przystanęła na rogu, spoglądając przez ulicę na wejście do domu swej matki. Trzęsła się i usiłowała zapanować nad paniką, podpowiadającą jej, aby wpadła prosto do tej bramy.

Paul zobaczył, że ona się go naprawdę boi. Na jej uspokojenie później będzie czas, pomyślał, kiedy już wykryje, gdzie ona mieszka.

- To cześć, siostró - powiedział, mijając ją i odchodząc ulicą. - A zresztą brzydactwo z ciebie. Mogę cię więcej nie oglądać.

Poszedł dalej udając, że przestała go interesować. Jeanne przyjrzała się, jak odchodzi, a potem odwróciła się i przebiegła jezdnię. Wśliznęła się do budynku, ale gdy zamykała za sobą drzwi wejściowe, Paul skoczył za nią przez ulicę i po stopniach na górę, tak że pojawił się w holu, gdy Jeanne właśnie zamykała się w windzie. Spojrzała na niego w przerażeniu, gdy chwycił za wąty żelazny uchwyt i szarpnął, usiłując się do niej dostać. Winda pojechała z wolna do góry.

- O kurwa! - powiedział Paul i pognał w górę po schodach, usiłując przegonić windę.

- Koniec z tobą! - krzyknęła do niego Jeanne po francusku z jadącej klatki. - Tu esfini.

Wbiegł na drugi podest i złapał za uchwyt, ale za późno. Winda wciąż jechała do góry z Jeanne, wciśnięta w najdalszy kąt jej klatki.

- Les flics... - wyjąkała.

- Pierdol się z tą policją.

Winda minęła trzecie piętro, zanim Paul dopadł jej drzwi. Piął się dalej po schodach,

- Tu esfini - krzyknęła do niego z góry.

Klatka szarpnęła się i stanęła na czwartym piętrze, Jeanne wyskoczyła na podest, zaczęła walić do drzwi mieszkania swojej matki. Paul wynurzył się za nią.

- Słuchaj - odezwał się, zasapany. - Chcę z tobą pogadać.

Jeanne przebiegła obok niego i zaczęła walić we drzwi sąsiedniego mieszkania, ale bez skutku. Paul ruszył na nią i kiedy dotknął jej ramienia, zaczęła wrzeszczeć.

- To zaczyna być śmieszne - powiedział.

- Na pomoc! - krzyczała, szukając w torebce klucza. - Na pomoc!

Nikt się nie zjawił. Szamotała się z zamkiem u drzwi mieszkania swej matki i gdy wreszcie udało się jej otworzyć, niemalże runęła do środka. Paul był tuż za nią i zablokował drzwi ramieniem. Wyprzedzając go wpadła do wnętrza, nic nie widząc, gnana paniką, skupiającą się na jednym przedmiocie, leżącym w szufladzie biurka. Nie ma sposobu, aby go powstrzymać. Zawsze to wiedziała, że nie zdoła się przed nim ukryć. Jednak nie spodziewała się po nim aż takiej bezwzględności.

- To będzie czołówka -: rzekł Paul, przystając, aby obejrzyć zdjęcia i broń tubylczą. - Idziemy na całość.

Jeanne wyciągnęła szufladę i wyjęła służbowy pistolet ojca. Ciężko leżał w jej ręku, zimny i niezawodny, schowała go pod płaszcz, zanim odwróciła się ku niemu twarzą.

- Starzeję się - rzekł Paul, uśmiechając się do niej ze smutkiem. - Ileż ja mam tych wspomnień.

Jeanne wpatrywała się w niego ze zgrozą i fascynacją, kiedy sięgnął po jedną z wojskowych czapek jej ojca i założył ją sobie na bakier. Dał krok w jej stronę.

- Jak ci się podoba twój bohater? - zapytał. - Wolisz go przysmażonego z obu stron, czy żółtkiem do góry? - Ciągle jeszcze wdzięczny się do niej.

Zdjął czapkę i zamiótł nią uniżenie. Ona tu jest, i należy do niego, i już nie da jej odejść. Jakże piękna mu się wydawała myśl, że znalazł wreszcie kogoś do pokochania.

- Uciekałaś mi po całej Afryce i Azji, po Indonezji, a teraz cię w końcu znalazłem. - Paul mówił to całkiem serio. - No i kocham cię - dodał.

Przystąpił tuż do niej i nie spostrzegł, że jej płaszcz się rozchylił. Lufa pistoletu była wymierzona wprost w niego. Uniósł dłoń, aby dotknąć jej policzka, i wyszeptał:

- Chcę usłyszeć, jak masz na imię.

- Jeanne - odrzekła i pociągnęła za spust.

Eksplozja odrzuciła go o kilka kroków, ale nie upadł. Woń spalonego prochu rozeszła się w powietrzu i broń zadrżała w dłoni Jeanne. Paul nachylił się z lekka do przodu, jedną ręką łapiąc się za żołądek, z drugą wciąż uniesioną. Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Nasze dzieci - zaczął. - Nasze dzieci...

Odwrócił się i ruszył, potykając się, w stronę oszklonych drzwi do tarasu. Gdy się rozwarły, świeży wietrzyk rozwiał mu włosy i przez chwilę wyglądał niemalże młodo. Wyszedł na kafelki, wsparł się o poręcz i twarz podniósł do błękitnego nieba. Przed nim rozciągał się Paryż. Powolnym i pełnym gracji ruchem wyjął z ust gumę do żucia i przycisnął ją delikatnie od dołu do poręczy balkonu...

- Nasze dzieci - rzekł - zapamiętajają...

To była ostatnia rzecz, jaką świadomie powiedział. Ale ostatecznie słowo w swoim życiu wymamrotał po tahityjsku. Zwalił się ciężko pod jodełką w donicy, skulił się jak uspione dziecko i skonał z uśmiechem.

- Nie wiem, co to za jeden - wymamrotała do siebie Jeanne, ciągle jeszcze z pistoletem w ręku, z oczyma rozszerzonymi i nie widzącymi. - Przyszedł za mną, próbował mnie zgwałcić... To jakiś wariat... Nie wiem, jak się nazywa, nie znam go, nie znam... Próbował mnie zgwałcić, to wariat... Nie wiem nawet, jak się nazywa.

Przynajmniej to ostatnie było prawdą.

Trzecie tango w Paryżu

Nie było w sezonie 1972 głośniejszego filmu niż *Ostatnie tango w Paryżu*. Młody reżyser włoski Bernardo Bertolucci nakręcił go dla spółki włosko-francuskiej według scenariusza pod tytułem *Ultimo tango a Parigi*, który napisali on i Franco Arcalli. Dialogi toczyły się po angielsku i francusku, te ostatnie zaś adaptowała Agnes Varda. Dwie główne role, poza którymi właściwie nikt się nie liczy, zagrali po mistrzowsku Marlon Brando i debiutująca Maria Schneider, która odtąd wyrobiła sobie liczące się nazwisko w świecie aktorskim.

Po dwudziestu latach już trudno sobie uświadomić, jaki to był przełom w sztuce. I niesłychany skandal.

Cenzura mało nie oszalała. Wniesiono skargę do sądu w Bolonii, żądając konfiskaty filmu i odstraszałej kary dla jego twórców. Jednak sąd znalazł się na poziomie i oddalił zarzuty, motywując to zaletami artystycznymi dzieła.

Przez jakiś czas *Ostatnie tango w Paryżu* było największym przebojem kasowym na Zachodzie i głównym obiektem zainteresowania najpoważniejszych krytyków. Roztrząsano je we wszelkich aspektach formalnych, moralnych i obyczajowych, a wszystko to wypadło jednoznacznie na korzyść utworu.

Zwracano uwagę na niepokojącą, chorobliwą atmosferę filmu, jakby z gorączki lub koszmarów sennych poczętą, lecz rozgrywającą się w warunkach pełnego realizmu. Przyczynia się do tego niezwykła tonacja barwna z przewagą stłumionych odcieni pomarańczowych i technika zdjęć, którą wyróżnił się Vittorio Storaro. Na tym tle odbywa się dramat seksu, bodajże po raz pierwszy potraktowanego tu jako taki, bez żadnych pretekstów, nawet umyślnie wyrwanego z wszelkich układów i norm zewnętrznych. Bertolucci zrobił z niego coś na kształt robinsonady. Na tej wyspie bezludnej w środku Paryża seks wybucha z siłą instynktu i żywiołu, wydobywa z dwojga ludzi to, co w nich najgłębsze i samoistne, a zarazem stłumione i nie przystające do ich uwarunkowania życiowego. Erotyka i seks kłębią się tu jakby niezależnie od świata i posłuszne tylko własnemu prawu. Żądza posiadania drugiej; osoby ciągle waha się na granicy jej zniszczenia, obsesyjnego wręcz unicestwiania jej osobowości, ale także autodestrukcji.

Do licznych i ważnych problemów utworu należy kosmopolityzm. W tym kotle narodów i kultur, jakim jest Paryż, mieszają się i zderzają nie tylko języki, losy i biografie z różnych stron świata, ale i przybywające zewsząd wyobrażenia, postawy i odruchy, a nawet konwencje literackie: zmysłowa Paryżanka i twardy Amerykanin (aby podsumować ich z grubsza i w groteskowym wręcz uproszczeniu) to dwie tradycje o długim rodowodzie, ukazane tu w sposób daleki od stereotypów. Też umyślnym rozchwianiem stereotypu jest fakt, że w

końcu buntownikiem i romantykiem okazuje się człowiek już starszy, a młodość reprezentuje w sumie konformizm. Przy czym oboje ukazują na przemian swój rozmaity wdzięk, aby w końcu jedno i drugie okazało się niezbyt miłe. Ostatnie tango w Paryżu miało to szczęście, że doceniono je od początku i przesłanie jego nie musiało się przedzierać przez zasieki hipokryzji, cenzury, obskurantyzmu. Przynajmniej w ucywilizowanej części świata.

Nie obeszło się wprawdzie bez tego, że w tym czy innym kraju dla wykonań publicznych wycięto gdzieś po kilka minut. Dzisiaj na kasetach nie ma już tych redukcji, chociaż mogły się one zachować tam, gdzie w ramach nowej tolerancji pokazuje się stary egzemplarz filmu.

W sumie Bertolucci ze swoim dziełem stanął w szeregu tych sztandarowych przypadków, jak niegdyś *Ulisses*, *Kochanek Lady Chatterley* i *Lolita*, w których ludzki umysł i kultura odniosły zwycięstwo nad śliniącym się ciemnogrodem.

Faktem jest, że śmiałość i brutalność scen erotycznych nie miała precedensu w historii filmu i jest częścią wielkiego przewrotu obyczajowego, jaki dokonał się w latach 60-tych i 70-tych w świecie zachodnim. I to również jest faktem, że nie nastąpiłby ten chwalebny przewrót, gdyby już wcześniej nie utorowała mu drogi obfita twórczość w dziedzinie kina i literatury pornograficznej. Jakkolwiek olbrzymia większość tej produkcji nie zasługuje poza tym na uwagę i wzbudza niesmak, a zamiast wyzwolenia obyczajów i kultury intymnej może dawać skutki odwrotne: nie sposób zaprzeczyć, że odegrała rolę pionierską i skutecznie przygotowała rozwój tego, co w tematyce erotycznej zasługuje na podziw i zachwyt.

Otóż i historia sprzed lat dwudziestu.

Teraz już *Ostatnie tango w Paryżu* można dostać w co drugiej wypożyczalni kaset. Jego skandaliczne niegdyś efekty już nie robią większego wrażenia na tle nie tylko powszechnie dostępnych filmów mniej czy bardziej pornograficznych, ale także i w porównaniu z tym, jak normalnym i pełnoprawnym elementem wszelkiej sztuki, nie wyłączając jak najbardziej ambitnej, stał się erotyzm. Scenariusz filmu Bertolucciego ogłosiłem już we fragmentach w sławnym niegdyś „erotycznym” numerze 8/9 miesięcznika *Literatura na Świecie* z 1973 roku.

W tym samym roku, jak to nieraz bywa ze słynnymi filmami, ktoś zamówił do natychmiastowego wydania powieść opartą na chodliwym filmie, żeby na niej czym prędzej zarobić. Mnóstwo tego rodzaju skleconych po grafomańsku powieści, od Bullitta aż do świeżej u nas *Dynastii*, zapaskudza księgarnie i na szczęście odchodzi rychło w kraj makulatury. W tym przypadku stało się inaczej.

Mało znany skądinąd Robert Alley napisał angielską powieść według filmu *Last Tango in Paris* tak umiejętnie, że mimo swej wtórności jest ona pełnowartościowym utworem literackim. Powiem więcej! kiedy niedawno, przygotowując się do tłumaczenia książki, obejrzałem na nowo film, zabrakło mi w nim całego mnóstwa szczegółów i subtelności, refleksji, nastrojów paryskich i nawet wnikliwości psychologicznej, które zapamiętałem (jak się okazało) nie z filmu, tylko z powieści Alleya. Obejrzałem jeszcze raz. Przyjrzałem się pod tym kątem i widzę, że Robert Alley wzbogacił pierwowzór, nadając mu postać literacką, jak to czyni prawdziwy pisarz. Z własnym scenariuszem Bertolucciego w jego pisanej formie nawet nie ma co porównywać. I jakkolwiek film *Ostatnie tango w Paryżu* wszedł do klasyki filmowej i zasługi jego w dziejach kultury liczą się do największych, to ja wolę już ten dramatyczny romans w formie powieści.

Robert Stiller